

Ben Sherwood

Niewiarygodna historia miłosna

Przełożyła Agnieszka Barbara Ciepłowska

Dla Karen i jak zawsze pamięci Richarda Sherwooda

Podziękowania

Za pomoc przy stworzeniu opowieści o powtórnej szansie winien jestem wdzięczność wielu znajomym i przyjaciółom. Przede wszystkim dziękuję moim rozlicznym kolegom po piórze, ale muszę wspomnieć także Alana Levy'ego, zaprzyjaźnionego z komputerami, który dzień w dzień tryskał humorem, nowymi pomysłami i w dodatku jeszcze dodawał mi odwagi. Barry Edelstein obdarował mnie niepowszednią przyjaźnią, wspierał inteligencją oraz wyczuciem dramaturgii, Maxine Paetro oferowała cenne rady dzięki wyczuciu perspektywy i sprytowi. Akiva Goldsman uczył mnie, jak rozwiązywać problemy, Gary Ross zadawał niewygodne pytania, John Bowe przypominał, że co łatwo przychodzi, niewiele jest warte, Bruce Feiler zaś – mistrz strategii – stosował błyskotliwą taktykę, a dzięki wnikliwemu umysłowi oraz skutecznej pracy prowadził ku lepszej treści. Na serdeczne podziękowania zasłużyli także J. J. Abrams, Bob Dolman i Stan Pottinger.

Ogromnie wdzięczny jestem przyjaciółom, którzy na różnych etapach czytali tę powieść. Są między nimi: Rebecca Ascher-Walsh, David Doss, Lynn Harris, Joannie Kapłan, Steve Kehela, Christy Prunier, Kim Roth, Jennifer Sherwood i Jamie Tarses.

Po raz kolejny mam zaszczyt publikować książkę dzięki rodzinie Bantam. Przedstawiciel wydawcy Irwyn Applebaum oraz starszy redaktor Danielle Perez zasłużyli na odznaczenia za męstwo. Oni prowadzili Charliego St. Clouda przez niesforne dzieciństwo i lekkomyślną młodość, ich niezachwiana troska pomogła mi odnaleźć historię, którą chciałem opowiedzieć od początku. Na szczególną pochwałę zasługują Barb Burg oraz Susan Corcoran, przyjazne dusze, świetnie obeznane z psychologią oraz moje gorliwe rzeczniczki.

Olbrzymie bukiety kwiatów należą się Ursuli Doyle, Stephanie Sweeney i Candice Voysey z brytyjskiego wydawnictwa Picador. Owacje dla Marca Platta i Abby Wolf-Weiss z Los Angeles za chęć przeniesienia Charliego St. Clouda na duży ekran, a dla Donny Langley z Universal Pictures za poparcie dla książki.

Na ogromne uznanie zasłużyła Joni Evans, moja wspaniała przyjaciółka, współniczka-konspiratorka i agentka, która zachęcała mnie do wzbogacania każdego szkicu, broniła ich z pełnym przekonaniem i pomogła mi ścigać marzenia. Moją śmiałość, a nawet zuchwałość wsparła jeszcze piątka ludzi: Alicia Gordon, Trący Fisher, Andy McNicol, Michelle Bohan oraz Mikę Sheresky.

Ogromne podziękowania składam przyjaciółom, którzy mi pomagali i wspierali mnie przez cały okres powstawania książki. Są to: Jonathan Barzilay, Jane i Marcus Buckingham, Chrissy, Priscilla i Norm Colvin, Beth de Guzman, Sara Demenkoff, Debby Goldberg, Meg Greengold, Cindy Guidry, Suzy Landa, Ruth Jaffe, Mary Jordan, Barry Rosenfeld, Julie i Mark Rowen, Melissa Thomas oraz Joe Torsella. Głęboko kłaniam się Davidowi Segalowi w podzięcie za podpowiedzi w kwestiach muzycznych. Dov Seidman, impresario i znawca szachów, zasługuje na specjalne podziękowanie za nakłonienie mnie do głębszego zaangażowania. Kristin Mannion winien jestem porządny filtr przeciwsłoneczny, a Whimsei – pyszne psie chrupki. Ucałowania dla zmarłej Phyllis Levy, która zainspirowała mnie do napisania tej książki i nadal jej patronuje – z wyższego pułapu.

Jeszcze kilka słów do mojej rodziny. Moja matka, Dorothy Sherwood, ponownie zaatakowała rękopis z bezlitosnym ołówkiem w dłoni: dostosowała tekst do wyśrubowanych standardów, wgryzając się w każde słowo. Jej geniusz wydawcy i redaktora ustępuje tylko talentowi matki. Jeffrey Randall, mój niestrudzony przyrodni brat, z zawodu neurochirurg, zapewnił mi działającą dwadzieścia cztery godziny na dobę telefoniczną linię alarmową, oferując

na bieżąco wszelką pomoc zawodową i przyjacielską. Moi siostrzeńcy, Richard i William Randallowie, pewnie któregoś dnia przeczytają tę historię, a ja życzę im, by zawsze łączyła ich więź tak silna, piękna i wartościowa, jaka jest pomiędzy mną a ich matką, moją fantastyczną siostrą, wyjątkową kobietą – Elizabeth Sherwood Randall. Nasza bliskość, ukształtowana w czasie niezliczonych dziecinnych przygód, stała się w dużym stopniu przyczynkiem do tej książki. Podobnie jak pamięć o naszym ojcu, Richardzie Sherwoodzie, którzy odszedł o wiele za wcześnie. Mimo wszystko dzień w dzień czujemy przy sobie jego obecność.

I w końcu chciałbym tę książkę zadedykować także mojej żonie, Karen Keheli Sherwood, która została obdarzona wyjątkową umiejętnością snucia opowieści. Ten właśnie jej dar widać właściwie na każdej stronie książki. Ona jest moją „Querencią”, moim słonecznym azylem, spokojną przystanią – i prawdziwą miłością.

Nie jesteśmy istotami ludzkimi doświadczającymi duchowości.

Jesteśmy istotami duchowymi,

doświadczającymi człowieczeństwa.

Pierre Teilhard de Chardin

Istnieje świat żywych oraz świat umarłych.

A łączy je most miłości, jedyny akcent przetrwania,

jedyne, co ma znaczenie.

Thornton Wilder

Wstęp

Wierzę w cuda.

Nie chodzi mi o te powszechne, jak cud życia, którego przykładem jest choćby mój synek, ssący matczyną pierś, czy zapierające dech w piersiach zjawiska naturalne, takie jak zachód słońca. Mówię o prawdziwych cudach: o przemienieniu wody w wino albo przywróceniu do życia umarłego.

Nazywam się Florio Ferrente. Mój ojciec, także strażak, dał mi imię po świętym Florianie, patronie naszej profesji. Tak samo jak tata, całe życie pracowałem w drugiej jednostce Engine Company przy Freeman Street w Revere, w stanie Massachusetts. Byłem pokornym sługą boskim, siedłem tam, gdzie Pan mnie posłał, i ratowałem życie, które on zamierzał uchronić. Można powiedzieć, że miałem misję do spełnienia, i dumny jestem ze swojego codziennego trudu.

Czasami przyjeżdżaliśmy do pożaru za późno. Laliśmy wodę na dach, mimo to dom i tak płonął. Kiedy indziej udawało nam się ugasić ogień, ocalić ludzi, dobytek, zwierzęta, całe sąsiedztwo. Psy mnie gryzły, koty drapały, takie ich prawo, ale cieszy mnie każda ocalona istota, którą wyniosłem z pożogi.

U większości ludzi hasło „straż pożarna” budzi skojarzenie z zespołem śmiałków, obładowanych wszelkim sprzętem, gaszących pożar. I słusznie. Praca strażaka to poważne zajęcie. Ale umiemy także śmiać się i żartować. Zdarza nam się, na przykład, potraktować kolegę lodowatą wodą pod ciśnieniem tak silnym, że aż wyrzuca człowieka w powietrze. Doprowadzamy żony do szału, stawiając zardzewiały hydrant akurat przy ozdobnym klombie z geranium. Mamy więcej miniaturowych wozów strażackich niż nasi synowie i potrafimy ostro brać się za łby przy ustalaniu najlepszego koloru dla pojazdów uprzywilejowanych. Tak przy okazji: ja wolę staromodny czerwony, a nie tę paskudną neonową żółć.

A przede wszystkim – uwielbiamy snuć opowieści. Zwłaszcza gdy po wyłączeniu telewizora pozwalamy sobie na chwilę odpoczynku i beztróskiego rozleniwienia.

Posłuchajcie mojej ulubionej historii o tym, co się zdarzyło trzynaście lat temu na moście zwodzonym imienia generała Edwardsa, całkiem niedaleko remizy strażackiej zbudowanej z czerwonej cegły – mojego drugiego domu.

Kolejny raz popędziliśmy na wezwanie, gnaliśmy na złamanie karku, jak zawsze kiedy śpieszyliśmy się, żeby wyciągać kierowców i pasażerów z poskręcanych wraków albo ratować ludzi potrąconych na przejściu dla pieszych.

Pierwszy raz pojechałem na most w siedemdziesiątym ósmym. Wtedy jakiś starszy kierowca nie zauważył w koszarnej zadymce światła ostrzegającego o podnoszeniu rampy, staranował szlaban, przeleciał równo za krawędź i razem ze swoim pontakiem wziął lodowatą kąpiel. Pławił się dwadzieścia dziewięć minut. Wreszcie nurkowie wycięli go spod lodu. Znamy dokładny czas, bo jego timex zatrzymał się w momencie uderzenia. Mężczyzna był siny, puls ani śladu. Zacząłem mu robić sztuczne oddychanie. Parę chwil później skóra mu się zaróżowiła, zamrugał, otworzył oczy. Miałem wtedy dwadzieścia cztery lata i w życiu nie widziałem czegoś równie niesamowitego. Miejskowa gazeta „Revere Independent” okrzyknęła to zdarzenie cudem. Ja tam wolę je nazywać wolą boską.

W mojej robocie człowiek stara się raczej zapominać o kolejnych wezwaniach, szczególnie o tych, gdy akcja skończyła się źle i ludzie stracili życie. Ale bywają takie wypadki, których zapomnieć nie sposób. Zostają w pamięci na całe życie. Mnie się trafiły takie trzy, wliczając tego staruszka pod lodem.

Jeszcze kiedy byłem żółtodziobem na praktyce, wyniosłem z piekielnego ognia przy Squire Road pięcioletnią dziewczynkę. Nie dawała żadnych oznak życia i była całkiem czarna od sadzy. Nazywała się Eugenia Louise Cushing. Żrenice miała jak główki od szpilek, nie oddychała, pulsu nie wyczułem, ale mimo wszystko podjąłem reanimację. Nawet kiedy lekarz stwierdził zgon, uznał ją za ofiarę pożaru i zaczął wypełniać dokumenty, ja robiłem swoje. Nagle mała usiadła na noszach, zakaszła, przetarła oczy i poprosiła o mleko. To był mój pierwszy cud.

Podniosłem z ziemi zgnieciony akt zgonu Eugenii i schowałem go do portfela. Teraz, po latach, jest w oplakanym stanie, ale i tak go noszę przy sobie. Przypomina mi, że na tym świecie nie ma rzeczy niemożliwych.

Wróćmy do przypadku Charliego St. Clouda. Jak już wspomniałem, wszystko zaczęło się na tym nieszczęsnym zwodzonym moście na rzece Saugus, choć to był dopiero początek. W zasadzie ta historia jest o poświęceniu i niewyobrażalnej więzi między braćmi. O spotkaniu bratniej duszy w najmniej spodziewanym momencie. O życiu przerwanim zniemacka i o utraconej miłości. Pewnie ten i ów byłby skłonny nazwać tę opowieść tragedią i trudno się sprzeczać. Ale ja zawsze próbowałem doszukać się dobrych stron w najbardziej rozpaczliwej sytuacji, dlatego tak doskonale pamiętam dzieje tamtych dwóch chłopców.

Niektóre zdarzenia mogą się wydać przesadzone albo nawet nieprawdopodobne, gdyż zbyt wielką wagę przywiązujemy do życia i do tego, co nam dobrze znane. W naszych pełnych cynizmu czasach trudno jest zrzucić pancerz, pozbyć się kolców, które dzień w dzień determinują naszą postawę. Czasami warto jednak spróbować. Otwórz oczy, a z pewnością zobaczysz to, co ja. Jeśli kiedykolwiek rozważałeś, co się dzieje, gdy zbyt wcześnie odchodzi bliska ci osoba – a przecież bliscy zawsze odchodzą za szybko – może znajdziesz tutaj nową prawdę, która pozwoli ci przezwyciężyć smutek. A jeśli uda ci się pozbyć poczucia winy, jeżeli wyjdiesz ze skorupy – wrócisz do świata. I już nigdy nie zaznasz samotności.

Większa część tej historii dzieje się w Marblehead w stanie Massachusetts, w sympatycznym miasteczku położonym na skalistym klinie wcinającym się w Atlantyckie Wybrzeże.

Zapada zmrok, jest już prawie ciemno. Stoję na pochyłym stoku usianym nagrobkami, w miejscu, z którego spoglądają na przystań dwie wierzby płaczące, pochylone nad niewielkim mauzoleum. Na wodzie niecierpliwie tańczą na cumach żagłówek, pod niebem buszują mowy, a na nadbrzeżu chłopcy próbują sił w wędkowaniu. Gdy podrosną, będą uciekać z domu i całować dziewczęta. Życie toczy się nieprzerwanie, bez końca.

Niedaleko mnie staruszek o miękkich siwych włosach kładzie na grobie żony bukiet malw. Jak co dzień wypolerował tablicę z napisem, aby usunąć najmniejszy pyłek czy ślad porostu. Na pokrytych mchem pomnikach czas zatarł litery. Równe rzędy grobów schodzą ku zatoce. W podstawówce uczyłem się, że dawno temu pierwsi amerykańscy patrioci właśnie z tego wzniesienia obserwowali brytyjskie okręty.

Najpierw cofniemy się w czasie o trzynaście lat, do września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

Siedzieliśmy w remizie, pałaszując słynne lody *spumoni* mojej żony, sprzeczałyśmy się co do winy Thomasa Clarence'a oskarżanego o molestowanie seksualne, robiliśmy zakłady, czy w tym sezonie lepsi okażą się Red Sox czy Blue Jays. Na dźwięk alarmu chwyciliśmy sprzęt i rzuciliśmy się do wozu.

Teraz przewróć kartkę, jedź z nami i słuchaj o śmierci i życiu Charliego St. Clouda.

I
KSIEŻYC

Jeden

Charlie St. Cloud nie był najbardziej błyskotliwym ani najpiękniejszym chłopcem w okręgu Essex, ale miał niezaprzeczalny urok osobisty i rokował uzasadnione nadzieje. W drugiej klasie liceum został zastępcą przewodniczącego, grał jako łącznik w drużynie baseballowej „Marblehead Magicians” oraz pełnił funkcję współprowadzącego klub dyskusyjny. W jednym policzku miał filuterny dołek, na nosie i czole piegi od słońca, a jego piwne oczy ginęły pod falą jasnoblonde włosów. Już jako piętnastolatek był wyjątkowo przystojny. Miał przyjaciół wśród sportowców i kujonów, miał nawet o rok starszą dziewczynę, koleżankę ze szkoły. Tak, Charlie St. Cloud był wspaniałym chłopcem o żywym umyśle i sprawnym ciele i miał przyzwoite widoki na przyszłość – mógł myśleć nawet o stypendium w Dartmouth w Princeton albo innej renomowanej uczelni.

Matka Charliego, Louise, szczerze cieszyła się z każdego osiągnięcia syna, który był zarówno przyczyną jej niepowodzeń, jak i lekarstwem na życiowe kłęski. Kłopoty zaczęły się dokładnie w chwili jego poczęcia. Była to ciąża niechciana i z tego powodu wybrane Louise, zdolny cieśla, ulotnił się jak kamfora. Charlie niechętnie wychodził na świat, więc trudny poród zakończył się krwawym cesarskim cięciem. Wkrótce pojawił się młodszy brat, syn kolejnego ojca, który także rozplątał się w powietrzu, i następne lata zlały się w jedno pasmo codziennych trudów. We wszystkich nieszczęściach i kłopotach Louise znajdowała pocieszenie w błyszczących oczach i optymizmie starszego syna. Z czasem stał się jej dobrym duchem, zwiastunem nadziei, chodzącym ideałem.

Rósł szybko, uczył się pilnie, dbał o matkę i kochał młodszego brata jak nikt na świecie. Mały miał na imię Sam, a jego ojciec, strażnik sądowy, zostawił po sobie jedynie ciemne loki synowi, a Louise – siniaki na twarzy. Charlie uważał się za jedyne prawdziwego opiekuna młodszego brata. Obaj wiedzieli, że kiedyś będą naprawdę ważni. Chłopców dzieliły trzy lata, całkowicie odmienna karnacja oraz sposób rzucania piłki baseballowej, ale jednocześnie byli najlepszymi przyjaciółmi, zjednoczonymi miłością do wędkowania, wspinania się po drzewach, do beagle'a imieniem Oscar oraz drużyny Red Sox.

Pewnego dnia Charlie podjął tragiczną w skutkach decyzję. Popełnił straszliwy błąd. Policja nie umiała go wyjaśnić, a sąd dla młodocianych zrobił wszystko, co mógł, by go pomniejszyć.

Dokładnie rzecz biorąc, w piątek, dwudziestego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku Charlie zaprzepaścił wszystko.

Louise pracowała na drugiej zmianie w tanim sklepiku przy Washington Street. Chłopcy wrócili ze szkoły w psotnym nastroju. Odrabianie lekcji zeszło na drugi plan, bo mieli na to czas aż do niedzieli wieczór. Wobec czego najpierw podglądali bliźniaczki Flynn mieszkające przy tej samej ulicy, następnie przeskoczyli ogrodzenie i podkradli się pod dom uciekiniera z Czech, który utrzymywał, że jest wynalazcą bazuki, a o zachodzie słońca w cieniu sosen na podwórzu za domem rzucali piłką, jak co dzień o tej porze, od czasu gdy Charlie podarował Samowi na siódme urodziny rękawicę firmy Rawling. Wreszcie zapadł mrok i skończyły się przygody.

Sam chętnie by sobie podrzemał przed telewizorem, najlepiej nastawionym na MTY gdzie na pewno puszcza jakieś clipy z „Wicked game” Chrisa Isaaka. Okazało się jednak, że Charlie przygotował niespodziankę. Zaplanował niezaprzeczalnie brawurową akcję.

Zaczął jednak skromnie.

– Może byśmy sobie urządzili nocny polów na plaży Devereux? – spytał.

Młodszy brat natychmiast stracił całe zainteresowanie telewizją i drzemką, ale udawał niewzruszonego.

– E tam, nuda. Ciągłe to samo. Chodźmy do kina. W Warwick-Cinemas dają „Terminatora II”. Nick Burridge przemyci nas gdzieś na tyły.

– Mam lepszy pomysł.

– Lepszy? Coś ty! Przecież ten film jest tylko dla dorosłych!

Charlie wyciągnął z kieszeni dzinsowej kurtki dwa bilety na mecz drużyny baseballowej Red Sox. Grali z Yankees. Bostońska drużyna miała ostatnio szczęście, natomiast ich przeciwnicy z Bronksu przegrali jedenaście z trzynastu spotkań.

– Rany! – zachwycił się Sam. – Skąd je wytrzasnąłeś?

– Ma się swoje metody.

– No tak, tylko jak my się tam dostaniemy... Pomachamy skrzydełkami...

– Nie bój nic! Pani Pung wyjechała na urlop, zgadza się? Pożyczymy sobie jej brykę.

– Jak to?! Przecież ty nawet nie masz prawa jazdy!

– Chcesz obejrzeć mecz?

– A co na to mama?

– Spoko. o niczym się nie dowie.

– Nie możemy zostawić Oscara samego w domu. Nabrudzi i narobi bałaganu.

– Zabierzemy go ze sobą.

I tak Charlie, Sam oraz ich ukochany beagle pojechali do Bostonu fordem country squire pani Pung. Oczywiście bez sąsiadki, pani Pung, właścicielki auta. W raporcie policyjnym opisano dwóch nieletnich bez praw jazdy, psa oraz skradziony biały samochód z czerwoną tapicerką. Ale pani Pung, wróciwszy z Naples na Florydzie, nie wniosła oskarżenia o kradzież. Uznała, że chłopcy tylko pożyczili wóz. Popelnili fatalny błąd i zapłacili za niego z nawiązką.

Jazda trwała pół godziny, Charlie był szczególnie ostrożny na drodze 1A, patrolowanej przez policję ze Swampscott i z Lynn. Na falach stacji WRKO wysłuchali relacji z rozgrzewki, wspominając, kiedy to ostatnio byli na meczu, oraz uważnie przeliczyli fundusze. Wyszło im, że wystarczy dla każdego na dwa hot dogi, colę i orzeszki.

– W tym roku dobrze nam idzie – stwierdził Sam. – Red Sox zwyciężą w rozgrywkach.

– Jeszcze tylko muszą przełamać klątwę „Bambino” – zgodził się Charlie.

Mówił o przesądzie wyznawanym przez każdego prawdziwego fana bostońskiej drużyny: sprzedaż doskonałego zawodnika, „Babę” Rutha, zespołowi Yankees ściągnęła na Red Sox straszliwą klątwę.

– Ale tak naprawdę to ty nie wierzysz w takie przesady, co? – zapytał Sam.

– Człowieku, fakty mówią same za siebie. Red Sox nie wygrali mistrzostw ani razu od tysiąc dziewięćset osiemnastego. Yankees byli najlepsi dwadzieścia dwa razy. No i co ci z tego wychodzi?

– Weź przestań. Przecież to nie „Babę” rzucał w osiemdziesiątym szóstym Billowi Bucknerowi. – Buckner był znienawidzonym pierwszometowym, który puścił łatwą piłkę między nogami w czasie mistrzostw świata, co kosztowało drużynę Red Sox utratę zwycięstwa, a wielu twierdziło, iż nawet tytuł mistrzów.

– A skąd wiesz?

– Wiem.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Właśnie że nie.

Cisza.

– Rozejm? – zaproponował Sam z ociąganiem.

– Niech będzie. Rozejm.

W ten sposób sprzeczka została przerwana, choć niezakończona. Rozejm był ich sposobem na zaniechanie kłótni, która mogłaby trwać bez końca. Każda była sumiennie odnotowywana w „Księdze mniejszych i większych kłótni Charliego i Sama”. Następnie, po wykonaniu kilku posunięć proceduralnych, mogła zostać podjęta w dowolnym momencie. Sam, ignorując różnicę wieku, rzucał się w wir tych dyskusji z wyjątkową pasją i obaj bracia spędzali długie godziny w bibliotece publicznej w ratuszu Abbot Hall na Pleasant Street, zaopatrując się w amunicję do przyszłych bitew.

Tuż za Charles River czekał na nich Boston, miasto czerwonej cegły i błyszczących szyb. Skręcili w Brookline Avenue, skąd było już widać przymglone światła stadionu. Oscar wystawił łeb przez okno i chwycił zębami chłodne powietrze. Biały, w czerwono-rude łaty. W kolorach ulubionej drużyny, idealna maskotka na tę wyprawę.

Na parkingu bracia wsadzili beagle'a do plecaka i ruszyli na stadion. Siedli na swoich miejscach akurat w chwili, gdy podniósł się gromki okrzyk radości po pierwszym rzucie Rogera Clemensa z numerem dwadzieścia jeden. Chłopcy żartobliwie skłonili się na prawo i lewo, witając innych kibiców. Jeden z ochroniarzy zeznał później, że widział dwóch młodocianych bez opieki dorosłych, w klubowych czapkach i z rękawicami, ale ich nie zatrzymał i nie wypytywał.

Siedzieli obok prawego zapola, tuż za facetem, który miał pewnie ze dwa metry wzrostu, ale wszystko jedno! Mogło jeszcze w dodatku lać, mógł nawet walić grad – nic nie było w stanie zakłócić cudownego widoku ogromnej zielonej ściany przy trawiastym lewym zapolu, zwanej przez miłośników bostońskiej drużyny Green Monster, kredowych linii i pyłu przy metach. Mieli bardzo niedaleko do słynnego słupa Pesky'ego, trzysta dwie stopy od bazy domowej. Ten piękny dystans pozwolił mu na wykonanie pełnego obiegu.

Jeden z ulubionych graczy braci, Wadę Boggs, usiadł z kontuzjowanym ramieniem. Jody Reed, wystawiony na jego miejsce, wykonał odbicie za dwie bazy i zdobył punkt, dobiegając do mety domowej. Chłopcy zjedli po dwa hot dogi z podwójną sałatką. Oscar dostał od kobiety z następnego rzędu trochę chrupek kukurydzianych. Potężnie zbudowany facet z brodą siedzący obok dał im parę łyków budweisera. Charlie pilnował się, żeby nie wypić za dużo. Mimo to w raporcie policyjnym odnotowano, że we krwi nieletnich wykryto ślady alkoholu. Wystarczająco dużo, by narodziły się pytania, ale za mało, aby jego obecność dostarczyła jakichkolwiek wyjaśnień.

Clemens załatwił zespół Yankees bez mydła, puścił tylko trzy narzuty, a sam wykonał siedem. Tłum szalał z radości, Oscar był jak opętany. Mecz zakończył się po trzecim wyautowaniu, zwyciężyła drużyna Red Sox. Fani zaczęli się rozchodzić, ale chłopcy zostali jeszcze na miejscach i z pasją analizowali przebieg rozgrywki. Ich ulubiona drużyna cudem znalazła się o krok od mistrzostw w Toronto. Zamiast zawalić sprawę, jak to zwykle bywało we wrześniu, miesiącu tradycyjnie dla Red Sox najgorszym, tym razem znaleźli się na fali.

– Kiedyś będziemy mieli karnet na wszystkie rozgrywki sezonowe – oznajmił Charlie. – Na miejsca za metą domową, w pierwszym rzędzie.

– Ja mogę siedzieć i tutaj – odrzekł Sam, wyjadając ostatnie orzeszki. – Najważniejsze, żebyśmy byli razem. I żebyśmy grali.

– Zawsze będziemy grali – obiecał Charlie. – Żeby nie wiem co.

Na stadionie gasły światła. Ziemną część boiska okrywano brezentem.

– Musimy wracać – uznał Charlie.

Biały wóz sąsiadki został na parkingu jako jedyny. Droga powrotna mijała znacznie szybciej niż w przeciwną stronę. W radiu śpiewał Springsteen. Na drodze było prawie pusto. Najdalej za pół godziny dotrą do domu. Mniej więcej o wpół do jedenastej. Mama wróci dopiero o północy. Pani Pung, odpoczywająca na urlopie na Florydzie, w ogóle o niczym się nie dowie.

Zaraz za Wonderland Greyhound Park Sam wyjął z kieszeni kasetę i wsunął ją do magnetofonu. Nagrani na niej byli U2, płyta „The Joshua Tree”. Chłopiec śpiewał „With or Without You” razem z zespołem.

– Bono jest najlepszy – stwierdził z przekonaniem.

– Bruce The Boss go przebija.

– Bono.

– Bruce Springsteen.

– Rozejm?

– Rozejm.

Jakiś czas jechali w milczeniu, aż Sam zapytał ni z tego, ni z owego:

– Kiedy ja wreszcie będę dorosły?

– Już jesteś dorosły – odpowiedział Charlie.

– Pytam poważnie. Kiedy przestanę być dzieciakiem?

– Oficjalnie – ciągnął Charlie – po skończeniu dwunastu lat jesteś dojrzałym mężczyzną i możesz robić, co zechcesz.

– Niby kto tak uważa?

– Ja.

– Jestem dorosłym mężczyzną i mogę robić, co zechcę – powtórzył Sam, upajając się dźwiękiem wymarzonych słów. Opuścił boczną szybę. – Spójrz – powiedział, wskazując wielki księżyc nad rzeką Saugus. – Jaki on dzisiaj duży! Na pewno spadł niżej.

– Eee tam. Zawsze jest w tej samej odległości. To tylko złudzenie optyczne.

– A co to takiego złudzenie optyczne?

– Złudzenie optyczne jest wtedy, kiedy wzrok robi ci różne numery.

– Jakie na przykład?

– Księżyc zawsze jest w odległości trzystu osiemdziesięciu czterech tysięcy kilometrów od Ziemi. – Szybko dokonał w pamięci kilku obliczeń. Liczenie zawsze przychodziło mu z łatwością. – Z taką prędkością jak teraz jedziemy, dotarlibyśmy tam mniej więcej za sto siedemdziesiąt dni.

– Mama by się wściekła – uznał Sam.

– I pani Pung nie byłaby zachwycona.

Roześmiali się obaj.

– To nie jest złudzenie optyczne – uparł się Sam. – On dzisiaj naprawdę jest bliżej. Poważnie. Zobacz, i jeszcze ma aureolę jak anioł.

– Coś ty – sprzeciwił się Charlie. – To refrakcja kryształków lodu w wyższych warstwach atmosfery.

– O rany, a ja myślałem, że to refrakcja kryształków lodu w twoim odrętwiałym mózgu! – Sam wybuchnął śmiechem, Oscar zawtórował mu serią krótkich ostrych szczęknięć.

Charlie spojrział w lusterko, potem sprawdził drogę przed sobą i wreszcie zerknął w prawo. Księżyc lśnił pomiędzy stalowymi słupkami barierki, dotrzymując im kroku. Rzeczywiście wydawał się znacznie bliższy niż zwykle. Chłopiec obrócił głowę bardziej w prawo, chcąc mieć lepszy widok. Ponieważ sądził, że most jest zupełnie pusty, docisnął pedał gazu.

Ze wszystkich pochopnych decyzji tamtego wieczoru ta była z pewnością najgorsza. Właśnie omalże ścigał się z księżycem. W ostatniej sekundzie, tuż przed kresem, ujrzał szczęście doskonałe. Zwróconą ku sobie rozradowaną twarz Sama, lok spadający mu na czoło, rękawicę baseballową na dłoni brata.

Potem rozległ się brzęk tłuczonego szkła, zgrzyt miażdżonego metalu i nastąpiła ciemność.

Dwa

Między przęsłami mostu imienia generała Edwardsa gwizdał zimny wiatr. Florio Ferrente wyciągnął spomiędzy różnorodnego sprzętu zębate ostrza, którymi można było ciąć stal. Choć ważyły ze dwadzieścia kilogramów, w jego ogromnych dłoniach wyglądały prawie jak kuchenne nożyczki.

Przyklęknął na chwilę i odmówił krótką modlitwę strażaka, od której zawsze zaczynał pracę:

Daj mi, Panie, odwagę.

Daj mi siłę.

Proszę Cię, bądź ze mną przez cały czas.

No i potem się zaczęło. Tysiąc albo i sto tysięcy najróżniejszych kalkulacji i propozycji, przymierzanie się i rozważanie. Wszystko błyskawicznie. Fachowym spojrzeniem ocenił rozlane paliwo. Czy wybuchnie od jakiejś iskry? Jak najszybciej dostać się do wozu? Przez przednią szybę, przez dach czy drzwiami? Ile czasu mają na uwolnienie poszkodowanych?

Czas. Najważniejszy i najcenniejszy czynnik.

Przekroczył postrzępiony ślad drogi gwałtownego hamowania, biegiem minął złożoną w pół długą ciężarówkę. Kierowca, oparty o łącznik między kabiną a naczepą, nie potrzebował pomocy. Wymiotował gwałtownie piwem i krwią. Taka właśnie była jedna z niepodważalnych zasad, jakich człowiek uczył się w służbie ratunkowej: Bóg chronił głupców i pijanych. Temu na pewno nic nie będzie.

Szybki rzut oka na tablicę rejestracyjną białego forda pozwolił ustalić pierwsze fakty. Wóz należał do pani Norman Pung, zamieszkałej przy Cloutman's Lane w Marblehead. Wiek: siedemdziesiąt trzy lata. Słaby wzrok. Może to się okaże pierwszą wskazówką.

Samochód był zgnieciony, leżał na dachu jak bezradny żuk. Maskę zmiażdżoną o barierkę mostu. Sądząc po ścieżce z potłuczonego szkła i kawałków metalu, koziółkował przynajmniej dwa razy. Florio opadł na czworaki i zajrzał przez okno.

Kompletna cisza. Żadnego oddechu ani jęku. Tylko krew kapiąca z poroźdieranej blachy.

Szybkim ruchem wcisnął w szczelinę pomiędzy dachem a drzwiami rozpieracz hydrauliczny zwany „szczękami życia”. Kciukiem nacisnął przełącznik, budząc urządzenie do życia. Karoseria jęknęła, zaskrzeczał rozdzierany metal. Pojawiła się niewielka dziura, w którą dało się wpełznąć. Florio wetknął głowę do środka i zobaczył dwóch nieprzytomnych chłopców, wiszących na pasach głowami w dół. Cali we krwi, obejmowali się mocno. Ani śladu pani Pung.

– Dwóch nieprzytomnych, są uwięzieni na przednim siedzeniu! – krzyknął do swojej partnerki, Trish Harrington. – Z tyłu pies. Zabieramy ich. Bezwzględne pierwszeństwo.

Wyczołgał się z wraku, ustawił nożyce przy zawiasach. Kolejny ruch kciuka i potężne ostrza dwa razy wgryzły się w metal. Florio pociągnął drzwi, odrzucił je na chodnik.

– Daj dwa kołnierze! – zawołał. – I krótkie nosze!

Znowu wcisnął się do środka.

– Słyszysz mnie? – spytał młodszego chłopca. – Odpowiedz. – Cisza. I bezruch. Dzieciak miał twarz i szyję we krwi, oczy i wargi spuchnięte.

Kolejna zasada służb ratowniczych: jeśli dziecko się nie odzywa, jest uzasadniony powód do strachu.

Zamontował chłopcu na szyi kołnierz ortopedyczny, wcisnął pod plecy krótkie nosze i przytoczył go do nich taśmami, dopiero wtedy przeciął pasy bezpieczeństwa. Delikatnie opuścił

rannego, wyciągnął go na chodnik. Mały był lekki, ważył nie więcej niż czterdzieści kilogramów. Na jego rękę – nie do wiary – tkwiła rękawica baseballowa.

– Żrenice nie reagują – stwierdził Florio, świecąc chłopcu latarką w oczy. – Brak napięcia mięśniowego. Krew z uszu. – Wszystko to fatalne objawy. Trzeba jeszcze wyjąć drugiego.

Wpełznął z powrotem do wozu. Nastolatek został przyciśnięty do kolumny kierowniczej. Florio wetknął rozpieracz w szczelinę szerokości jakichś trzydziestu centymetrów i włączył hydraulikę. Gdy metal się rozdzielił, ratownik zobaczył, że chłopiec ma otwarte złamanie uda. I poczuł straszny zapach płynu do chłodnicy zmieszanego z krwią.

Pośpiesznie unieruchomił chłopcu kark kołnierzem, usztywnił plecy i ostrożnie wyciągnął go na chodnik.

– Słyszysz mnie? – spytał.

Milczenie.

– Jeśli mnie słyszysz, ściśnij mi rękę – polecił.

Nic.

Dwie ofiary wypadku; dwaj chłopcy leżeli na chodniku. Psiaka, który jechał na tylnym siedzeniu, już nie dało się uratować. Został zmiażdżony między tylną osią a dachem bagażnika. Przykra strata.

– Święty Franciszku – wyszeptał Florio – otocz to boże stworzenie swoją łaską.

Spojrzał na zegarek. Przed nim była tak zwana złota godzina – tyle miał czasu na uratowanie chłopców. Jeśli w tym czasie zdoła ich doprowadzić do stabilnego stanu i dostarczyć na chirurgię urazową, może przeżyją.

Razem z partnerką zanieśli pierwszego do ambulansu. Potem drugiego. Trish pobiegła dookoła wozu, na miejsce kierowcy. Florio wszedł za noszami do środka, pociągnął drzwiczki. Wtedy dostrzegł wiszący nad horyzontem ogromny księżyc w pełni. To Bóg tam go umieścił, by nam przypominać, jacy jesteśmy mali w porównaniu z całym światem. I że wszystko, co piękne, jest nietrwałe.

Karetka ruszyła na sygnale, Florio zatrzasnął drzwiczki. Przez jedną króciuteńką chwilę ścisnął w palcach porysowany złoty medalik, który nosił na szyi. Święty Juda Tadeusz, patron od spraw trudnych i beznadziejnych.

„Poprowadź mnie właściwą ścieżką... ”.

Przyłożył stetoskop do piersi młodszego chłopca. Po chwili dotarła do niego niepodważalna prawda: nadszedł czas na cuda.

Trzy

Ziemię przesłaniała mgła, tłumiąca wszystkie dźwięki. Charlie, Sam i Oscar skulili się w wilgotnym mroku. Poza nimi nie było tu nikogo. Mogli znajdować się wszędzie i nigdzie. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Byli razem.

– Mama nas ukatrupi – odezwał się Sam drżącym głosem. Odruchowo uderzył pięścią w rękawicę. – Będzie wściekła. Jak diabli.

– Nie przejmuj się, mały – powiedział Charlie. Odsunął lok z czoła brata. – Ja się tym zajmę.

Nietrudno było sobie wyobrazić reakcję matki. Będzie oburzona, rozczarowana. Twarz jej poczerwienieje, na skroniach wystąpią pulsujące żyły. Obrzuci ich miażdżącym spojrzeniem, wokół zaciśniętych ust wystąpią zmarszczki.

– Pójdziemy do więzienia – martwił się Sam. – Pani Pung każe nam zapłacić za samochód, a przecież nie mamy pieniędzy.

Odwrócił głowę i skupił wzrok na ledwo widocznej w mroku powgniatanej bryle. Wrak forda. To, co ocalało z wypadku, zostało pocięte przez ratowników. – Nie pójdziesz do więzienia – uspokajał go Charlie. – Jesteś za młody. Nie wsadzą za kratki dwunastolatka. Może mnie, poza tym, ja prowadzić. Ale ciebie na pewno nie.

– Co my teraz zrobimy?

– Coś wymyślę.

– Wszystko przeze mnie.

– Nieprawda.

– Chciałem, żebyś popatrzył na księżyc.

– Nieważne. Ja powinienem był zobaczyć tę ciężarówkę i ją ominąć.

Sam znów uderzył pięścią w rękawicę. W tej dziwacznej nicości każdy dźwięk wydawał się płaski. Jeszcze raz.

– I co teraz? – spytał.

– Muszę się zastanowić – odpowiedział Charlie.

Rozejrzał się, próbując rozpoznać okolice. Nie widział mostu, krętej wstęgi rzeki ani zarysu przedmieść. Niebo było zupełnie ciemne. Przez chwilę szukał Gwiazdy Polarnej, potem jakiegokolwiek konstelacji, która by mu cokolwiek powiedziała. Ale widział tylko jakieś niewyraźne kształty, poruszające się w oddali, nieco gęściejsze niż płynna czerń nocy.

I wtedy zaczął sobie uświadamiać, gdzie są. W tajemniczy sposób przenieśli się na niewielkie wzgórze, na którym rosły dwie wierzby płaczące, spoglądające na przystań. Rozpoznał kształt wybrzeża, ujrzał maszty łódek podskakujących na niewielkiej fali i dostrzegł zielone światło latarni morskiej.

– Chyba jesteśmy w domu – powiedział.

– Jakim cudem?

– Nie wiem, ale sam zobacz. Nadbrzeże Tuckera. – Wskazał w odpowiednią stronę, ale młodszy brat i tak nie patrzył.

– Mama nas uziemi. Musimy uruchomić szare komórki, bo inaczej pasek pójdzie w ruch.

– Nie martw się, wszystko będzie dobrze. Zaraz coś wymyślę. Spokojnie. – W rzeczywistości nie miał jednak bladego pojęcia, co robić ani jak wybrnąć z tego bigosu.

W oddali dostrzegł jeszcze jedno światło, z początku blade, ale szybko nabierające blasku. Może to latarka, może ratownicy... Oscar zaczął szczeekać, najpierw przyjaźnie, jednak po chwili wydał z siebie przeciągły skowyt.

– Widzisz? – Sam też zauważył światło. – Co to jest?

- O cholera. – Jego brat nigdy nie przeklinał, więc chłopiec zmarł ze strachu.
- To mama?
- Nie, to nie mama.
- No to kto? Boję się.
- Światło było jasne i ciepłe. Ciągłe się zbliżało.
- Nie bój się – powiedział Charlie.

* * *

Brak oznak życia.

Brak pulsu. Brak oddechu. A więc niedotlenienie mózgu, wszystkich narządów i tkanek. Brak tlenu we krwi, zatrzymanie akcji serca na skutek urazu. Obaj martwi. Florio ponownie zaświecił latarką w pozbawione życia źrenice starszego chłopca, puste i bezdenne.

Podłączył elektrody do nadgarstków dzieciaka i po lewej stronie klatki piersiowej, wcisnął guzik monitora. Linia sześciosekundowego EKG była zupełnie płaska.

– Tu dwójka – odezwał się do radiowego mikrofonu. – Wieziemy dwie ofiary wypadku samochodowego. Bez pulsu, bez oddechu.

Chwycił zestaw do intubacji, wetknął chłopcu zakrzywioną stalową łopatkę laryngoskopu w usta. Uciskając bezwładny język i odsuwając go nieco w lewo, wycelował w otwór tchawicy przez niewielką szparę pomiędzy strunami głosowymi. Nacisnął mocniej, rurka intubacyjna ustaliła się we właściwej pozycji. Doskonale. Wprawnym ruchem nałożył na nią mankiet i napompował go, by oddzielić układ oddechowy od pokarmowego. Dołączył ambubag i rozpoczął wentylację.

Karetką gnała do szpitala North Shore na ostry dyżur. Florio nie mógł zmarnować żadnej szansy. Wyciągnął elektrody defibrylatora, przycisnął je do klatki piersiowej małego i kciukiem przerzucił włącznik. Zaaplikował mu dwieście pięćdziesiąt dzuli.

A niech to.

Linia na monitorze pozostała płaska. Tylko migotanie komór, a więc serce drżało jak galareta. Szybkimi, automatycznymi ruchami Florio wsunął dzieciakowi na ramię opaskę uciskową, znalazł żyłę, wbił igłę, umocował wenflon i wstrzyknął epinephrinę. Potem zaaplikował trzysta dzuli.

Gdy wcisnął przełącznik, ciałem szarpnęły drgawki. Nadal żadnego efektu, ale Florio to już znał. Trudno zliczyć, ilu diabetyków uratował z głębokiej hipoglikemii zastrzykiem D50. Ilu narkomanów po przedawkowaniu heroiny przywrócił do życia dawką narcanu. Nigdy się nie poddawał. Nigdy nie było za późno na cud. Nawet gdy na wieko trumny spadały grudki ziemi, niekoniecznie kończyła się historia życia człowieka. Od wielu lat zbierał wycinki prasowe o ludziach, którzy zostali uznani za zmarłych i z grobu upominali się o powrót do życia. Szczególnie podobała mu się opowieść o przypadku w Afryce Południowej, kiedy to czcigodny wielebny leżący w trumnie przyłączył się do chóru śpiewającego w czasie pochówku jego ulubioną pieśń. No i jeszcze ta historia o ortodoksyjnym biskupie wyznania greckiego: położono go na katafalku, by wierni mogli się z nim pożegnać i po raz ostatni okazać mu szacunek. Raptem, gdy rozdzwoniły się kościelne dzwony, kościelny dostojnik wstał, zszedł z podwyższenia i zapytał zdumiony, dlaczego wszyscy mu się tak przyglądają.

Florio ustawił przepływ energii w defibrylatorze na trzysta dwadzieścia dzuli i pstryknął przełącznikiem. Ciało chłopca zadygotało od wstrząsu elektrycznego. To była ostatnia szansa. Jeśli nie uda mu się przywrócić regularnej akcji serca, wszystko skończone.

Cztery

Mrok się rozpraszał, za chwilę miało ich otoczyć światło.

Sam dygotał, przyciskając do siebie Oscara.

– Boję się – powtórzył. – Będą kosmiczne kłopoty. Nie chcę, żeby mama krzyczała. I nie chcę, żeby nas od niej zabrali jacyś obcy ludzie.

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił go Charlie. – Mówię ci. – Ciepłe światło sięgało coraz głębiej w jego ciało, ból ustępował.

– Obiecuj, że mnie nie zostawisz – poprosił Sam, biorąc go za rękę.

– Obiecuję.

– I przysięgasz?

– Przysięgam.

– Z ręką na sercu?

– Z ręką na sercu – potwierdził Charlie. – A teraz ty przysięgnij, że mnie nie zostawisz.

– Nigdy – obiecał Sam.

Oczy miał szeroko otwarte i jasne, twarz spokojną. Jeszcze nigdy nie wyglądał tak pogodnie.

Uścisnęli się, a kiedy wstali, zaczął ich ogarniać ciepły blask, lśniąca złotobiała mgła.

– Nie przejmuj się, mały – powtórzył Charlie. – Wszystko będzie w porządku. Zobaczysz.

* * *

Florio usłyszał piśnienie czujnika.

Może wysłuchał go święty Florian. A może Juda Tadeusz. Lub po prostu była to łaska boska. Odczepił elektrody od klatki piersiowej rannego, na skórze zostały ślady poparzeń. Wykres EKG pokazywał wyraźny, regularny rytm serca. A potem, choć to nie do wiary, chłopiec powoli otworzył oczy o tęczówkach brązowych jak karmel, otoczonych jaśniejszą obwódką. Zakaszłał, spojrzał prosto przed siebie nieprzytomnym wzrokiem, jeszcze nieobecny duchem, jakby właśnie wrócił z dalekiej podróży.

– Witaj – odezwał się Florio.

Chłopiec wydawał się zmieszany i przestraszony, jedno i drugie całkowicie zrozumiałe w tych okolicznościach.

– Gdzie Sam? – wymamrotał. – Był tu przecież... Obiecałem...

– Jak się nazywasz?

– ... obiecałem, że go nie zostawię.

– Chłopcze, powiedz mi, jak się nazywasz.

– St. Cloud – szepnął słabo. – Charlie St. Cloud.

– Wracaj do życia, chłopcze. A ja zajmę się Samem. – Florio przeżegnał się i cicho zmówił krótką modlitwę:

„Dziękuję Ci za dar oddechu.

Za cud życia.

Za każdą następną chwilę”.

– Gdzie jest Sam? – spytał Charlie znowu. – Nie zostawię go...

* * *

Słowa nie bardzo miały sens, ale Charlie słyszał nacisk w głosie mężczyzny. Ten człowiek

mówił z napięciem, z jakim mówią dorośli, kiedy coś jest nie tak. Gdy nie panują nad sytuacją. Ratownik zajmował się Samem. Tuż obok.

Ciśnienie skurczowe sześćdziesiąt.

Utrata napięcia mięśniowego.

Brak możliwości intubacji.

Nagle Charliego ogarnęła fala bólu, przelała się po plecach i karku. Chłopiec skrzywił się i krzyknął rozpaczliwie.

– Zaraz minie – odezwał się ratownik. – Dam ci środek nasenny i znieczulający. Wszystko będzie dobrze.

Najpierw ramiona, potem nogi Charliego spowiło ciepło. Świat stracił wyrazistość, ale jedna myśl pozostała ostra i zrozumiała: dał młodszemu bratu słowo. Przysiągł, że będzie się nim opiekował. Obaj nie mieli szczęścia do ojców, którzy zjawili się i zniknęli, ale Charlie nie opuści Sama. Nigdy.

Jasne, tkwili w kłopotach po uszy. Mama uziemi ich na bardzo długo, ale nic nie trwa wiecznie. Obojętne, jaką wymyśli karę, w końcu przecież ten czas minie, a oni kiedyś dorosną. Nic im nie przeszkodzi.

W zmaconym umyśle pojawił się szereg ulotnych obrazów: któregoś dnia, już niedługo, dorosną na tyle, że wyjadą z domu. Najpierw do college'u, a potem do pracy. Zamieszkają po sąsiedzku, założą rodziny. Będą uczyli synów grać w baseball i kupią karnety na cały sezon meczów drużyny Red Sox.

Do tej pory właściwie nie myślał o przyszłości. Żył w terażniejszości wypełnionej przez młodszego brata i Oscara. Dopiero w tej chwili, z szyją w kołnierzu usztywniającym, z wenflonem w żyle, dziwnym sposobem zaczął widzieć nadchodzące lata – zawsze w towarzystwie Sama, choćby nie wiem co, nie ma innej możliwości. Życie bez niego było niewyobrażalne.

Sięgnął do drugich noszy, tuż obok. Przepchnął rękę pod potężnym torsem ratownika. Przesunął dłonią po chudym ramieniu Sama, wenflonie, rękawicy baseballowej, ułożonej przy ciele. Wreszcie wyczuł kruche palce, zimne i bezwładne. Zamknął je w uścisku.

II
ŚCIGAJĄC MARZENIA

Pięć

Flagi na przystani łopotały unisono. Tess Carroll wcisnęła hamulce swojego poobijanego chevy cheyenne rocznik siedemdziesiąt cztery, wysiadła i przyjrzała się trzepoczącym chorągiewkom. Każde zgięcie i najmniejszy ruch tkaniny dawały jej jakąś wskazówkę. Już wiedziała, że wieje przyjemna bryza z południowego wschodu, wietrzyk o sile nie większej niż cztery węzły. Rodził się gdzieś na krach Nowej Szkocji, ciągnął przez szlaki Nowej Anglii, aż wreszcie skręcał na Karaiby.

Przeszła do odkrytego bagażnika i szarpnęła klapę, ale ta ani drgnęła. Pikap został kupiony na złomowisku, ojciec Tess doprowadził go do stanu używalności, wstawiając stary silnik. Poradził jej, aby wymieniła auto na nowsze, gdy motor odmówi posłuszeństwa. Nie posłuchała tej sugestii, a kiedy ojciec nagle zmarł, nie było już na ziemi żadnej siły, zdolnej rozdzielić ją ze starym gruchotem. Utrzymywała go na chodzie sama, a kiedy kładła dłonie na gładkiej kierownicy, czuła się, jakby trzymała ojca za rękę.

Sięgnęła za burtę bagażnika, chwyciła wielki nylonowy worek żeglarski i przerzuciła go przez ramię. Była wysoka i smukła, miała proste ciemne włosy związane w koński ogon, wystający teraz spod czapki z logo bostońskiej drużyny futbolowej Patriots. Ruszyła w stronę nadbrzeża.

Przed nią, na składanym aluminiowym krzeselku wygrzewała się w słońcu Bella Hooper. Obok niej widniała ręcznie wymalowana tabliczka, głosząca: „Profesjonalne słuchanie”. Zobaczywszy Tess, Bella zsunęła z uszu słuchawki walkmana i zawołała głośno:

– Chodź, pogadamy!

Po trzydziestu latach pracy w charakterze barmanki w pubie Maddie's Bella kilka lat temu przeszła na emeryturę i rozkręciła własny interes. Za piętnaście dolarów za godzinę słuchała wszystkiego, co miało się jej do powiedzenia, dyskrecja gwarantowana. Nie udzielała rad i nie miała umowy z państwową służbą zdrowia, ale zawsze przychodziło do niej wielu chętnych, którzy przekazywali jej plotki, skarżyli się, złościли albo po prostu chcieli się wygadać. Bella miała wielki dar, chyba można by go nawet nazwać talentem, potrafiła podtrzymać coś w rodzaju jednostronnej konwersacji, wtrącając odpowiednie słówka w najodpowiedniejszych momentach. Wystarczyło trafne „aha!”, „ooo... ” albo „i co dalej?”, by taka szczególna rozmowa toczyła się bez przeszkód.

– No chodź, Tess, dam ci specjalną zniżkę dla przyjaciół i rodziny – kusiła. – Tylko pięć doliczów za godzinę słuchania najwyższej jakości.

– Szkoda, że nie słuchasz w ramach ubezpieczenia – zaśmiała się dziewczyna. – Może zostanę następnym razem. Teraz wypływam.

– Jak sobie chcesz – odpowiedziała Bella. Poprawiła słuchawki i rozsiała się wygodniej.

Niedaleko portowi bywalcy, emerytowani rybacy, grali na ławce w bezika. Uprawiali drobny hazard, popołudniami obowiązkowo kręcili się po przystani, mieli zawsze oko na każdą łódź, najlepsze pojęcie o cenie homarów i znali wszystkie najświeższe wiadomości.

– Cześć, księżniczko! – wychrypiął jeden z nich. Miał twarz o nieregularnych rysach i nosił wielkie okulary w rogowej oprawce.

– Sie masz, Bony! – odchrzyknęła Tess. – Jak ci idzie?

– Właśnie straciłem ostatnią koszulę. – Rzucił karty. – Szukasz załogi?

– Nie stać mnie na ciebie.

– Nalegam. Błagam! Najmę się za darmo. Nie wytrzymam tu już ani chwili.

– Pewnie, w końcu ile można przegrywać – zaśmiał się drugi.

– Tess, błagam, zabierz mnie na wodę.

– Koniecznie chcesz mieć następny zawał? – spytała, poprawiając worek na ramieniu. – Bo wiesz, że przy mnie nie ma lekko – puściła do niego oko.

– A niech mnie! – wykrzyknął Bony. Wszyscy w Marblehead od pokoleń wyrażali wzburzenie właśnie w ten sposób.

– A niech mnie też – odpowiedziała Tess.

Z niewiadomych powodów, zaginionych w odległej przeszłości, była to jedyna właściwa odpowiedź. Wywodziła się jeszcze z czasów, gdy w miasteczku wylewano pomyje przez okna. Marblehead powstało bardzo dawno i pozostało wyizolowane. Wyłącznie rodziny zakotwiczone tu przynajmniej od czterech pokoleń miały prawo nazywać się miejscowymi. Wszystkich innych uważano za nowo przybyłych. Rdzenni mieszkańcy używali wyrażen takich właśnie jak „a niech mnie też”, by odciąć się od obcych, nowych, którzy chcieli zaanektować półwysep, podnosili ceny i wprowadzali cappuccino na Pleasant Street.

– Do zobaczenia! – zawołała Tess, idąc w stronę kei.

– Uważaj, pogoda się załamuje – przestrzegł ją Bony.

– Dam sobie radę. A ty postaraj się pod moją nieobecność nie uwikłać w żadną sercową historię.

Kumple Bony'ego wybuchnęli śmiechem. Tess pomachała im na pożegnanie i ruszyła swoją drogą. Ubrana była w spodnie khaki z kwiciastymi łatami na kolanach, białą koszulkę bez rękawów i za dużą niebieską bluzkę koszulową. Jej oczy lśniły miękką zielenią, a za taki kształt nosa wiele kobiet z Los Angeles czy Nowego Jorku zapłaciłoby chirurgowi plastycznemu grube tysiące. Była jedną z tych szczęśliwych mieszkanek Nowej Anglii, które zawsze wyglądały jednakowo ślicznie: na party nad brzegiem morza i na lodowisku, grając w hokeja miotłami oraz piłką do nogi. Była piękna urodą całkowicie naturalną, a w lustro zaglądała tylko po to, by sprawdzić, czy po ciężkiej nocy na pokładzie nie zostały jej na twarzy ślady krwi.

Długim krokiem podeszła do przycumowanej przy nadbrzeżu trzynastometrowej łodzi żaglowej o kadłubie w pięknym czystym odcieniu błękitu i nieskazitelnie białym pokładzie. Na rufie wymalowano złotymi literami słowo „Querencia”.

Przyплыł był w połowie drogi, niósł ze sobą zapach wodorostów i soli.

– Pomożesz mi czy będziesz tak sobie siedział? – odezwała się Tess do potężnego osiłka, który machał nogami przewieszonymi przez burzę.

– Świetnie sobie poradzisz bez mojej pomocy – odparł Tink Wetherbee, ale wstał i obciągnął koszulkę z wielkim napisem, głoszącym drukowanymi literami: „Jednostka pływająca”. Miał metr dziewięćdziesiąt wzrostu, klatkę piersiową jak wzdęty solidnym wichrem spinaker, zarośniętą twarz i grzywę brązowych włosów, które sam przycinał. Tess przy każdej okazji powtarzała z lubością, że gdyby Tink powiesił sobie na szyi barylękę z rumem, niewiele by się różnił od bernardyna.

– Wiesz co – odezwał się, gdy wchodziła na pokład, przytrzymując worek na jednym ramieniu – jak na dziewczynę to jesteś całkiem krzepka.

– Na dodatek wypłacam ci pensję i mogę cię w każdej chwili kopnąć w paskudny tyłek. – Zakotłowała workiem, trafiając Tinka w pokaźne brzuszysko, aż się zatoczył do tyłu.

– Tyłek mam całkiem, całkiem. – Chwycił worek i wykręcił szyję, by obejrzeć rzeczoną część ciała.

– Tink, uwierz mi na słowo, twój tyłek stanowi żalosny widok. – Tess weszła do kokpitu. Po drodze zdążyła jeszcze posłać mężczyźnie sójkę w bok. – Pozostał mi tydzień – rzuciła przez ramię, szykując ster. – Ostatni tydzień i znikam. Będziesz za mną tęsknił?

– Czy będę za tobą tęsknił? A czy niewolnik tęskni za swoim bezlitosnym oprawcą?

– Ale ci się dowcip wyostrzył! – zaśmiała się Tess, zdejmując pokrywy z instrumentów nawigacyjnych. – No, a jak tam nasz piękny grot, gotów do wielkiej wyprawy?

– Masz najlepszy żagiel pod słońcem – odparł Tink. – Cały świat będzie ci zazdrościł.

– No i bardzo dobrze. – Podniosła rękę, wyciągnęła się wysoko w górę, a potem zrobiła skłon do czerwonych żeglarskich butów firmy Converse, sięgających nad kostkę. Po kilku miesiącach intensywnego treningu bolało ją całe ciało. Zrobiła tysiące pompek i ćwiczeń z obciążeniem na wzmocnienie bicepsów. Przebiegła i przepłynęła setki kilometrów. Każdy krok, każde posunięcie miały w efekcie umożliwiać jej stawianie żagli na wietrze o sile dziesięciu stopni w skali Beauforta, przetrwanie długiego czuwania na pełnym morzu i wciąganie kotwicy.

Bo już za tydzień, żegnana salwą armatnią, wypłynie w samotny rejs dookoła świata i jeśli jej szczęście dopisze, niesiona wiatrem, pokona trzydzieści tysięcy mil. Będzie to największa sportowa przygoda w jej życiu, spełnienie marzeń, a przy okazji całkiem przyzwoita reklama jej firmy, wykonującej żagle. Więcej ludzi zdobyło Mount Everest, niż opłynęło samotnie świat dookoła, a Tess zamierzała zostać jedną z pierwszych dziesięciu kobiet, które dokonały tego wyczynu. Na razie udało się to ośmiu żeglarkom.

Pomagało jej całe miasto, pieniądze na wyprawę służyły ze sprzedaży ciasteczek, homarów i z pikników organizowanych w celu zbierania funduszy, a radni miejscy ogłosili oficjalną deklarację, w której stwierdzono, iż Tess będzie pełnić w świecie funkcję ambasadora Marblehead. Start z Bostonu miał zostać pokazany przez każdą stację telewizyjną w Nowej Anglii, a potem dziennikarze z całego świata będą śledzili przebieg rejsu. Nawet miejscowe nastolatki włączyły się do akcji: gimnazjalna klasa pani Paterniny obiecała dzień w dzień przekazywać Tess pocztą elektroniczną najświeższe wiadomości z rodzinnych stron.

Tink przyklął na pokładzie i wyciągnął z brezentowego worka złożony w harmonijkę największy żagiel na grotmaszt. Gdy zaczął go rozkładać, Tess przyszła mu z pomocą.

– Wspaniały! – szepnęła, gładząc zielonkawą tkaninę.

I rzeczywiście, było się czym zachwycać, ponieważ grot w niczym nie przypominał trójkąta wyciętego z prześcieradła, jaki przyczepiła do masztu swojej pierwszej łódki. Ten był prawdziwym dziełem sztuki, najdoskonalszym osiągnięciem najnowocześniejszej technologii, wykonany z włókna kevlar, na pewno zdołałby przetrwać najgorszą pogodę na świecie. Wszyscy pracownicy zatrudnieni w zakładzie Tess dopieszczyli go przez długie tygodnie.

– Oby nie było żadnych literówek! – zaśmiała się, podciągając róg żagla do masztu.

Zaczepiła go w klamrze, następnie przymocowała halslinę. Przyklęła, obróciła kabestan i zaczęła podawać żagiel Tinkowi. Centymetr za centymetrem pełzacze jeden po drugim wspinały się na prowadnicę. Na grotmaszcie rosła zielona płachta.

Uśmiechnięta Tess patrzyła, jak strzelisty trójkąt z nazwą jej zakładu wycelował w niebo. „Żagle Carroll”. Żeglarze z pięciu kontynentów dowiedzą się o tej firmie i przy odrobinie szczęścia zapragną kupić któryś z jej wyrobów.

Obracała kabestan wolniej, grot był już w połowie wysokości masztu. Lekki wietrzyk poruszył jej włosami. Nie musiała zerkać na chorągiewki, by wiedzieć, że to bryza z północnego wschodu, pierwszy zwiastun spadającego ciśnienia. Delikatny szmer żagli budzonych wiatrem oraz łaskoczący powiew na karku dały jej znać, że na wodzie będzie dmuchało znacznie mocniej.

Tess kochała wiatr. Dotrzymywał jej towarzystwa od wczesnego dzieciństwa. Począwszy od słonecznego poranka dwadzieścia lat temu, gdy wpadła do przystani w swojej pierwszej łódce „Mordercza Bestia”, bez przerwy śledziła każdą, najmniejszą zmarszczkę na wodzie i pochylenie wysokiej trawy na brzegu. Znała wszystkie różnice między wiatrem pozornym a rzeczywistym i z niezaprzeczanym powodzeniem próbowała wszelkich sportów powietrznych od latania na paralotni oraz szybowcach, poprzez windsurfing i katamarany, aż po skoki spadochronowe i

swobodne spadanie, budzące prawdziwe przerażenie matki.

Uczyniła też z wiatru swoje źródło utrzymania. Po ukończeniu studiów na wydziale fizyki zdobyła pracę w Hood Sails w Newport, gdzie bardzo szybko wchłonęła bogatą wiedzę na temat współczesnych technik szycia nowoczesnych żagli. Prawdziwym uwielbieniem darzyła Teda Hooda, jej współziomka z Marblehead, zwycięzcę regat o puchar Ameryki, człowieka, który o prowadzeniu spinakera wiedział wszystko. Tymczasem po dwóch latach uświadomiła sobie, że nie ma ochoty być od nikogo zależna, nie chce mieć nad sobą szefa, a co gorsza, zupełnie jej nie odpowiada praca z komputerowymi modelami wskaźników prądów powietrznych. Wobec czego, mając na koncie bankowym równo sto osiemdziesiąt sześć dolarów oraz czterdzieści centów, złożyła wypowiedzenie i wróciła do domu.

Ojciec zaciągnął dla niej w banku pożyczkę, dzięki której rozpoczęła wytwarzanie żagli na własną rękę, w zakładzie tuż przy Front Street. Zamierzała konkurować w tym interesie z grubymi rybami. Nie minął rok, a zatrudniła tuzin najlepszych fachowców z okolicy. Stworzyli zgrany zespół, czuli się jak w rodzinie. Płaciła im lepiej niż dobrze i zachęcała do szukania sposobów, by jachty pływały możliwie najszybciej.

Wiatr przybierał na sile. Tess mocniej zakreśliła korbą, ale żagiel utknął w miejscu. Nawet Tink nie zdołał go poruszyć.

– Trzeba sprawdzić, co tam się stało – uznała, zadzierając głowę.

– Podciągniesz mnie? – spytał Tink, poklepując się po brzuchu.

– Nie ma mocnych! – Z jednej ze skrytek wyjęła linową uprząż z kawałkiem deski, przywiązała ją do fału i umościła się na drewnianym siodełku.

– Wciągaj! – zawołała.

Tink paroma silnymi szarpnięciami wywindował ją w górę.

Tuż nad piętnastometrowym masztem zatoczyła koło samotna mewa.

Tess natychmiast zorientowała się w przyczynie kłopotów: fał zeskoczył z krążka.

– Dawaj kontrafał! – krzyknęła. Wyciągnęła z kieszeni wojskowy nóż, wepchnęła czubek pod linę i wsunęła ją z powrotem na właściwe miejsce. – W porządku! – zameldowała. – Ale potrzyмай mnie jeszcze chwilę. Piękny widok. – Przesunęła wzrokiem po mieście rozciągającym się nad brzegiem zatoki.

Na skałach czekali na zdobycz wędkarze, cierpliwszi niż morskie drapieżniki. Po drugiej stronie zatoki dzieci puszczały latawce na plaży zwanej Riverhead. Dalej widać było mauzolea i pomniki cmentarza Waterside, położonego na łagodnym zboczu. Tam, pod klonem japońskim spoczywał jej ojciec. Matka wybrała to, a nie inne miejsce, bo chciała, żeby miał idealny widok na przystań.

Marblehead z całą pewnością było dla Tess najukochańszym miejscem na ziemi, światem samym w sobie. Choć liczyło dwadzieścia tysięcy trzystu siedemdziesięciu siedmiu obywateli, zachowało atmosferę niewielkiego miasteczka. Rdzenni mieszkańcy najczęściej spędzali tu całe życie i nawet do głowy im nie przychodziło, by gdziekolwiek wyjeżdżać. Rodzili się w Mary Alley Hospital, wyrastali na placach z borówkami z Driftwood i słynnych miejscowych ciasteczkach zwanych Joe Frogger Cookies, kupowanych w Rusty Rudder. Na filmy chodzono do Warwick-Cinemas, a upić się należało w pubie Maddie's. W grudniu ludzie zawsze zbierali się na nadbrzeżu, by popatrzeć, jak w Wigilię Bożego Narodzenia Święty Mikołaj z panią Mikołajową przyplływają kutrem do połowu homarów. Pobierali się w kościele Old North i świętowali w sali do wynajęcia na Gerry Playground. A gdy kończył się ich czas, znajdowali miejsce ostatniego spoczynku na cmentarzu Waterside.

Choć Tess kochała Marblehead całym sercem, czuła, że przeznaczenie wiedzie ją poza rodzinny półwysep. Chciała poznać świat oraz, jeśli Bóg tak zechce, znaleźć wielką miłość. Przez

minione lata zdążyła się dokładnie przyjrzeć każdemu chłopcu w mieście, który by się ewentualnie nadawał na jej ukochanego. Każdemu z siedmiu. Umawiała się na randki z różnymi chłopakami, z Bostonu po Burlington. I tak, po serii chybionych strzałów na terenie Nowej Anglii zyskała niezłomne przeświadczenie, iż nie znajdzie tutaj swojego księcia z bajki ani nawet zwykłego Romea, który by przynajmniej w przybliżeniu wiedział, o co jej chodzi. Dlatego właśnie postanowiła szukać szczęścia w świecie. Gdzieś w Australii albo w Nowej Zelandii spotka zabójczo przystojnego milionera władającego biegle trzema językami, zajmującego się renowacją klasycznych dwudziestometrowych łodzi. W dodatku będzie na tyle wysoki, że w tańcu obróci ją bez wysiłku, mimo że Tess włoży pantofle na obcasach.

Podróż dookoła świata potrwa cztery miesiące, a może nawet dłużej. Szczerze mówiąc, nie było żadnej gwarancji, że Tess w ogóle wróci do domu.

Mama знаła już chyba na pamięć historie wszystkich samotnych żeglarzy, którzy zaginęli lub cudem uniknęli śmierci, jak na przykład ten Kanadyjczyk, co to stracił łódź przy Wyspach Kanaryjskich i dryfował na tratwie ratunkowej przez siedemdziesiąt sześć dni. Przeżył, chociaż miał tylko półtora kilograma jedzenia i cztery litry wody.

– Hej, proszę pani, pani jednak waży swoje! – dobiegło ją z dołu.

– Wybacz. – Wróciła do rzeczywistości. – Chciałam zapamiętać ten widok.

Zjechała na pokład, wysunęła się z uprząży i poszła do kokpitu. Tam wyjęła podkładkę ze spisem najniezbędniejszych rzeczy. Weekendowy rejs, w który, dziś wyruszała, stanowił ostatnią okazję, by się upewnić, że wszystko, ale to bezwzględnie wszystko – jest dokładnie tak jak trzeba. Zamierzała przetestować żagle, autopilota, urządzenia nawigacyjne, wyposażenie ratunkowe. Po powrocie spędzi kilka dni z rodziną oraz przyjaciółmi i spróbuje się odprężyć przed wypłynięciem w długą podróż.

Tink zaglądał jej przez ramię.

– Koniecznie chcesz teraz płynąć sama? – spytał. – Ja ci mówię, zabierz mnie ze sobą. Przydam się, gdyby ci było smutno albo zimno... – kuksnął ją wielkim łokciem.

– Bardzo mi miło, ale nie jest mi potrzebny dodatkowy balast.

– A kto cię podciągnie, kiedy fał zeskoczy z krążka?

– Jakoś dam sobie radę. Lepiej mi powiedz, co z tym niżem.

– Nie jest dobrze – oświadczył Tink.

Wyjął z kieszeni kartkę z wydrukiem komputerowym. Jako pracownik firmy produkującej żagle był odpowiedzialny za cięcie i szycie. Jeśli natomiast chodziło o wielką wyprawę, pełnił funkcję prawej ręki Tess oraz nadwornego meteorologa. Swego czasu pracował w Bangor jako jeden z owych jowialnych prezenterów telewizyjnych, którzy w równym stopniu obdzielają widzów informacjami o kapryśnych aury jak własną pogodą ducha, ale jego kariera w mediach zmarła gwałtowną przedwczesną śmiercią. Pewnego wieczoru, przy okazji wiadomości o dwudziestej trzeciej ściał się z przebojową wyszczekaną anorektyczką, która czytała najświeższe informacje, i nazwał ją kłapiącym szczęką szkieletem oraz wredną suką. Choć nikt nie kwestionował trafności czy zasadności tej charakterystyki – nawet właściciel stacji – Tink stracił pracę. Wtedy rzucił w diabły lakier do włosów i make-up, przeniósł się na North Shore i zajął szyciem żagli oraz morskimi prognozami pogody.

– Od Maine nadciąga głęboki niż – oznajmił. – Mam na mapie same izobary niskiego ciśnienia.

– Czyli będzie zdrowo wiało. – Tess uśmiechnęła się uszczęśliwiona.

– Wolałbym, żebyś sobie darowała tę weekendową wycieczkę, ale skoro się upierasz, płyn na południowy zachód, to ominiesz burzę. Lepiej oszczędzać łajbę, póki można.

– Do zobaczenia w niedzielę, wielkoludzie.

– W razie potrzeby skorzystaj z radiostacji, dobrze? Będę czekał, usychając z tęsknoty, zwarty i gotowy.

– Aha! Będziesz oglądał mecz, z hot dogiem w garści!

– Zjem też jednego za ciebie. – Zeskoczył na nadbrzeże.

Tess przekreśliła kluczyk w stacyjce i silnik warknął. Położyła dłoń na drążku gazu i już miała otworzyć przepustnicę, gdy usłyszała wołanie:

– Hejże, tam na pokładzie! – Na pomoście stała kobieta tuż przed sześćdziesiątką, o puszystych siwych włosach wystających spod daszka na gumce. – Marynarzu, chcesz buziaka od starszej pani? – Grace Carroll była równie wysoka jak córka. Choć od kilku lat miała sztuczny staw biodrowy, nadal stawiała mocne, pewne kroki. – Kręcę się po kuchni, wyglądam przez okno, patrzę, a tu moja córka na maszcie – powiedziała. – Naszła mnie ochota, żeby się z nią pożegnać.

– Oj, oj – skrzywiła się Tess skruszona. – Nawet nie zadzwoniłam... Ale taka byłam zajęta...

– Już trudno, jakoś przeżyję – odparła Grace, wchodząc na pokład. – Ja też cały ten tydzień biegałam jak kot z pęcherzem. Zamykałam zbiórkę funduszy. – Grace od lat udzielała się w zarządzie Female Humane Society, najstarszej w mieście organizacji dobroczynnej założonej w pierwszych latach dziewiętnastego wieku, gdy po wyjątkowo silnym sztormie w Marblehead owdowiało siedemdziesiąt pięć kobiet. – Uważaj na siebie, kochanie – poprosiła.

– W przyszłym tygodniu masz godnie podjąć szacowne staruszki.

– Możesz na mnie liczyć – obiecała Tess z przekonaniem. – O nic się nie martw.

– Córciu, pamiętasz, że w środę udzielałam wywiadu dla naszej starej kochanej stacji WBZ? Koniecznie uprzedź mnie, co mam powiedzieć, żeby ci wstydu nie zrobiła. – Roześmiała się lekko. Po chwili spowaźniała, lustrując uważnym spojrzeniem „Querencię” od dziobu po rufę. – Tata byłby z ciebie dumny. I potwornie zazdrosny.

Rzeczywiście. Byłby dumny. I zazdrosny. To on ją nauczył, jak przymocować w balii kij od szczotki. Skakał z radości, gdy mała Tess wygrała pierwsze regaty. A przede wszystkim zawsze dodawał jej odwagi, zachęcał, by żyła pełnią życia i dzień w dzień podejmowała nowe wyzwania.

– Ścigaj marzenia – mawiał, cytując e. e. cummingsa. – I żyj miłością.

Gdy dwa lata temu zmarł na zawał serca – a z pewnością nie bez znaczenia był tu nadmiar kanapek z homarem – świat Tess nagle stracił barwy. Robiła, co mogła, by odzyskać radość życia, lecz na próżno. W końcu po raz kolejny posłuchała jego rady: postanowiła sprawdzić, na co ją stać. Rejs dookoła świata był zamierzeniem realizowanym ku czci ojca.

– Kiedy wrócisz? – spytała Grace.

– Powinam zdążyć na kolację w niedzielę, może nawet dotrę trochę wcześniej. Wszystko zależy od wiatru.

– Ugotować zupę rybną?

– Pewnie!

Grace przeczesła włosy dłonią.

– Jednego nie wiem – zastanowiła się głośno. – Kogo to ja będę karmić co niedziela, kiedy ciebie nie będzie?

– Jak to: kogo? Bobo i Tinka.

– Bobo? Tego żarłoka? No nie! Przecież on jest gorszy od kozy! Córeńko, a nie mogłabyś zabrać go ze sobą w ten rejs dookoła świata?

– Niestety, nie mogę. To byłoby wbrew regułom. Muszę płynąć sama.

– Głupie zasady. Na co komu samotność? – Spłowiła oczy Grace jakimś cudem zadała pytanie wyrażone bez słów. Tess od razu wiedziała, co miała usłyszeć: „Dlaczego, córeńko, jesteś sama? Czemu nie znalazłaś sobie męża? Dlaczego nie założyłaś rodziny, nie przyjęłaś

którejs z dwóch propozycji małżeństwa?". Zaraz jednak wyraz twarzy Grace złagodniał. – Kocham cię, córciu. Niech cię prowadzą dobre wiatry. A po powrocie zajrzyj do Babusi. Z pewnością nie pogardzi serdecznym uściskiem wnuczki. – Odwróciła się i już miała odejść, gdy Tess położyła jej rękę na ramieniu.

– A mnie się przyda uścisk mamy – powiedziała, rozkładając ręce. Mocno przygarnęła matkę do siebie, jak swego czasu ojciec.

Grace rzuciła się w objęcia córki. Bardzo brakowało jej obecności ukochanego męża. Przytuliła Tess z całej siły, jakby nie zamierzała nigdy i nigdzie jej puścić.

Po kilku chwilach odsunęły się od siebie. Grace pieszczotliwie uszczypnęła córkę w policzek, ucałowała ją serdecznie i odeszła.

Tess pchnęła drążek gazu. Łódź odbiła się od pomostu i wdzięcznie ruszyła kanałem, mijając dziesiątki przycumowanych jednostek.

Dziewczyna przyjrzała się wykresowi pogody sporządzonemu przez Tinka i naszkicowanej na tej samej mapie propozycji trasy weekendowej. Gruba czarna linia wiła się zygzakiem na południowy zachód za Halfway Rock, dalej na zachód przez Cape Cod Canal i Buzzard's Bay; tam zawracała szerokim łukiem. Łatwy rejs. Daleko od frontów niskiego ciśnienia nadciągających z północy.

Tymczasem Tess potrzebowała wyzwania. Chciała czuć naprężone żagle i zawrotną prędkość. Słyszała trzeszczenie łodzi; „Querencia” też rwała się do lotu, płótna głośnie uderzały o maszt. Na horyzoncie rysowała się gruba warstwa szarych altocumulusów, chmur o brzegach postrzępionych na kształt rybich łusek. Natychmiast przywiodły one Tess na myśl starą marynarską rymowanekę: „Jeśli niebo pokrywa się rybią łuską, to znak, że żagle trzeba spuszczać nisko”. Innymi słowy, za parę godzin będzie zdrowo dmuchało. Cudownie!

Wyłynęła z przystani, minęła latarnię morską i ustawiła łódź na najmniej spodziewanym kursie. Kompas wskazywał pięćdziesiąt osiem stopni, prosto na Eagle Island Channel i boję Powers Rock. Tess nigdy nie szła na łatwiznę. Jeśli nie dałaby sobie rady z takim niżem, to jakim cudem miałyby samotnie opłynąć świat? Dlatego zdecydowała się na baksztąg; wykorzystwała całą powierzchnię grota. Na przyrządach zamigotały cyfry o rosnących wartościach, „Querencia” szybko nabierała prędkości. Na skrzydłach coraz silniejszego wiatru mknęła wprost w objęcia sztormu.

Sześć

Kobieta w czarnej sukni płakała.

Kłęcząca przy grobie, dłoń zacisnęła kurczowo na granitowej płycie. Kruchym ciałem wstrząsał szloch. Ze starannie upiętego koka wysuwały się siwe pasma.

Charlie St. Cloud zerkał na nią zza żywoplotu. Znał ją, ale do niej nie podszedł. Nauczył się szanować ból. Jeszcze przyjdzie czas, by jej zaproponować pomoc, ale na razie na to za wcześnie. Wetknął rękawice do tylnej kieszeni spodni, odwinął z papierka gumę do żucia i wrzucił ją do ust. Czekał.

Ten grób wykopał nie dalej jak dziś rano. Podniósł trumnę z karawanu, opuścił ją do dołu, a gdy pogrzeb się skończył, zrobił to, co jeszcze zostało do zrobienia. Tego dnia był to jedyny pochówek na cmentarzu Waterside. Czas płynął bez pośpiechu. Jeden z pracowników przycinał żywoploty, drugi mył pomniki wodą tryskającą z węża pod ciśnieniem. Trzeci zbierał gałęzie połamane przez sztorm. Wrzesień zawsze był na cmentarzu najspokojniejszym miesiącem w roku. Charlie nie do końca potrafiłby wyjaśnić, dlaczego tak się działo, ale tak właśnie było. Największy ruch panował w grudniu i styczniu. Ludzie umierali najczęściej właśnie zimą, może z powodu mrozu, a może wskutek naturalnej reakcji na nadmiar wolnych dni.

Już trzynaście lat minęło, odkąd Charlie St. Cloud zatrudnił się na cmentarzu Waterside. Trzynaście lat temu ratownikom nie udało się przywrócić do życia jego młodszego brata. Przed trzynastu laty Sam został pochowany w niewielkiej trumnie niedaleko Lasu Cieni. Minęło trzynaście październików. Trzynaście razy odbyły się mistrzostwa świata. Już trzynaście lat dotrzymywał obietnicy.

Charlie nadal był przystojniakiem z szopą jasnych włosów. Kiedy się uśmiechał, na jego policzku wciąż ukazywał się figlarny dołek, a spojrzenie karmelowych oczu potrafiło rozbroić największego wroga. Matka twierdziła, że z każdym rokiem coraz bardziej upodabniał się do ojca. Musiał jej uwierzyć na słowo, że to komplement, ponieważ jedyne zdjęcie ojca, jakie znał, przedstawiało obszarpanego twardziela na motorze, w błyszczących lotniczych goglach zsuniętych na czoło.

Urósł jeszcze parę centymetrów i w rezultacie miał prawie metr dziewięćdziesiąt, szerokie bary i muskularne ramiona, wyrobione od noszenia trumien i kamieni nagrobnych. Po wypadku lekko utykał, ale prawie nie było tego widać. Lekarze uprzedzili go, że śruby, gwoździe i metalowe płytki w kościach udowych i piszczelach będą aktywowały detektory metali, lecz jak na razie nie miał okazji o tym się przekonać.

Skończył szkołę średnią, dwa lata uczył się w college'u stanowym w Salem i zdobył dyplom z pierwszej pomocy. Został licencjonowanym ratownikiem-paramedycznym, lecz mimo wszystkich osiągnięć i niezależnie od chęci, nie potrafił oddalić się na dobre od Waterside. Nawet gorące uczucie do ślicznej nauczycielki z Peabody przegrało z cmentarzem i koniecznością dotrzymania obietnicy.

Waterside był całym jego światem. Trzydzieści dwa hektary trawy i granitu, otoczone kutym żelazem. Charlie mieszkał w stróżówce pod lasem i doglądał wszystkiego: pogrzebów, strzyżenia trawy, konserwacji pomników. Miał odpowiedzialną pracę, w sam raz dla sumiennego młodego człowieka, jakim przecież był zawsze, poza tą jedną chwilą, wtedy na moście, gdy zmieniło się wszystko.

Dwudziestoosmioletni Charlie spędzał najlepszy okres życia, opiekując się żywymi i umarłymi. Dotrzymanie słowa danego Samowi kosztowało go wiele wyrzeczeń. Zrezygnował z marzeń o pracy w biurze drużyny Red Sox w Fenway Park albo może nawet w Major League

Baseball na Park Avenue w Nowym Jorku.

Dziś, jak każdego innego dnia, widział łyzy na kolejnej twarzy i znów patrzył na nie ze ściśniętym sercem. Zawsze to samo. Młodzi, starzy, zdrowi i chorowici... wszyscy się tu zjawiali, a gdy wzięli się w garść, odchodzili.

Kobieta osunęła się na kolana, wsparta o kopczyk świeżo usypanej ziemi pokrywającej dół mający dokładnie określone wymiary: szerokość – dziewięćdziesiąt centymetrów, długość – dwieście czterdzieści, głębokość – półtora metra. Na wierzchu warstwa ziemi grubości co najmniej pięćdziesięciu centymetrów. Charlie nagarnął ją spychaczem. Wszystko ściśle według przepisów.

Chciała wstać, ale zachwiała się i opadła na jedno kolano. Nadszedł właściwy moment, by zaproponować jej pomoc. Charlie pozbył się gumy do żucia. Miał na sobie służbowy strój pracowników Waterside: bladoniebieską koszulkę polo z cmentarnym logo, spodnie koloru khaki oraz robocze buty.

– Proszę pani – odezwał się cicho. – Pani Phipps...

Drgnęła i przesunęła na niego niewidzący wzrok.

– To ja jestem – powiedział Charlie.

Oszołomiona lekko pokręciła głową.

– Nazywam się Charlie St. Cloud, pamięta mnie pani? Uczyła mnie pani angielskiego.

Otarła oczy i wreszcie skinęła potakująco.

– Oczywiście, że cię pamiętam. Gorzej, że ty nie pamiętasz, jak należy poprawnie budować zdania. Nie mówi się: „to ja jestem”, tylko po prostu: „to ja”.

– To ja przepraszam. – Na policzku Charliego ukazał się przekorny dołek.

Tuż nad pantoflem o wydłużonym czubku w pończosze Ruth Phipps puściło oczko. Wstała, chwiejąc się niepewnie, i posłała mu słaby uśmiech. Jeszcze nie tak dawno znano ją jako Bezlitosną Ruth, postrach miejscowego gimnazjum, słynącą z rujnujących średnią ocen, złośliwych kartkówek i koszmarnych egzaminów końcowych.

– Charlie St. Cloud – powtórzyła. – Niech no chwilę pomyślę... Otrzymałeś doskonałą ocenę z pierwszego testu, a potem... potem zdarzył się wypadek... i twój brat...

– To było już dawno – przerwał jej, wciskając ręce w kieszenie. – Nie ma po co do tego wracać. Chciałbym pani złożyć wyrazy współczucia. Muszę przyznać, że wybrała pani jedno z najpiękniejszych miejsc na cmentarzu.

– Wszystko stało się tak nagle. – Pokręciła głową. – Tak niespodziewanie. Nawet nie miałam czasu się pożegnać. – Pani Phipps otarła łyzy i przy tym geście nagle wydała się równie ludzka jak każda inna człowiecza istota. Ręce miała wiotkie niczym gałązki wierzby, oczy ciemnobrązowe – jak kora. Śmierć także ma swoje dobre strony.

– Naprawdę bardzo pani współczuję – powiedział Charlie serdecznie.

– I co ze mną teraz będzie? Co ja pocznę? – Ciągle jeszcze drżała. – No i co z Walterem?

– Wszystko będzie dobrze – zapewnił ją Charlie. – Może mi pani wierzyć. Trzeba tylko trochę czasu. Przekona się pani.

– Jesteś pewien? – szepnęła.

– Całkowicie.

– Zawsze byłeś takim mądrym chłopcem. Często się zastanawiałam, co się właściwie z tobą dzieje.

– Mieszkam w służbówce. Tam, pod lasem. Jeśli kiedyś będzie pani miała ochotę do mnie zajrzeć – zapraszam.

– Jesteś bardzo miły – powiedziała, upychając niesforne pasmo włosów w koku. Wygładziła sukienkę i niezbyt pewnym krokiem ruszyła przez trawę. – No, czas na mnie. Dziękuję ci za

pomoc, miły z ciebie chłopiec.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Taka moja rola.

Pani Phipps poszła w dół, w stronę wspaniałej, kutej w żelazie bramy prowadzącej na West Shore Drive.

* * *

Zbliżał się czas zamykania cmentarza, więc Charlie skierował wózek w wąską alejkę, pokonując zakręty z wprawą wytrawnego rajdowca. Jakiś czas temu, gdy dopiero co stanął na nogi, musiał poświęcić ponad godzinę, zanim sprawdził całe trzydzieści dwa hektary i odszukał wszystkich żałobników zatopionych w myślach, wycieczkowiczów drzemących na murawie oraz nastolatków ukrywających się za pomnikami. Aby ułatwić sobie pracę, podrasował nieco swój pojazd: dołożył mu trochę mocy oraz zmodyfikował zawieszenie i teraz objeżdżał cały teren niepozornym wózkiem z napisem WATERSIDE na obu bokach w dwadzieścia minut.

Zaczynał zawsze od północnego krańca, wysoko na wzgórzu, tam gdzie przycupnęły marmurowe anioły z trąbami. Kierował się na południe, zgrabnie manewrując między kamiennymi pomnikami poustawianymi w schludne szeregi. Każdy kawałek granitu, każda kwitnąca begonia stanowiły w jego pojęciu namacalny dowód ludzkiego pragnienia bycia pamiętanym. Wjechał w Dolinę Ostatniego Spoczynku i spojrzął na przystań, gdzie akurat cumował przy kei wiekowy szkuner. Chwilę później zatrzymał się, by powitać starszego dżentelmena z czerwoną konewką w dłoniach, ubranego w jasny letni garnitur.

– Dobry wieczór panu.

– Witaj, witaj, Charlesie! – wykrzyknął Palmer Guidry. Miał miękkie siwe włosy i kępki niedogolonego zarostu na twarzy. Jako jeden z tak zwanych bywalców przychodził na cmentarz dzień w dzień, wrywał z grobu żony chwasty i usuwał z nagrobka najdrobniejsze pyłki. Z opartego o drzewo starego magnetofonu nieodmiennie dobiegały dźwięki muzyki Brahmsa.

– Już zamykamy – powiedział Charlie. – Podwieźć pana?

– A, chętnie skorzystam. Bardzo jesteś uprzejmy.

Charlie zszedł z wózka, kilka razy poruszył nogą, by pozbyć się bólu w kolanie, i podszedł do staruszka.

– Wezmę pana rzeczy.

Taka rozmowa powtarzała się niemal każdego wieczoru. Tym razem Charlie ucieszył się z poprawy stanu pana Guidry'ego. Staruszek przechodził wczesne stadium alzheimera, choroba wywarła niekorzystny wpływ na jego pamięć krótkotrwałą. Nie przypominał sobie, co było wczoraj, albo wydarzeń sprzed dwóch dni, natomiast stale miał przed oczami obrazy z odległej przeszłości. Dlatego nie miał pojęcia, że poprzedniego dnia także wypolerował pomnik na grobie swojej żony, Betty, a doskonale pamiętał, jak trzymał ją w ramionach, gdy zatańczyli razem po raz pierwszy, na balu maturalnym. Z tego samego powodu nie wiedział, że Charlie zwykle podwoził go wieczorem do bramy cmentarza, natomiast stale widział zdumioną twarz Betty, gdy przed laty dosięgła ją apopleksja.

Pan Guidry starannie złożył ściereczkę do kurzu i wetknął ją do teczki, następnie wyłączył magnetofon, a na koniec dokonał ostatecznej inspekcji.

– Malwy są piękne – zachwycił się, przesuując dłonią po ciemnoczerwonych kwiatach na smukłych łądych. – A wiesz, Betty je uwielbiała.

– Coś mi się obilo o uszy – odpowiedział Charlie, biorąc teczkę i magnetofon.

– Czy mówiłem ci, – jak to było, gdy któregoś roku Betty w całym ogródku wysiała różowe malwy? – Wetknął czerwoną konewkę pod pachę i szurając nogami, ruszył do wózka. – Wyrosły

na dwa metry w górę!

– Tak, już pan o tym wspominał.

– Dobrej nocy, Betty – rzekł staruszek, wdrapując się na przednie siedzenie. – Słodkich snów, kochanie. Niedługo wrócę.

Gdy zjeżdżali ze wzgórza, nie wiadomo który raz opowiedział historię różowych malw. Charlie lubił słuchać pana Guidry'ego, ten zaś akcentował każde słowo mrugnięciem, i na koniec, gdy pod łukiem kutej w żelazie bramy wyjeżdżali na West Shore Drive, nieodmiennie ronił kilka łez.

– Pięknie pan opowiada.

– Może byś zajrzał do mnie na kolację? Przygotuję ulubione danie Betty. Najwspanialszą pieczeń pod słońcem.

– Dziękuję za zaproszenie – powiedział Charlie. – Chętnie bym skorzystał, ale jestem umówiony.

– No, to jak tam sobie chcesz – uznał pan Guidry. – Ale nie wiesz, co tracisz.

Charlie chwilę przyglądał się, jak staruszek wsiada do złotego buicka i wolno wyjeżdża na dwupasmówkę. Spojrzał na zegarek. Osiemnasta dwanaście. Do zachodu słońca zostało dokładnie trzynaście minut. Wielkie skrzydło żelaznej bramy zaskrzypiało przy zamykaniu. Stanowczo najwyższy czas naoliwić zawiasy. Chociaż, z drugiej strony... było coś uspokajającego w tym znajomym dźwięku.

Przekreślił w zamku ogromny klucz i w ten sposób zamknął Waterside na noc. Cmentarz zostanie otwarty dopiero o ósmej następnego ranka. Charlie na powrót wsiadł do wózka i przesunął wzrokiem po murawie, wśród której zraszacz strzelały w niebo skroploną mgiełką.

Otaczał go spokój tak wielki, że niemal namacalny. Prawdziwy raj. Miał czternaście godzin, aż do chwili, gdy powróci normalne życie. Najcenniejsze chwile. Czas dla siebie. Czas istnienia. I myślenia. Ale przede wszystkim czas na najważniejsze zajęcie skrywane w głębokim lesie.

Siedem

Zagajnik zwany Lasem Cieni, ostatni niewykorzystany teren Waterside, zajmował osiem hektarów zarośniętych dębami, hikorami i wiązami, a przy okazji, jako działka, stanowił wyjątkowo łakomy kąsek. Regularnie pojawiały się pogłoski o kolejnym inwestorze ostrzającym sobie zęby na ten kawałek ziemi, coraz to ktoś nowy chciał tu stawiać luksusowe osiedle. Tymczasem przed kilkoma miesiącami wszelki entuzjazm znacznie ochłódł, gdy jeden z agentów nieruchomości zmarł w tajemniczych okolicznościach, a zamożny nabywca gruntów zszedł był na wylew krwi do mózgu.

Ludzie zaczęli gadać, że las jest nawiedzony.

Charlie natomiast wiedział swoje. Dla niego las był najwspanialszym miejscem w Waterside, a że nikt nie śmiał tam wejść po zmroku – tym lepiej.

Tej nocy poprowadził wózek wyboistym traktem i zatrzymał się pod świerkiem błękitnym. Nad głową przeleciał mu klucz gęsi kanadyjskich. Światło dnia już gasło, znacząc poszycie złotymi plamkami. Z nawyku obejrzał się przez ramię. Oczywiście nikt go nie śledził, ale musiał mieć pewność. Niezbitą.

Pośpiesznie zdjął robocze ubranie i zwinął je w kulę, a potem ściągnął buty. Włożył bluzę od dresu z logo bostońskiej drużyny koszykówki Celtics, dzinsy i buty do biegania. Spod siedzenia wyjął rękawicę baseballową i piłkę. Wszedł w las. Nikt by nie dostrzegł drożynki prowadzącej między drzewami. Zaczynała się tuż za butwiejącym pniem i wkrótce nieco się rozszerzała – w końcu chodził nią co wieczór od trzynastu lat. Początkowo wspinała się zboczem niewielkiego wzgórza, następnie biegła obok klonowego zagajnika, wreszcie opadała przy wodospadzie i zasilanej przez niego sadzawce.

Charlie znał każdą dziurę, każdy korzeń na tej ścieżce, mógłby biec tędy z zamkniętymi oczami. Szybkim krokiem minął gaik cyprysowy, otwierający się na polanę i oto miał przed sobą największy sekret Waterside: zakątek, który przed laty stworzył własnymi rękami. Wtedy, dawno temu, postanowił zbudować tutaj doskonałą replikę podwórza ich domu przy Cloutman's Lane. Piękny kwadrat o boku trzydziestu metrów, z wypieszczoną metą miotacza, stanowiskiem pałkarza oraz bazą domową.

Podszedł do huśtawek i usiadł na desce. Wyrzucił nogi do przodu i zaczął się huśtać. Po chwili kołysał się wysoko, na zmianę w przód i w tył, a gdy gonila go lekka bryza, miał wrażenie, że frunie. W końcu zeskoczył, miękko wylądował i chwycił rękawicę. Rzucił piłkę w ciemniejące niebo. Dotknęła czubków drzew i opadła. Rzucił jeszcze raz. Akurat miała wylądować w jego dłoni, gdy porwał ją nagły podmuch wiatru – przeleciała w poprzek boiska, poturlała się po trawie, by zatrzymać się na skraju lasu. I wtedy zdarzył się cud, jak co dzień o zachodzie słońca.

Z mroku pomiędzy drzewami wyłonił się Sam St. Cloud. Podniósł piłkę. Nie zmienił się przez te wszystkie lata ani odrobinę. Nadal był dwunastolatkiem o niesfornych brązowych lokach, szczupłym ramieniem przytrzymywał rękawicę baseballową. Ubrany w workowate sztruksowe spodnie do kolan i czarne trampki za kostki, na głowie miał czapkę drużyny Red Sox. Tuż za nim z lasu wyprysnął Oscar z wysoko podniesionym ogonem, przyjaciel o wiecznie ufnym spojrzeniu. Zaskomlał radośnie, tak samo niezmieniony jak jego pan. Trącił Sama w chude kolano i pognął do Charliego.

– Cześć, bracie! – zawołał uszczęśliwiony Sam. – Gramy?

Dziesięciometrowa ściana wody runęła na kokpit. Tess odpadła od knagi, zmiotło ją, aż napreżyła się linka asekuracyjna. Zagarnięta przez lodowaty strumień, desperacko walczyła o oddech, uciskana nieznośnym ciężarem oceanu, na granicy utraty przytomności. Na szczęście uprząż i lina ratunkowa zdały egzamin. Kilka chwil wcześniej Tess zdążyła wciągnąć na siebie pomarańczowy kombinezon ratunkowy, który w zasadzie mógł pełnić funkcję jednoosobowej tratwy ratunkowej, a w dodatku ponad tydzień można było się w nim nie obawiać hipotermii.

Tess wykasłała z płuc solidną porcję słonej wody i podciągnęła się do steru. „Querencia” cięła grzmącą ciemność – łupina orzecha, pozbawiona żagli. Grot został przywiązany do bomu, pozostałe były zdjęte.

Ryczące fale atakowały jacht mniej więcej co dwadzieścia sekund, grzmociły w kadłub, zbrzydziwały świat fontannami piany. Kleksy fosforu znały niebo sztormowymi fajferwerkami. Ocean wyglądał jak niekończące się górskie pasmo, pocięte stromymi klifami, pędzące na łódź z prędkością stu kilometrów na godzinę. Szczyty waliły się w dół niczym potężna lawina.

Tess nie przejmowała się wściekłym wichrem ani rozszalałym oceanem. Nie zwracała uwagi na szczypiące od soli oczy, zdrętwiałe dłonie czy bolące po upadku biodro. Nie podniósł jej ciśnienia nawet radar, wskazujący, że nadciąga jeszcze większy niż. Całą jej uwagę i niechęć ściągnął na siebie nieprzewidziany problem: woda chlupocząca w nowiutkich antypoślizgowych butach.

– Jasna cholera! – wrzasnęła oceanowi w twarz. – Pięćset baksów i przeciekają!

Zerknęła na lśniące wskaźniki w szafce kompasowej. Wiatromierz wskazywał czterdzieści węzłów, po chwili już czterdzieści pięć. Gdy „Querencia” zsunęła się ze stromej fali, prędkościomierz dostał szału, a zaraz potem, kiedy zaczęła się wspinać na następną, prawie zamarł, jakby się miała zapaść w głęboki rów.

Tess przygotowała się na uderzenie kolejnej ściany wody. Potężny żywioł spadł na łódź i zniósł ku rufie kruchą ludzką istotę, ale ona już w następnej chwili znowu stała przy sterze. O tak, z pewnością weekendowa wycieczka doskonale pozwoli nabrać wprawy przed rejsem po wodach Oceanu Południowego czy wokół wybrzeży Antarktydy, gdzie samotny żeglarz bez wątpienia napotka nawałnice śnieżne i góry lodowe. Oczywiście pod warunkiem, że w ogóle tam dotrze. Kolejny gejzer słonej wody, kolejne uderzenie. Nadal udawało się utrzymać łódkę dziobem do fali. Tak nakazywała jedna z najstarszych zasad żeglowania przy złej pogodzie: celuj dziobem w fale.

Tess знаła dwa świetne sposoby na zmierzenie gwałtowności furii natury. Jednym była formuła zakładająca wykorzystanie skali Beauforta, nazwanej tak od nazwiska żyjącego w dziewiętnastym wieku brytyjskiego admirała: prędkość wiatru plus pięć, podzielone przez pięć. Dokonała w myślach obliczeń i otrzymała liczbę dziesięć. Wobec tego miała do czynienia ze sztormem o sile dziesięciu stopni w dwunastostopniowej skali. Przez całą noc szczyty fal bielily się od piany, teraz natomiast wiatr zrywał grzebienie, tworząc zamieć wodną, co mogło oznaczać tylko jedno: sztorm przybierał na sile.

Raz już kiedyś Tess zdarzyło się płynąć przy dziesięciu stopniach. W czasie rodzinnej wycieczki do Golfof Maine. Tamtej nocy wymyśliła inny sposób na określenie siły sztormu. Mniej naukowy, ale równie skuteczny. Na cześć ojca nazwała tę metodę skalą Carolla. Trzeba było liczyć, ile razy w ciągu jednej fali człowiek ma usta pełne słonej wody. Jeśli więcej niż trzy, należało szukać schronienia, chyba że było się kompletnym szaleńcem.

„Querencia” wspięła się na szczyt następnej gigantycznej fali, ustawiona nieomal pionowo, niebezpiecznie bliska wywrotki. Gdy runęła w przepaść, na spotkanie kolejnej wodnej kąpieli, Tess wstrzymała oddech. Gdzieś nad głową usłyszała głośny trzask. Spojrzała w górę i

zobaczyła, że straciła wszystkie przyrządy pomiarowe z masztu. I akurat wtedy łódź zatańczyła, smagnięta od sterburty. Tess straciła panowanie nad sterem, odbiła się od zrębu kokpitu i poleciała aż do burty, nachylonej pod dziwacznym kątem. Przytrzymały ją linki asekuracyjne, ocean ryczał zaledwie centymetry od jej twarzy.

Łódź przemieszczała się chyba szybciej w bok niż do przodu. Takielunek śpiewał z wichrem. Woda była prawie całkiem biała od piany. Kolejny raz Tess musiała prychnąć słoną ciecżą. Czas schodzić pod pokład.

Przesuwając dłonie po lince, wspięła się na powrót do kokpitu. Włączyła autopilota, ustawiła go na kurs prowadzący łódź przez sztorm. Potem odczekała na przerwę w natarciu. Miała na zejście dziesięć sekund.

Gotowi, do biegu, start!

Rzuciła się do łuku zejściówki, odsunęła pokrywę, zeskoczyła obiema nogami na pierwszy stopień drabinki. Chwilę zużyła na odpinanie linek asekuracyjnych. Dłonie miała zdrętwiałe, na nich grube, neoprenowe rękawice... nawet nie czuła karabińczyka. Rufa zaczęła wędrować w górę, do następnego uderzenia zostało tylko kilka sekund.

Gdy ogromna fala objęła łódź, Tess zrzuciła z siebie uprząż i przy wtórce potwornego ryku oceanu wsunęła się do kabiny. Szybkim, wprawnym ruchem zasunęła pokrywę.

Na chwilę zamarła w ciemnościach, słuchając gniewnego huku na zewnątrz oraz stukania i skrzypienia w środku. A także łomotu swojego serca. „Querencia” jęczała pod naporem bezlitosnych ataków mas wody. Tess podciągnęła się do lewej burty, do umieszczonych tam przyrządów nawigacyjnych i włączyła światło. Odpięła kaptur i ściągnęła rękawice. Włosy miała mokre, twarz jej płonęła, ale nie było sensu się wycierać.

Sprawdziwszy mapę na monitorze laptopa, doszła do wniosku, że znajduje się dobre trzy godziny od brzegów New Hampshire. Sięgnęła do radia. Chyba nadszedł czas, by się odezwać do Tinka. Na pewno oglądał mecz futbolowy rozgrywany pomiędzy gimnazjami z Marblehead i Beverly, ale warto spróbować dodzwonić się do niego na telefon komórkowy. Połączyła się z operatorem i podała numer Tinka. Kurczę, trzeba będzie się przyznać, że zignorowała jego radę. Popłynęła prosto w nią. Ciśnienie spadało w takim tempie, że aż jej w uszach pykało. Ze zdumieniem odczytała na barometrze wskazanie dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć hektopaskali. Tink pewnie miesza ją z błotem...

Chyba że... go okłamię.

W głośniku zachrypiał znajomy głos.

– Co tam u mojej kruszynki? – W tle zabrzmiał gromki okrzyk tłumu.

Łódź przechyliła się gwałtownie, ale na Tess nie zrobiło to większego wrażenia.

– Wszystko w porządku – skłamała. – Droga jak po stole. – Nie było sensu mówić prawdy. Po co mu zawracać głowę i psuć mecz. Martwiłby się tylko. – Po prostu się odmeldowuję. – Bardzo się starała, by jej głos brzmiał beztrąsko. – Kto wygrywa?

– Magicians, jednym przyłożeniem. A ja zabieram się do hot doga numer trzy. – Stłumił czknięcie. – Jak tam na wodzie?

– Nieźle dmucha – odparła, słuchając grzmiących fal.

– A co z grotem?

– Rewelacja. Piękny i skuteczny. Powiedz ludziom, że odwalili kawał dobrej roboty.

– Powiem.

– No to na razie. – Łódź skoczyła do przodu i zjechała po stromej fali. – Odezwę się jutro.

– Adios, kruszynko. Bądź ostrożna.

Drobne kłamstwo nie przyniesie żadnej szkody, uznała Tess. W niedzielę wieczorem będzie jadła kolację w domowym zaciszu, a Tink nigdy nie pozna prawdy. Wcisnęła mikrofon w

uchwyt, przeskoczyła do kambuza i przypięła się pasem bezpieczeństwa. Chciało jej się pić, była zmęczona i trochę poobijana, a wiedziała, że będzie potrzebowała dużo energii. Sięgnęła do lodówki, wyciągnęła sałatę oraz butelkę dietetycznego sosu włoskiego, ale gdy łódź po raz kolejny stanęła dęba, doszła do wniosku, że wariactwem byłoby teraz szykować jakieś danie. Wobec tego wyjęła z szafki batonik energetyzujący Zdrętwiałe palce odmawiały posłuszeństwa, rozdarła więc opakowanie zębami i pochłonęła Power Bar czterema kęsami.

Teraz mogła już tylko czekać. Odpięła pas, przedostała się do głównej części kabiny, rozpięła górę kombinezonu. Wdrapała się na koję, owinęła siatką, która przytrzymywała ją w miejscu jak kokon i zaczęła w pamięci robić listę wszystkich spraw do załatwienia od razu po powrocie do domu. Przede wszystkim – żywność. Rejs dookoła świata trzeba obędzie przetrwać głównie na mrożonych racjach, więc najprawdopodobniej czeka ją schudnięcie o jakieś dziesięć kilogramów. Na to wskazywały doświadczenia innych żeglarzy. W czasie ostatniego tygodnia na stałym lądzie musi trochę przytyć. Więc przede wszystkim – prażona kukurydza w karmelu i miętowe całuski u E. W Hobbs w Salem Willows. Oczywiście hamburgery u Flynnie na plaży Devereux. I kalmary oraz homary w pubie Porthole w Lynn. Oblizwała się na samą myśl o takim obżarstwie. Dla uniknięcia wyrzutów sumienia zafunduje sobie solidne przebieżki wokół latarni morskiej i spacerzy z mamą deptakiem Causeway.

Oczywiście odwiedzi grób taty w Waterside. Od dnia jego śmierci, przed dwoma laty, zjawiała się tam mniej więcej raz na tydzień. Niekiedy w ramach porannej przebieżki z Bobo, kiedy indziej przychodziła z lunchem z Driftwood, albo późnym popołudniem ze zgrzewką piwa Sam Adams w lodówce turystycznej.

Nie wierzyła w żadne duchy ani zjawy. Wszystkie te metafizyczne bzdety w telewizji były dobre dla desperatów. Na cmentarz ciągnęło ją poczucie, że można tam odzyskać równowagę i spokój. Było to piękne miejsce, nastrojowe, zawsze ciche. Jakoś łatwo mogła się tam odnaleźć, więc przynajmniej raz w tygodniu starała się zajrzeć na grób ojca, wyrwała mniszek z trawy albo przycinała różany krzew, który mama przesadziła z domowego ogródka.

Tym razem, kiedy znowu się tam wybierze, posiedzi sobie na ławce pod japońskim klonem i opowie ojcu o swojej kretyńskiej decyzji. O tym, jak popłynęła prosto na spotkanie sztormu. Wiedziała, że ją zdrowo podsumuje. Może nawet będzie na nią krzychał. Na pewno jednak, niezależnie od tego, gdzie teraz właściwie przebywał, nie będzie jej odsądzał od czci i wiary. Po prostu kochał córkę, mimo wszystkich jej wad i durnych wybryków.

Powieki zaczęły jej ciążyć i niewiele brakowało, a byłaby się zdrzemnęła, lecz nagle koja usunęła jej się spod pleców, bo łódź wpadła w wyjątkowo głęboką dziurę. Kilka sekund Tess unosiła się jak w stanie nieważkości, potem wcisnęło ją z powrotem w posłanie. „Querencia” szalała jak narowisty rumak, rwała na boki. Dziewczyna wyrznęła w iluminator. Słusznie obawiała się, że łódź legła płasko, z masztem w wodzie. Na szczęście stępka zrobiła swoje i po chwili „Querencia” wróciła do pionu. Tess spełzła z koi i zaczęła się przesuwac w stronę zejściówki. Musi sprawdzić, czy maszt nie został uszkodzony. Zapięła kombinezon, naciągnęła kaptur, włożyła maskę.

I wtedy świat przekreślił się do góry nogami.

Osiem

Tradycja miała już trzynaście lat. Jednocześnie była najpilniej strzeżoną tajemnicą. Codziennie wieczorem we dwóch grali w baseball.

Łup!

Sam chwycił piłkę w rękawicę i od razu rzucił, dwoma palcami, szybko.

Wszystko zaczęło się dawno temu, w dzień pogrzebu brata, gdy żałobnicy i mama poszli do domu. O zachodzie słońca jedynie Charlie został przy grobie.

I wtedy stała się rzecz niemożliwa, niesłychana. Z lasu wyszedł Sam, jeszcze poobijany i pokiereszowany po wypadku, z rękawicą na dłoni. Pojawił się także Oscar.

– Cześć, panie bracie – odezwał się pogodnie. – Chodź, zagramy.

Tamto zdarzenie miało na Charliego tak wielki wpływ, wzbudziło w nim taką tęsknotę, że lekarze musieli mu podać bardzo mocne środki uspokajające, żeby go uchronić przed kryzysem. Z początku fachowcy nazywali owe widzenia snami, potem złudzeniami. Postawili diagnozę: zakłócenia spowodowane stresem posttraumatycznym. Posłali Charliego do specjalisty od czubków. Szpikowali go xanaxem na lęki, prozakiem na depresję oraz halcionem na sen.

Nikt mu nie uwierzył.

Tymczasem on widział swoje i nie były to ani złudzenia, ani halucynacje. Miał za sobą śmierć i powrót do życia. Przeszedł granicę dzielącą dwa światy – i wrócił. Złożył Samowi obietnicę i zyskał dość sił, by jej dotrzymać. Po jakimś czasie, gdy kolejny terapeuta nie uwierzył jego słowom, Charlie zaczął udawać, że wszystko minęło. Kłamał, że wizje się skończyły. Wobec czego lekarze orzekli, że wrócił do zdrowia, i pozwolili odstawić leki. A on poprzysiągł sobie, że już nigdy w życiu nikomu nie powie o Samie. Nauczył się, czym to grozi. Uznają go za wariata – i tyle. Nic nie rozumieją. Więc spotkania z bratem muszą pozostać tajemnicą na zawsze. I sekret ten będzie rządził jego życiem, ukryty pod nieprzebitym pancerzem uroku i wdzięku.

Od tego czasu więc Charlie i Sam każdego wieczoru grali w baseball. Charlie nabrał – przekonania, że te rozgrywki o zmierzchu są kluczem do jego daru, i obawiał się, iż jeśli opuści choć jedno spotkanie, przestanie widywać młodszego brata. Dlatego też z uwagą obserwował wędrówkę słońca po niebie, wydrukował wykresy ściągnięte ze stron Instytutu Meteorologii, poznał różnicę pomiędzy zmierzchem cywilnym, nawigacyjnym i astronomicznym.

Dopóki co wieczór spotykał się z bratem, widział Sama, a Sam widział jego. Wspólnie spędzali czas, zawsze w obrębie Waterside, gdyż Charlie szybko sobie uświadomił, że jego dar zanika poza terenem cmentarza. I tak o bladym świetle dokazywali na niewielkiej cmentarnej przystani, zanim ktokolwiek się tam zjawił, a wieczorami oglądali w domku Charliego programy telewizyjne nadawane przez ESPN albo filmy z Jamesem Bondem. Trwało to przez trzynaście lat: ponad cztery tysiące siedemset nocy. Charlie żywił głębokie przekonanie, iż nie należy ryzykować.

Z czasem zaczął sobie uświadamiać, że jego dar potężnieje, ponieważ zaczął widywać także inne duchy, oczekujące na cmentarzu na przejście na następny poziom.

Był między nimi wiecznie skrzywiony poławiacz homarów, który utopił się podczas szkwału, był linebacker z licealnej drużyny futbolu zmarły na boisku na udar słoneczny, stale zmęczona fryzjerka, która poślizgnęła się na klipsach do włosów i skręciła kark – a wszyscy oni mieli jedną wspólną charakterystyczną cechę: otaczała ich aura ciepłego światła. Charlie powoli dochodził do przekonania, że pomaganie tym zagubionym duszom w przejściu do następnego etapu było jego karą i celem istnienia.

- Jak ci dzisiaj poszło w pracy? – spytał Sam.
- Przyzwóicie – odrzekł Charlie. – Pamiętasz panią Phipps? Bezlitosną Ruth?
- Twoją sorkę od Anglika?
- Aha. – Charlie wykonał lekki, łatwy narzut. – Widziałem się z nią dzisiaj.
- Gdzie?
- Przy jej grobie.

– No coś ty! – zdziwił się Sam, rzucając z całej siły. Pierwszy błąd pałkarza. – A co jej się stało?

- Zawał. Zdaje się, że umarła przy usuwaniu kamienia nazębnego.

– Nic dziwnego – uznał Sam. – Wiadomo było, że doktor Honig kiedyś w końcu kogoś załatwi tym swoim cuchnącym oddechem.

Piłka poszybowała wysoko, Charlie wybił się w górę i chwycił ją pewnie. Pierwsza piłka. Przy rzucie podskoczył i świsnęła w powietrzu. Drugi błąd pałkarza.

- Jak się czuje pani Phipps?

- Kiepsko. Jest oszołomiona i nie może się pozbierać.

– Oszołomiona? Aha! Więc jest oszołom i ona! – zaśmiał się Sam. Stale bawił się w gierki słowne. – No, ciekawe, kim jest ten szczęśliwiec i czy szacowny pan Phipps o nim wie! – Jakiś czas obaj chichotali. – A jak makijaż? – spytał w końcu Sam. – Dobrze się trzymał?

- Tak.

– Blee! Ten nowy stanowczo przesadza. Po jego upiększaniu każdy wygląda, jakby się z cyrku urwał. – Teraz rzucił nisko, wykrzywiając tor. Druga piłka. – A kiedy pani Phipps pójdzie dalej?

– Trudno powiedzieć. Jej mąż, Walter, jest już po drugiej stronie... pamiętasz go? Ten bez wielkiego palca u nogi.

– Aha! – Sam przypomniał sobie od razu. – Odgryzła mu ryba. Złowił ją i rzucił na dno łodzi... Pamiętasz, jak mu kikut wystawał z sandała? Rany, niesamowicie!

Szybka piłka w polu. Trzecia. Dwie niebieskie sójki przemknęły po boisku, podskakując żwawo. Nad wzgórzem zaszumiał wiatr znad oceanu, przemknął zygzakiem między pomnikami i dmuchnął na boisko.

- Hej, Sam! – Charlie uderzył pięścią w rękawicę. – Mamy pełny stan. Pokaż, co potrafisz!

– No to uważaj! – wrzasnął chłopiec, podskoczył i rzucił. Piłka zatańczyła w powietrzu, a w połowie drogi zastygła, niczym nagle zmrożona, jakby się zatrzymał czas. Sam pstryknął i piłka znów ruszyła, zatoczyła kształtną pętlę i wróciła mu do ręki.

- Wyautowanyyyy!!! – ryknął Charlie.

Grali, aż zrobiło się całkiem ciemno, potem rozmawiali o minionym dniu. Sam, jako duch, mógł przebywać, gdziekolwiek chciał, choćby na Alfie Centauri na Mlecznej Drodze, albo lśnić razem z tęczą nad jeziorami Killarney, chwycić słoneczne blaski nad Wielką Rafą Koralową albo siedzieć na księżycu nad Machu Picchu. Miał nieograniczone możliwości. Stał przed nim otworem cały wszechświat, czterysta miliardów galaktyk. I czekało na niego niebo.

Ale zrezygnował z tego wszystkiego. Szukał przygód w Marblehead, siadywał za metą domową w Seaside Park podczas rozgrywek małej ligi, oglądał ukradkiem erotyczne fotki w magazynie „Maxim”, sprzedawanym w kiosku u Howarda, i zjeżdżał na desce najtrudniejszą, najbardziej stromą trasą ze wzgórza Gingerbread Hill.

- Chodź, popływamy – rzucił radośnie. – Berek!

Wystrzelił między drzewa, Charlie i Oscar rzucili się w pogoń. Już prawie zapadła noc, cienie się wydłużyły, las szumiał tajemniczymi szeptami. A oni, tylko we trzech, przemykali beztrudnie wśród drzew, tak samo jak wiele lat temu na Cloutman's Lane. I tak właśnie,

cudownie, będzie zawsze.

* * *

Wszystko stało się tak szybko, że nie zdążyła zareagować. Raptem wylądowała przyszpilona do pokładu, a nad głową chlupotała jej woda w zębie. Rozsypało się wyposażenie radiostacji, we wszystkich kątach grzechotały garnki i puszki. W kabinie zapanował chaos, na zewnątrz ryczał wichur. Potem zgasły światła.

Słyszała, jak woda atakuje łódź, ale nie czuła strachu. „Querencia” została skonstruowana w taki sposób, żeby samodzielnie wrócić do właściwej pozycji. Na pokładzie były pompy, dzięki którym Tess pozbędzie się wody. W środku szkwału, w oku cyklonu przeszkadzała jej rzecz rozkosznie irytująca: zapach sosu do sałatek. Najwyraźniej butelka się stłukła i w efekcie cała kabina pachniała niczym pyszna sałatka.

Tess wsparła się na łokciach oraz kolanach i tak, tkwiąc w kałużę wody, wyszeptła do łodzi:
– Odwróć się, mała. No, śmiało, wstawaj. Słyszysz, jak ładnie cię proszę?

Niestety, nic się nie zmieniło. Wobec tego podczołgała się do konsoli i wymacała na niej przycisk alarmowy. Bardzo nie chciała wzywać pomocy, wołanie o ratunek było żenujące, ale pchnęła żółty przełącznik, zrywając plombę. Zabłyśła dioda. Od tej chwili w eterze pojawił się przekazywany drogą satelitarną sygnał alarmowy, który dotrze do każdego posterunku straży na wybrzeżu Nowej Anglii. Nagle Tess poczuła, że nie jest już sama. Zaraz też uświadomiła sobie, że właściwie nic się nie dzieje. Przecież „Querencia” nie tonęła, w zasadzie nie było nawet konkretnego powodu do wysyłania sygnału SOS. Kiedy powróci do portu, Tink i cała reszta będą pękać ze śmiechu. Jeśli łódź zacznie tonąć, będzie jeszcze dużo czasu na wzywanie pomocy. Toteż po chwili przesunęła wyłącznik ponownie i światełko sygnalizujące emitowanie sygnału Mayday zgasło.

Minęła jedna minuta, potem następna. Zapach włoskiego sosu mieszał się z siarkowym zaduchem wyciekającego z akumulatorów kwasu. Dlaczego łódź tak długo się nie odwraca? Ciężar stępki powinien ją już postawić. Tess bezwiednie ujrzała oczyma wyobraźni najgorszy scenariusz. Przypomniała sobie historię Tony'ego Bullimore'a, który na dwudziestometrowych falach stracił kil. Przez pięć dni dryfował pod kadłubem swojego jachtu tonącego powoli w lodowatych wodach na południe od Australii. Kiedy go uratowano, powiedział: „Za czterdziestym równoleżnikiem nie istnieje prawo, a za pięćdziesiątym nie ma także Boga”.

Tess nie była osobą głęboko wierzącą. W niedzielę chodziła do kościoła Old North, głównie dlatego, że jej matka uznawała to za ważne. Tess lubiła wielebnego Polkinghorne'a, była z nim zaprzyjaźniona i zrobiła mu na zamówienie ze dwa żagle. Natomiast zasady religii jej się nie podobały i wołała wierzyć po swojemu. Uważała się za osobę uduchowioną, mającą własny stosunek do Boga.

Teraz, uwięziona w ciemnościach pod pokładem jachtu, celującego kilem w niebo na falach wzburzonego Atlantyku, uświadomiła sobie nagle, że się modli. Zaczęła od przeprosin za swoją arogancję. Teraz już wiedziała, iż podjęła zbyt wielkie ryzyko. Zachowała się bezmyślnie i było jej wstyd. Nie tak miało się to skończyć, nie zamierzała umierać samotnie podczas weekendowego rejsu, pokonana przez sztorm, który mogła ominąć. Prosiła Boga o łaskę. A potem wezwała ojca.

– Tatusiu, pomóż mi. Poradź, co robić.

Zawsze wyciągał ją z tarapatów. Zamknęła oczy i złożyła solenną obietnicę, że jeśli uda jej się bezpiecznie zawinąć do przystani, nigdy więcej nie podejmie tak bezmyślnego ryzyka. A w czasie rejsu dookoła świata udowodni, że jest najrozsądniejszym żeglarzem na świecie. Popłynie

z całą grupą, nawet gdyby to oznaczało, że trzeba będzie zwolnić. Będzie grzeczna.

O, tak. Jak już wybrnie z tego bigosu, pójdzie prosto do Waterside i złoży ojcu przysięgę, że się zmieni. Uczył ją być twardą i cieszyć się życiem, ale nie byłby zadowolony z takiej lekkomyślności. Bezsensowne igranie ze śmiercią nie jest najlepszym sposobem na radzenie sobie z odejściem taty.

– Pokaż mi drogę do domu – szepnęła w niespokojną czerń. – Tatusiu, pomóż mi.

Dziewięć

Dzień był szary jak granit, a ziemia po całonocnym rześistym deszczu ociekała wilgocią. Sztorm pozrywał liście z drzew, pozrzucał suche gałęzie na trawnik. Charlie, z twarzą ukrytą pod żółtym kapturem, zaglądał do prostokątnego dołu, gdzie pracował jeden z grabarzy. W normalnych warunkach kopanie grobu było zajęciem nie do pozazdroszczenia, a jeśli jeszcze, tak jak dzisiaj, nie dało się korzystać z koparki – zmieniało się w prawdziwą katorgę. Na domiar złego właśnie zjawił się na wyrywkową kontrolę Elihu Swett.

– Kondukt pogrzebowy będzie tu lada chwila – dobiegło spod wielkiego parasola.

Administrator cmentarza był człowiekiem dość nikłej postury. Miał na sobie beżowy płaszcz przeciwdeszczowy, granatowy garnitur ze sztruksu oraz kalosze, a każda z tych rzeczy wyglądała jak kupiona w dziale dla chłopców firmy Filene's.

– Długo to jeszcze potrwa? – Swett pociągnął łyk z butelki Mountain Dew, która w jego dłoniach wydawała się ogromna.

– Wszystko w porządku – zapewnił go Charlie. – Zdążymy. – Przyklęknął i zajrzał do grobu. – Jak tam, Joe?

– Jakoś leci – odpowiedział Joe Carabino gdzieś z trzewi ziemi.

– Ale martwię się o Elihu. – Puścił do Charliego oko.

– Dlaczego? – spytał administrator, ostrożnie podchodząc do dołu.

– Śmiertelna dawka kofeiny to dziesięć gramów – oznajmił Joe, opierając się na szpadlu. – Jeszcze kilka butelek Mountain Dew i też będziesz wachał kwiatki od spodu. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Jak się czujesz? Wyglądasz trochę blado.

Nie czekając, aż Joe przejdzie do komentarzy na temat przekrwionych oczu, Elihu wsunął butelkę w kieszeń płaszcza i odmaszerował do swojego lincolna continental. Był hipochondrykiem z krwi i kości, leczył się u najlepszych lekarzy w Bostonie, a oni wszyscy zgodnie zalecali mu zmianę pracy. Administrator jednak uparcie odmawiał, katował się wszelkimi środkami dezynfekującymi, a na spotkaniach z pracownikami potrafił nawet nosić lateksowe rękawiczki. Cóż, w końcu o dobrą pracę w mieście nie jest łatwo.

Joe zwinnie wyskoczył z grobu i przybił Charliemu piątkę ubłoconą dłonią.

– Stara sztuczka ze śmiertelną dawką kofeiny podziałała jak zwykle – powiedział, szeroko uśmiechnięty. – Biedny Elihu, znowu się wystraszył.

Joe niedawno przekroczył trzydziestkę. Miał posturę byka, a na jego pociemniałej od słońca twarzy widniał niezbyt rozgarnięty wyraz. Rzednące włosy układał w kilka dumnych czubów, doskonale usztywnionych żelem. Jego zdaniem łysienie powodowane było przez nadmiar testosteronu, a na dowód swojego twierdzenia przytaczał dane z magazynów naukowych.

Poza tym, był jednym z największych podrywaczy na North Shore. Za dnia grzebał martwych, a wieczorem uganiał się za kobietami wzdłuż całego przylądka Cape Ann, korzystając z bogatego repertuaru bezwstydných strategii. Ludzie gadali, że wyszukiwał młode wdowy poprzez nekrologi w „Marblehead Reporter”, ale też nie był całkowicie pozbawiony serca. Miał swój kodeks honorowy. Trzymał się z daleka od osamotnionej kobiety co najmniej pół roku po tragedii, ponieważ z ust samej Oprah usłyszał, że tyle czasu potrzeba na żałobę.

Drugą i ostatnią wielką pasją Joego był jego własny ewangelicki ateizm. Nie dość, że nie wierzył w Boga, to jeszcze uznał, iż jego powołaniem jest nawracanie innych. Nikomu to nie przeszkadzało, dopóki prowadził swoją pracę misjonarską poza żelazną bramą, ale Charliemu zdarzyło się go przyłapać, jak mamrotał pod nosem w czasie pogrzebu: „Nie ma nieba!”, albo zirytowany burczał: „Co za marnotrawstwo!”, gdy dźwig stawiał na szczycie mauzoleum

trzymetrowy złożony krzyż. Joe Ateista został kiedyś należycie upomniany, ale to tylko podsyciło jego zapal.

– Co planujesz na wieczór? – spytał, gdy skończyli prace przygotowawcze. – Może byś się ze mną wybrał na piwko? Wskakuję na łajbę i płynę do Rockport na *happy hour*. Znam kociaki, które tam prowadzą bar. Co one potrafią wyczyniać, człowieku, wierzyć się nie chce!

– Pomóż mi z podnośnikiem – poprosił Charlie, ruszając do furgonetki zaparkowanej w bocznej alejce.

– Siostrzyczki Dempsey. Obiły ci się o uszy?

– Nie.

– Nina i Tina. Warte grzechu, mówię ci. Decyduj się.

– Spokojnie, jeszcze czas.

– Taaa... A jak czas na fajrant, to znikasz. Zawsze to samo. Człowieku, użyj trochę życia.

Charlie ściągnął z furgonetki podnośnik, we dwóch zataaszczyli go na miejsce i starannie ustawili nad grobem. Konstrukcja z nierdzewnej stali wymyślona przez pewnego właściciela zakładu pogrzebowego, niejakiego Abrahama Frigida, który czas emerytury spędzał na południu Francji, służyła do opuszczania trumny do grobu. Korzystano z tego urządzenia na wszystkich cmentarzach świata. Dzięki nylonowym pasom oraz nieskomplikowanemu mechanizmowi jeden człowiek mógł wykonać pracę, do której wcześniej potrzebny był cały zespół, i umieścić w dole ciężar ważący nawet kilkaset kilogramów.

Genialny wynalazek pana Frigida polegał na idealnym rozwiązaniu kwestii panowania nad szybkością. Jeśli trumna zjeżdżała za szybko, lądowała na dnie z głuchym łupnięciem i żałobnicy przeżywali wstrząs. Jeżeli opadała zbyt wolno, udręka stawała się trudna do zniesienia. A pan Frigid zyskał sobie na wieki miejsce w historii grzebalnictwa, ponieważ jego wynalazek zapewniał akcji tempo stateczne, emocjonalnie łatwe do przyjęcia oraz zgodne z zasadą swobodnego spadania ciał określoną przez Galileusza. Abraham starannie określił parametry przekładni zębatych i ciężar ołowianych obciążników, dzięki czemu zyskał urządzenie wyjątkowo efektywne oraz stosunkowo mało uciążliwe w obsłudze dla wszystkich zainteresowanych.

Charlie usłyszał zawroźnienie syreny alarmowej. Chwilę później w cmentarną aleję skręcił kondukt żałobny złożony z samochodów osobowych oraz wozu strażackiego. Mógł wyciągnąć niejednego wniosek, oglądając auta, ubrania żałobników, trumnę i pomnik. Przyzwoite bryki najświeższych modeli, solidna trumna i wielki nagrobek oznaczały, że zmarły miał pieniądze. Natomiast dzisiejszy pogrzeb wyglądał na całkiem przeciętny. Za kilka minut dolinę zapełnią ludzie odprowadzający zmarłego. Czekają na nich setka rozkładanych krzesełek pod zielonym namiotem. Na szczęście deszcz ustał.

– No, już czas – odezwał się do Joego. – Bierzemy się do roboty.

* * *

Czarne włosy właścicielki zakładu pogrzebowego, błyszczące, gładkie i sztywne jak kask, przypominały lakier na jej nowiutkim karawanie marki Cadillac.

– Jak leci, chłopaki? – spytała Myrna Doliber, zatraskując przednie drzwiczki.

– Lepiej niż zwykle – odpowiedział Charlie. Wetknął koszulkę w spodnie, rękawice wsadził do tylnej kieszeni. – A co u ciebie?

– Sama rozkosz. Dwójka dzieciaków z wietrzną ospą, a trzecie ze skaleczoną ręką.

Przodkowie Myrny, Doliberowie, byli pierwszymi osadnikami na półwyspie. Pojawili się tu w tysiąc sześćset dwudziestym dziewiątym roku. W pewnym momencie zaczęli organizować

pochówki i szybko zostali monopolistami aż po Beverly na północy i do Lynn na południu. Bywały dni, gdy każdy członek rodu Doliberów musiał zakasać rękawy i wziąć się do roboty, nawet Myrna, która cieszyła się sławą najbardziej zabobonnej osoby w okręgu Essex i od lat kompletowała listę złych omenów, takich jak drganie lewego oka albo biała ćma w domu.

– Wiesz co, Myrna – odezwał się Joe z psotnym uśmiechem.

– Naliczyłem w kondukcje trzynaście aut. Czy to przypadkiem nie jest jakiś zły znak? Może ktoś dzisiaj umrze?

– Albo się uspokoisz, albo porzuć wszelką myśl o napiwku – odrzekła, przechodząc do tylnych drzwiczek karawanu. Otworzyła je i wycofała się na bok. Charlie sięgnął do środka, zwolnił zatrask, złapał uchwyt trumny i przeciągnął ją na wózek. – To dla ciebie – Myrna podała mu kopertę. – Nie wydaj wszystkiego od razu.

Większość przedsiębiorców pogrzebowych doliczała do rachunku klientów jakieś sto dolarów na tak zwane napiwki cementarne, ale potem wypłacała pracownikom mniej więcej po dwa dolary na głowę. Myrna miała szeroki gest i napiwki u niej zwykle wynosiły dziesięć dolarów.

We dwóch ustawili wózek z trumną przy grobie. Charlie podniósł drewnianą skrzynię za lżejszy koniec, od strony stóp, natomiast Joe chwycił cięższy. Takie rozłożenie pracy stanowiło dla niego punkt honoru, ponieważ był najsilniejszym pracownikiem w Waterside i lubił o tym przypominać. Umocowali trumnę na podnośniku. Wszystko było gotowe do pochówku.

– Dobra – ocenił Charlie. – Przerwa. Spotkamy się nad wodą.

– Taaa jest, szefie! – Joe wyciągnął zza ucha camela i ruszył w dół. Charlie natomiast poszedł w górę i stanął pod morwą. Stąd miał najlepszy widok.

Przy odgłosach trzaskania drzwiczek samochodowych do grobu podchodzili żałobnicy. Wysypało się też kilkudziesięciu strażaków w mundurach galowych. Kobziarze grali żałobną pieśń. Po wielu twarzach spływały łzy. Dawno temu, tuż po pogrzebie brata, Charlie sądził, że nigdy już nie zdoła zapłakać. Wówczas dokładnie zapoznał się z mechanizmem powstawania tego objawu smutku. Okazało się, że najważniejsze są mięśnie nad oczami, odpowiedzialne za uciskanie gruczołów łzowych, wytwarzających słoną ciecz. A ponieważ każdy dorosły człowiek składa się z około czterdziestu pięciu litrów płynów, można spokojnie przyjąć, że łzy są w stanie płynąć bez końca.

Ostatni raz rzucił fachowym okiem na miejsce pochówku. Wykonali z kolegą dobrą robotę przy dekoracji. Górę ziemi ukryli pod kobiercem sztucznej trawy, a wokół dołu rozłożyli róże i goździki. Ciekawe, czy żegnany jest pomiędzy żałobnikami? Charlie bardzo często widywał zmarłych, jak spacerowali przed rzędami krzeseł albo snuli się wśród pomników, gdy rodzina szlochała w jednorazowe chusteczki. Taki niedawno zmarły, otoczony charakterystyczną poświatą, mógł usiąść pod drzewem lub oprzeć się o trumnę i popatrzeć, kto zdołał dotrzeć na pogrzeb: dawne przyjaciółki, rywale z biura, kuzyni piątej wody po kisielu, z którymi dawno urwał się kontakt. Bywało, że nieszczerze pochwały wywoływały jego głośny śmiech, a krokodyle łzy – pogardliwe gwizdy. Ale najczęściej odchodzący byli wzruszeni, nawet mile zaskoczeni dowodami, że tak wiele znaczyli dla swoich bliskich.

Charlie zawsze dostrzegał połyskujących nowo przybyłych. Ci, którzy zginęli gwałtowną śmiercią, ukazywali się poranieni i nierzadko utykali. Inni, którzy odeszli po długiej chorobie, bywali słabi i z początku ledwo trzymali się na nogach, ale wkrótce odzyskiwali siły i sprawność. Charlie pamiętał, jak strasznie wyglądał Sam w dniu swojego pogrzebu – a po kilku dniach był już w znakomitej formie.

Dla niektórych udział we własnym pogrzebie okazywał się zbyt trudny, to jasne. Z początku trzymali się na uboczu. Potem, następnego dnia, a niekiedy po dwóch pojawiali się w Waterside,

pogodzeni z końcem. Wreszcie znikali, odchodzili do nieba, na następny poziom, czy gdzie tam jeszcze, gdzie mieli spędzić wieczność.

Wszystko zależało od tego, jak szybko chcieli odejść.

Wielebny Shattuck rozpoczął ceremonię. Na głowie pozostało mu zaledwie kilka włosów na krzyż, bielutkich niczym koloratka. Układał je starannie wokół piuski jak sztywną aureolę. I tylko grabarz znał jego sekret. Dramatyczne przedstawienie nad grobem przebiegało za każdym razem tak samo, aż po podnoszące napięcie pauzy podczas recytacji Psalmu dwudziestego trzeciego, traktującego o podążaniu ciemną doliną. „Pan jest moim pasterzem... ”.

Aż wreszcie fragment z Księgi Koheleta:

– Wszystko ma swój czas – mówił ksiądz – i jest wyznaczona godzina na wszystkie sprawy pod niebem. Jest czas rodzenia i czas umierania, czas sadzenia i czas wrywania tego, co zasadzono, czas płaczu i czas śmiechu, czas zawodzenia i czas płasów, czas szukania i czas tracenia, czas miłowania i czas nienawiści*...

I czas przejścia na drugi brzeg, dodał w myślach Charlie.

Gdy wielebny Shattuck skończył, wystąpił Don Woodfin, komendant jednostki straży pożarnej z Revere. Był to ponury mężczyzna z wielkimi wąsami, łączącymi niczym solidny most dwa zapadnięte policzki. Galowy hełm tkwił na kościstej czaszce jak kapelusz na wieszaku.

– W naszej historii liczącej sto dziewiętnaście lat – zaczął komendant – sześć razy zdarzyła się nieszczęśliwa śmierć w trakcie wykonywania obowiązków służbowych. Dzisiaj zebraliśmy się, by pożegnać siódmego strażaka, który stracił życie na służbie. – Pochylił głowę. – Dziękujemy Ci, Panie, za to, że był między nami ten wspaniały człowiek. Jesteśmy Ci wdzięczni za jego poświęcenie pracy, za jego oddanie ratowaniu życia, za to, z jaką śmiałością stawiał czoło niebezpieczeństwu.

W pierwszym rzędzie siedziała kobieta z małym chłopcem w objęciach. Oboje płakali.

– Prosimy, byś utulił w bólu jego rodzinę – ciągnął strażak. – Niech ich podtrzymują na duchu wspomnienia oraz nadzieja, współczucie przyjaciół i świadomość dobrze spełnionego obowiązku. Prosimy Cię, Panie, także, byś prowadził tych, którzy ciągle na nowo podejmują walkę z żywiołem, byś dał im siłę i abyś ich chronił. Amen.

Charlie zauważył mężczyznę natychmiast, gdy ten podszedł do drzewa. Ubrany był w granatowy mundur i wydawał się zatopiony w myślach. Otaczała go słaba poświata, mówiąca wyraźnie: oto zmarły na swoim pogrzebie.

– Widzisz mnie? – spytał po chwili.

– Tak – szepnął Charlie.

– Ty też umarłeś?

– Nie, jeszcze nie.

Strażak podrapał się po karku.

– Jakbym cię skądś znał... – powiedział zachrypniętym głosem. Na twarzy miał ślady łez. – Zaraz, ty przecież jesteś St. Cloud, prawda? Charlie St. Cloud. – Zdjął bluzę od munduru i podwinął rękawy koszuli, odsłaniając wytatuowane wizerunki Dziewicy z Dzieciątkiem. – Ja się nazywam Florio. Pamiętasz mnie?

– Przykro mi... – uśmiechnął się Charlie. – Kiepsko u mnie z pamięcią.

Przy grobie komendant rozpoczął modlitwę strażaków. Florio założył ręce na piersiach, schylił głowę.

Gdy wzywa mnie powinność, Panie,
Gdzie pożoga szaleje,
Zezwól ocalić żywe stworzenie,

Czy młode jest, czy stare.

Komendant wycofał się, a Charlie podszedł do grobu. Zwolnił hamulec podnośnika i trumna zaczęła dostojnie zjeżdżać w dół. Przeczytał napis na płycie nagrobnej.

FLORIO FERRENTE
MAŻ, OJCIEC, STRAŻAK
1954-2004

Wtedy sobie przypomniał: to właśnie Florio ocalił mu życie.

* * *

Trumna lekko stuknęła o dno grobu. Charlie wyciągnął pasy i wetknął je pod sztuczną trawę. Znowu wycofał się pod morwę, a żałobnicy kolejno rzucali róże na drewniane wieko.

– Mój Boże... Tak mi przykro, że pana nie poznałem...

– Nie przejmuj się. Sporo czasu minęło... No i nie byłś wtedy w najlepszej formie.

– Co się panu stało? Nic nie wiedziałem...

– Zostaliśmy wezwani do pożaru w domu wielorodzinnym – zaczął strażak. – Wyważyliśmy drzwi, uratowaliśmy kobietę z córką. Dziewczynka krzyczała, że w mieszkaniu zostały jej kot i pies. No to wróciłem po zwierzaki i akurat wtedy dach się zawalił. – Uśmiechnął się niewesoło. – I to wszystko, koniec historii. – Podrapał się po mocno zarysowanej szczęce. – Wszystko przez kota i psa. Ale wiesz co? Gdybym miał decydować drugi raz, zrobiłbym to samo. – Rozejrzał się po równo przystrzyżonym trawniku. – Widziałeś je może? Przysięgłbym, że szalały tutaj z jakimś zwariowanym beagle'em.

– Wcale bym się nie zdziwił – przyznał Charlie. – Jakiś czas mogą się trzymać blisko pana.

Strażacy ocierali łzy rękawami. Niektórzy przyklękli w cichej modlitwie. Wreszcie do grobu podeszła kobieta z dzieckiem na rękach.

– Moja żona, Francesca. I nasz synek – powiedział Florio. – Tyle lat staraliśmy się o dziecko i wreszcie się udało. Niech ich Bóg błogosławi. Nie ma wspanialszej kobiety na tym świecie, a mały to cała moja radość. – Głos mu się załamał. – Bóg jeden wie, co ja bez nich zrobię...

– Jeszcze za wcześnie o tym myśleć – powiedział Charlie. – Niech pan sobie da trochę czasu.

Patrzyli, jak kobieta odchodzi, mijają innych żałobników i wsiada do limuzyny. Potem Florio przyglądał się, gdy Charlie zasypywał grób. Łopata za łopata. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.

– Często myślałem o tobie przez te wszystkie lata – odezwał się strażak po chwili. – Zawsze ogromnie żałowałem, że nie zdołałem uratować twojego brata. Nie mogłem się z tym pogodzić. No i zastanawiałem się, jak ci się ułożyło. Czy się ożeniłeś, czy masz dzieci... Co zrobiłeś z bezcennym darem życia?

Charlie wpatrywał się w ziemię.

– Nie mam żony ani dzieci. Pracuję tutaj i jestem ochotnikiem w remizie.

– Tak? Też zostałeś strażakiem?

– Zdobyłem uprawnienia paramedyka. Pomagam kilka nocy w miesiącu. Robiłbym więcej, ale nie mogę za daleko stąd odejść.

– Ratowałem ludzi ponad ćwierć wieku. Widziałem niejedno, ale tylko dwoje ożyło tak jak ty. – Zamilkł na jakiś czas. – To był palec boży, synu. Bóg cię uratował, bo miał w tym jakiś cel. Jesteś ważnym elementem w bożym planie. Myślałeś o tym kiedyś?

Przez dłuższy czas Charlie w milczeniu sypał ziemię do grobu. Myślał o tym, tak, oczywiście. Dzień w dzień zastanawiał się, dlaczego to Sam odszedł, nie on. Czymże Bóg się kierował? Co zamyślał?

Wreszcie Florio ponownie przerwał ciszę.

– Nie przejmuj się, synu. Czasami trzeba poczekać na odpowiedź. Ale na pewno ją usłyszysz. Zorientujesz się, kiedy nadejdzie twój czas. A potem będziesz wolny.

Dziesięć

Kąciki oczu i ust skleiły jej kryształki soli. Starła je niecierpliwie. Kiedy to ostatnio była w podobnym stanie? Jak dotąd żaden sztorm nie zostawił jej takich śladów. Takie same twarde białe plamy zastygły jej na twarzy po pogrzebie ojca. Matka otarła jej oczy. Łzy stanowią przypomnienie, że płacz od tysięcy lat idzie w parze z żywiołem oceanu.

Męczył ją koszmarny ból głowy i cała była poobijana. Czarne i fioletowe siniaki pojawiły się na rękach, nogach, biodrach. Nie one jednak były najważniejsze. Najbardziej liczyło się to, że znowu stała na łądzie i to dokładnie tam, gdzie chciała: na cmentarzu Waterside, przy ojcu.

Usiadła w cętkowanym cieniu klonu, tuż przy grobie. Trawnik był mokry, ale to jej nie przeszkadzało. Zrzuciła sandały, podwinęła nogawki spodni i cieszyła się, że jest w jednym kawałku, żywa. Palcami stóp pogładziła żdźbła trawy, wyprostowała nogi. Zapatrzyła się w wyryte na granitowym nagrobku imię ojca. Zawdzięczała mu życie. Po tym nieszczęsnym sztormie doprowadził ją bezpiecznie do przystani, do domu.

– Wołałam cię całą noc, tatusiu – szepnęła. – Dobrze, że mnie usłyszałeś.

Oczywiście wiedziała, że nie siedzi z nią pod drzewem. Takie przekonanie byłoby głupotą, podobnie jak wiara w czary. Jej ojciec nie snuł się po cmentarzu w oczekiwaniu na przybycie córki. Nie, był gdzieś indziej, pod postacią energii albo czegoś podobnego. A jeśli istniało niebo, z pewnością sączył piwo na jakimś rajskim kutrze, czekając na branie.

Rozciągnęła się na trawie, podłożyła ręce pod głowę i zapatrzyła na liście poznaczone rdzawą czerwienią. Tu było jedyne bezpieczne miejsce na świecie. Wiatr nadciągał teraz z północy, wielkie chmury w kształcie kalafiora gromadziły się na niebie. Popołudnie okazało się zaskakująco rześkie, orzeźwiający niczym twarde soczyste jabłko z farmy Brooksby.

Nagle odżył jej w myślach obraz z minionej nocy: „Querencia” do góry dnem, świat na opak...

– Jezu! – powiedziała głośno i automatycznie usiadła. Potarła siniak na przedramieniu. Dostała niezłą nauczkę. Trzy godziny pod kadłubem, bez elektryczności i radia – można się było najeść strachu. Stanowczo zamierzała dotrzymać złożonej ojcu obietnicy.

Oparła się plecami o kamień, a chłód przyniósł jej wyraźną ulgę. Obróciła głowę i przycisnęła twarz do pomnika. Leciutko przesunęła palcami wzdłuż napisu, który zaczynał porastać mchem.

George Carroll
1941-2002

– Wiedziałam, że zrobisz to dla mnie – powiedziała ze łzami w oczach. Otarła je niecierpliwie.

W kwestii płaczu miała bardzo zdecydowane poglądy i określała go jednym słowem: dziecinada. Ani mama, ani nikt ze znajomych nigdy nie widzieli, by Tess płakała. Poza dniem pogrzebu ojca. Łzy były dla mięczaków. Ale przy tacie – to co innego. Zawsze ze zrozumieniem przyjmował jej smutek. Nigdy jej nie opuścił, gdy czuła się bezsilna, przeciwnie, pomagał jej, dodawał sił. Tysiąc razy pocieszał ją, gdy miała złamane serce albo przeżyła rozczarowanie. Oczywiście nie zawsze zgadzał się z jej wyborem, zwłaszcza jeśli chodziło o kumpli z college'u, którzy znali inne języki i jeździli na motocyklach, ale nie miał zwyczaju narzucać jej swojego zdania. Owszem, był człowiekiem o wybuchowym charakterze, zwłaszcza po kilku drinkach, a jednocześnie zapewne istniały na tym świecie osoby bardziej wrażliwe, opanowane czy lepiej

zorientowane w polityce, ale tylko on ją rozumiał naprawdę. Jak nikt inny.

– Zmienię się, obiecuję – przyrzekła kamiennej płycie. – Już nie będę szaleć na wodzie. Nie będę wyzywać losu. Będę rozsądna. – Przerwała na chwilę. – Wystraszyłam się na śmierć.

Przetarła twarz, przegarnęła włosy palcami. Przy tej okazji znalazła kolejnego guza, tym razem z tyłu głowy. Aj, boli. Skąd się wziął? Musiała go sobie nabić, kiedy łódź wywróciła się do góry dnem. Zdarzenia minionej nocy zlewały się w pamięci Tess w niewyraźny ciąg obrazów, nadal czuła się paskudnie, dały jej się we znaki rzucanie na falach i przykry odór spalin diesla, zmieszany z apetycznym zapachem nieszczęsnego sosu. Marzyła o prysznicu i odrobinie snu. Przyjrzała się swoim dłoniom. Kciuk posiniaczony, złamany paznokieć. Podłużny siniak przez całą rękę. Mamie się spodoba. Wyjątkowo kobiecy.

Przejrzała w myślach listę spraw do załatwienia przed wyruszeniem w rejs. Przede wszystkim, od razu w poniedziałek rano, musi się wybrać do sklepu Lynn Marine Supply na Front Street, oferującego ekwipunek dla żeglarzy. Potem Gus Swanson usłyszy swoje na temat sprzętu ratunkowego. A przeciekające buty były stanowczo nie do przyjęcia, zwłaszcza że nie opuścił ani grosza.

Wreszcie będzie musiała stanąć twarzą w twarz z Tinkiem. Obawiała się tej chwili. Obejrzą uważnie całą łódź, od dziobu po rufę, i oszacują uszkodzenia. Na pewno trzeba będzie poprawić takielunek. Żagiel sztormowy musi być nowy. A może przyda się też trochę farby na kadłubie? Zespół Tess będzie miał pełne ręce roboty, żeby zdążyć z naprawami przed rejsem.

– Wiem, wiem – odezwała się głośno. – Czysta żywa strata ludzkiego wysiłku i pieniędzy.

I właśnie to ją martwiło najbardziej. Ojciec dał jej okrągłą sumkę, żeby się rozejrzała po świecie. Nie była to fortuna, a i tak zdrowo tyrał, by tyle zaoszczędzić, więc z pewnością nie byłby zachwycony, że pieniądze idą na remont spowodowany lekkomyślnością córki. Był żeglarzem starej daty, nie przepadał za kosztownymi łodziami z włókna szklanego i nowomodnymi żaglami z kevlaru.

– Żeglowanie to trudna sztuka – zwykł mawiać pół żartem, pół serio. – Mokry i cierpiący na chorobę morską zapaleniec w żółtym tempie podąża donikąd za koszmarnie pieniądze. Tyle że jeśli masz ocean we krwi – dodawał, a oboje byli pod tym względem identyczni – musisz wypłynąć, niezależnie od kosztów i ciszy na wodzie.

Tess siedziała jakiś czas w milczeniu i słuchała rozbrzmiewającego w pamięci głosu ojca. Rany, ależ on się śmiał z własnych dowcipów! Walił dłońmi w uda, oczy zwięzały mu się w szparki, twarz i szyja czerwieniały, a on się śmiał. Teraz zostało już tylko odległe wspomnienie, ale nawet ono pomagało. Jeszcze trochę, niech dane jej będzie posłuchać tego wesołego, podnoszącego na duchu śmiechu, niech w jej sercu znowu zagości to błogie uczucie.

Nagle w cmentarną ciszę wdarł się ryk silnika i potworny warkot. Jakby ktoś zaatakował coś piłą spalinową. Straszliwy harmider dochodził zza wzgórza.

Śmiech ojca ucichł na dobre. Tess zerwała się na równe nogi i pomaszerowała sprawdzić, co się dzieje, u Ucha ciężkiego.

* * *

„Co zrobisz z bezcennym darem życia?” – słowa Floria brzmiały w powietrzu jeszcze długo po tym, jak strażak odszedł do remizy, by przyrzeć się stypie. A Charlie został z tym pytaniem. Obojętne, co robił, jaką pracę wykonywał, ciągle je słyszał. U Dalrymple'ów wylał betonowe fundamenty pod nowy pomnik – i szukał odpowiedzi. Na Wzgórzu Pamięci pociął dąb powalony przez wichurę i nadal rozmyślał nad pytaniem strażaka. Czy wykorzystał swoją szansę?

Wysoko ponad czubkami cmentarnych drzew pojawił się klucz gęsi. Gęgając przeraźliwie,

zatonęły krąg i skierowały się ku przystani. Jedno było pewne: stanowczo zbyt wiele czasu w swoim cennym odzyskanym życiu zużywał na walkę z tymi wstrętnymi ptaszyskami. Owszem, do Waterside zjeżdżali się malarze, by je uwiecznić na płótnach. Starsze panie dokarmiały gąsiątka okruchami chleba. Ani artyści, ani staruszki nie zdawali sobie sprawy, że stado tych ptaków stanowi poważne zagrożenie. Wyjadały trawę, niszczyły kwiaty, brudziły pomniki, a nawet potrafiły zaatakować żałobników.

Po południu Charlie siadł na ławce nad brzegiem cmentarnego jeziora razem z Joem Ateistą, który wynalazł świetną metodę odstraszania przeklętych gęsi. Potrzebne były tylko łodzie motorowe – zabawki sterowane pilotami.

– PT-109 gotowy do ataku – zameldował Joe.

Charlie jednak błędził myślami gdzie indziej.

– Słuchaj, czy ty robisz w życiu coś ważnego? – spytał.

– Stary, właśnie bierzemy się do bardzo ważnej roboty – odparł Joe. Spojrzał do góry przez wojskową lornetkę i ustawił na kolanach metalowe pudełko z joystickiem.

– Pytam cię poważnie. Jak sądzisz, czy kiedyś do czegoś dojdiesz? Czy Bóg wyznaczył ci jakieś zadanie?

– Bóg? Chyba żartujesz! Ja wierzę w szczęście. I tyle. Albo ci się wie, albo nie. Pamiętasz loterię w zeszłym roku? Byłem o włos od wygranej! Trzydzieści cztery tysiące! Twoim zdaniem Bóg ma z tym cokolwiek wspólnego? Daj spokój! – Joe pokręcił głową. – Kiedyś nadejdzie mój wielki dzień. A do tego czasu jestem skazany na ciebie. – Uśmiechnął się i odchylił na oparcie. – Patrz! Lecą następne! Nad Isle of Solitude. Proszę o zezwolenie na atak!

– Zezwalam – oznajmił Charlie.

Joe pchnął joystick do przodu, a wtedy szara łódź patrolowa śmignęła prosto w stronę ptaków. Silnik wył na najwyższych obrotach, klakson ryczał jak opętany.

– Do celu sto metrów, podchodzimy bliżej – zameldował Joe, patrząc przez lornetkę. – Prędkość osiem dziesiątych węzła. Cel namierzony.

Jak zwykle akcja odniosła zamierzony efekt. Przestraszone gęsi poderwały się w górę, kilkoma machnięciami skrzydeł wzniosły w powietrze i zlorzecząc, zniknęły nad drzewami. Łódka zakreśliła ostro tuż przy brzegu wyspy, unosząc efektowny wachlarz kropel.

I właśnie wtedy, na przeciwległym brzegu, pod wierzbą płaczącą, Charlie ujrzał młodą kobietę. Była wysoka, piękna i machała w jego stronę. Chyba coś krzyczała, ale jej słowa zagłuszał ryk silnika. Znał ją z widzenia. To była Tess Carroll, ta od żagli.

– Zaraz wrócę – poinformował Joego, skupionego na manewrowaniu PT-109, która wracała do miniaturowej przystani.

– Tak jest, szefie.

Charlie wskoczył do wózka i ruszył wokół stawu. Tess była w mieście kimś, a do tego jeszcze, by pozostać w zgodzie z prawdą, należałoby powiedzieć, że Charliemu dawno wpadła w oko. Chodzili do gimnazjum mniej więcej w tym samym czasie, dzieliły ich raptem dwa lata. Dziewczyna zawsze była wyjątkowa, nawet go trochę onieśmielała, gdy wygrywała regaty albo agitowała przeciw lokalnej spółce energetycznej NOx and SOx, która zatruwała środowisko diabelskimi wyziewami z kominów. Dwa lata temu pochował jej ojca i od tamtej pory zjawiała się na cmentarzu mniej więcej raz w tygodniu. Zwykle była sama, czasem tylko dotrzymywał jej towarzystwa retriever. Chciała mieć spokój. Joe Ateista kilka razy próbował ją podrywać, ale w końcu dostał takiego kosza, że aż mu w pięty poszło, więc Charlie tym bardziej trzymał się od niej z daleka.

A teraz pojawiła się tutaj. Nieprawdopodobnie śliczna, choć ubrana w zwykłe dżinsy i męską koszulę, szła ścieżką na jego spotkanie. Koński ogon kołysał się na boki. Charlie przecesał

włosy palcami, przetarł twarz, by się upewnić, że nie zostały na niej resztki podwieczorku, i zwolnił. Wreszcie całkiem zatrzymał wózek. Strzepnął z piersi jakieś okruszki, wepchnął koszulkę głębiej w spodnie i zsiadł. Stał twarzą w twarz z piękną dziewczyną. A kiedy z jej warg padły pierwsze słowa, skulił się w sobie i ukrył w skorupie. Znał to uczucie, znał ten stan. Zawsze tak reagował, gdy na cmentarzu pojawiała się młoda kobieta, zwłaszcza tak ponętna.

* * *

Nie miał żadnych szans. Zanim zdążył otworzyć usta, żeby się przywitać, Tess przypuściła bezpardonowy atak.

– Na litość boską! – wybuchnęła. – Czy wy naprawdę koniecznie musicie robić taki raban? Ludzie szukają tutaj ciszy i spokoju, a co się dzieje? Myślałby kto, że to inwazja na Normandię!

– Realizujemy plan obrony przed stadami gęsi – wyjaśnił Charlie, ale nie mógł się pozbyć wrażenia, że jego tłumaczenie zabrzmiało komicznie.

– Plan obrony przed gęsiami... ? – Mało brakowało, a Tess wybuchnęłaby śmiechem.

– Właśnie tak – odparł Charlie z całkowitą powagą. – Populacja gęsi kanadyjskiej... – urwał w pół zdania, bo stracił pewność siebie.

– Słucham – oświadczyła z szerokim uśmiechem. – Jestem zafascynowana. Chętnie dowiem się więcej na temat populacji gęsi kanadyjskiej. – Zawinęła wokół palca koniec końskiego ogona i przechyliła głowę na bok.

Charliego ogarnęło dziwaczne uczucie: mieszanina fascynacji i zakłopotania.

– Zaczę jeszcze raz. Przede wszystkim, przepraszam za hałas. Czasami trochę nas ponosi. – Uśmiechnął się szeroko. – Nazywam się Charlie...

– ... St. Cloud – dokończyła. – Wiem, pamiętam. To nie jest nazwisko z Marblehead, prawda?

– Prawda – przytaknął zdumiony, że go sobie przypomniała. – Z Minnesoty. Długo by mówić, jak tu trafiliśmy.

– Świetnie, uwielbiam słuchać.

– Wiem, że wybierasz się w rejs dookoła świata – powiedział odrobinę zbyt entuzjastycznie. Akurat poprzedniego dnia czytał o jej zamierzeniach w „Marblehead Reporter”. W artykule na pierwszej stronie przedstawiono plany samotnej wyprawy i zilustrowano tekst kolorowym zdjęciem, na którym była Tess w kokpicie łodzi Aerodynamę 38. – Niezłą masz łajbę. – Od razu pożałował, że nie zdobył się na jakąś bardziej oryginalną i dowcipniejszą uwagę.

– Dzięki. – Odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Charlie dojrzał niebieskoczarny kciuk, świadczący o ryzyku związanym z jej pasją. – A ty pływasz? – spytała. – Jakoś cię chyba nie widziałam na wodzie.

– Kiedyś pływałem. Ale głównie na ketach, nic specjalnego. – Zaczął się denerwować. – Naprawdę mi przykro, że ci przeszkadziliśmy. Więcej to się nie powtórzy.

– Nie przejmuj się, nie ma o czym mówić. – Zmarszczyła nos. – Wszystkiego się dzisiaj czepiam. Głowa mi pęka. – Potarła czoło, a wtedy w jej oczach rozbłysło słońce.

Charlie żył w świecie zieleni stworzonym z wszelkich odcieni tej barwy, jakie tylko można sobie wyobrazić, ale żaden mech, żadne liście ani soczysta trawa nie umywały się do koloru jej oczu. Oczy Tess były doskonałe. Wokół tęczówek jasne jak limonka, bliżej źrenic nasycone niczym pełne sekretów szmaragdy.

– Lepiej pójde – uznał, choć zdumiały go te słowa, bo pragnął czegoś zupełnie przeciwnego. – Dam ci spokój.

– Skąd ten pośpiech? Biegiesz odpierać kolejny atak biednych gęsi?

Charlie roześmiał się bezwiednie.

– Nie, tylko myślałem, że tęsknisz za ciszą i spokojem.

– Trochę mi przeszło. Lepiej się czuję. – Obrzuciła go uważnym spojrzeniem. Zrobiło mu się nijako z powodu zabłoconych butów i poplamionych spodni. – Mój ojciec leży na tym cmentarzu – powiedziała. – Tam, na samym szczycie wzgórza. Ładny stamtąd widok.

Odwróciła się i poszła, a koński ogon podskakiwał w rytm jej kroków. Charlie nie bardzo wiedział, co powinien teraz zrobić. Czy w ten sposób zapraszała go, żeby z nią podziwiał krajobraz? Czy też może definitywnie skończyła rozmowę? Zdrowy rozsądek kazał mu wracać do pracy. Nie był zainteresowany uganiem się za Tess Carroll. A jednak, sam nie wiedząc jak i kiedy, ruszył za nią. Gdy dotarł na szczyt pagórka, siedziała w trawie i patrzyła na przystań, gdzie przycumowane łodzie zwracały się na północny wschód. Dalej na wodzie jakiś mężczyzna wyciągał z wody klatkę z homarami.

– Tim Bird miał dzisiaj dobry połów – odezwała się Tess. – Rufa mu nisko idzie.

– Twój ojciec też łowił homary, prawda?

Spojrzała na niego lekko zdziwiona.

– Skąd wiesz?

Charlie nie miał pewności, czy należy powiedzieć jej prawdę. Nie chciał się wydać dziwny, ale pamiętał zawód każdego człowieka, którego pochował na cmentarzu Waterside. I wszystkie mowy pogrzebowe.

– Skąd wiesz, kim był mój tata? – powtórzyła Tess. Tym razem z lekkim naciskiem.

– Byłem przy jego pogrzebie.

– Aha. – Tess odgarnęła z twarzy luźne kosmyki włosów. – Ja miałam wtedy w głowie kompletną pustkę. Niewiele pamiętam.

Charlie natomiast doskonale przypominał sobie całą ceremonię, zwrócił także uwagę na to, że ojciec Tess nie pokazał się na cmentarzu. Nie było to szczególnie zaskakujące, wielu zmarłych przechodziło od razu na następny poziom, nie przystając w Waterside nawet na chwilę.

Przyglądał się jej twarzy. Wracały wspomnienia. Z taką dziewczyną chętnie by się spotykał w czasach, gdy jeszcze wszystko wydawało się możliwe. A przy tym była kobietą tego rodzaju, jakich nigdy nie spotykał na cmentarzu. Wszystko jej się w życiu udawało: prowadziła świetnie prosperującą firmę, miała piękną łódź i takie zielone oczy...

A jednocześnie, co dziwne, wcale go nie zawstydzała. Była najmilszą, najbardziej bezpośrednią istotą, jaką znał. Przykre wrażenie skrepowania dawno minęło, czuł się coraz śmielszy.

– Może to dziwnie zabrzmie, ale podobał mi się tekst, który wtedy przeczytałaś.

– Jaki tekst?

– Wiersz.

– Pamiętasz go?

– „Ścigaj marzenia” e. e. cummingsa.

– Mój tata go uwielbiał.

– Odszukałem go później. – Zamilkł, a po chwili wyrecytował kilka linijek:

sercu zaufaj
gdy morze w ogniu stanie
(i żyj miłością
choć gwiazdy pędzą wspak).

– „I żyj miłością – powtórzyła – choć gwiazdy pędzą wspak”.

- Piękne – powiedział Charlie. – Chociaż nie do końca rozumiem, co to znaczy.
- Ja też.

Położyła się na wznak i roześmiała głośno. Echo rozniosło dźwięk po cmentarzu, a Charlie zyskał absolutną pewność, że od wieków nie słyszał nic piękniejszego.

Tess przetoczyła się i spojrzała mu prosto w oczy. Jej twarz nie była już spięta, oczy błyszczały.

- Powiedz mi, Charlie, co taki chłopak jak ty robi na cmentarzu.

* * *

Wszystko wskazywało na to, że na tydzień przed opuszczeniem miasta odkryła idealnego faceta. Wiecznie to samo. Albo zły czas, albo miejsce, albo chłopcy, którzy jej wpadli w oko, okazywali się zupełnie do niczego. Tess chciała żyć miłością, ale gwiazdy jakoś nie chciały dla niej pędzić wspaniałości, a już z całą pewnością nie zsyłały jej wielkiej miłości. Nigdy dotąd nie miała szczęścia w sprawach sercowych i na pewno nigdy nie będzie miała. Głównie dlatego chciała wyjechać. Żeglowność było dla niej jak bułka z masłem, czego nie dało się powiedzieć o zbudowaniu stałego związku. Jakoś tak wyszło, że dużo łatwiej radziła sobie z porywistym wiatrem niż z niespokojnymi mężczyznami.

A przecież teraz, kiedy tak leżała rozciągnięta na trawie, czuła, że właściwie... tak jakby... polubiła tego całego Charliego. Dziwne. Spędziła w tym mieście całe życie, a nie zwróciła na niego uwagi. Aż do dzisiaj. Oczywiście, widywała go zwykle w niebieskim roboczym ubraniu, ale zawsze wydawał się cokolwiek onieśmielony i skrępowany, wybierał najciemniejsze kąty miejscowych barów i knajpek. Swego czasu, w szkole, wszyscy słyszeli o dwóch St. Goudach. Byli najbardziej obiecującymi braćmi w okręgu Essex, póki młodszy nie zginął w wypadku spowodowanym przez starszego na moście imienia generała Edwardsa. Prawdziwa tragedia. Ludzie gadali, że Charlie nie zdołał się z niej otrząsnąć.

A tu proszę – wyglądał na całkiem zrównoważonego. Owszem, pracował na cmentarzu i może chwilami zachowywał się trochę dziwnie, ale miał poczucie humoru, był miły, a także na swój szorstki sposób przystojny. Najwyraźniej od rana ciężko harował, bo koszulkę upstrzyły plamy potu, na rękach zostało mu trochę błota, a we włosach utkwiliły żdźbła trawy. I jeszcze do tego wszystkiego cytował Cummingsa. Była w nim jakaś delikatność i niezwykła wrażliwość. A w dodatku jak na nią patrzył... !

- Charlie, przestań się gapić i odpowiedz mi na pytanie – sprowadziła go na ziemię.

Zamrugnął zbity z tropu.

- Jakie pytanie?

- Co ty tu robisz? Dlaczego pracujesz na cmentarzu?

– A dlaczego by nie? Nie lubię pracy w biurze. Tutaj cały dzień spędzam na świeżym powietrzu, no i właściwie sam sobie jestem szefem. Żyć, nie umierać. – Urwał żdźbło trawy, ułożył między palcami, zwinął dłoń i dmuchnął. W powietrzu rozległ się dziwny gwizd i wtedy drzewa ożyły, gdy wszystkie ptaki pośpieszyły z odpowiedzią.

Niesamowity facet. Znalazł się wielki muzyk. Paul Bunyan z cmentarza. Nawet ptaki z nim śpiewają!

Tess również urwała kilka trawek i z rozkoszą wciągnęła ich woń.

- Uwielbiam ten zapach – powiedziała.

- Ja też.

- Można by go zamykać w butelkach i sprzedawać.

- E, wystarczy trochę heksanolu, metanolu, butanolu i...

– No dobrze. Więc tak: rozmawiasz z ptakami, znasz się na chemii... czy jesteś prawdziwy? Charlie się roześmiał.

– Pewnie! Tak samo jak ty.

Tess przyjrzała się dołeczкови w jego policzku, grzywie włosów opadającej na oczy, niewielkiej skośnej bliźnie na skroni. Przecież ten chłopak jest prawdziwy. Ale też, z drugiej strony, wydawał się jakiś dziwny i pracował w świecie naznaczonym obecnością zmarłych.

– A ci wszyscy tutaj?

– Co?

– Nie dostajesz przez nich gęziej skórki?

– Wcale! – zaśmiał się głośno. – Śmierć jest w szpitalach i domach opieki. Albo w zakładach pogrzebowych. Tutaj to już zupełnie co innego. To jest ogród. Zmarłych przynoszą w trumnach lub w urnach, nie mamy z nimi żadnego kontaktu.

Tess ściągnęła gumkę z włosów. Rozsypały się na ramiona. Ciągle jeszcze bolała ją głowa, była też mało przytomna, bo niewyspana, ale też czuła się z chwili na chwilę coraz bardziej zrelaksowana i rozluźniona. Podobał jej się głęboki ton głosu Charliego. Chciała wiedzieć o tym chłopaku więcej, więc nie zamierzała popuścić.

– A twój brat?

– Co: mój brat?

Prawie niedostrzegalnie się wycofał, jakby odrobinę zamknął w sobie.

– On też jest tu pochowany, prawda? Czy dlatego i ty tu jesteś?

– Taka mi się trafiła robota. – Charlie wzruszył ramionami. – Zarabiam na opłaceniu rachunków, a to zajęcie jest lepsze niż siedzenie w biurze.

Tess popatrzyła mu prosto w oczy. Wiedziała, że odpowiedź jest prawdziwa tylko częściowo. To kamuflaż. Praca na cmentarzu nie była dla niego „robotą”. Nie zatrudnił się tutaj po to, by mieć pieniądze na zapłacenie rachunków.

– Muszę już wracać do obowiązków – powiedział. – Cieszę się, że cię spotkałem.

– Przepraszam, wiem, że to nie mój interes. Zawsze za dużo gadam.

– Naprawdę, nic się nie stało – zapewnił. – Możemy o tym pogadać innym razem.

Tess wstała i spojrzała na Charliego. Miał dobrze ponad metr osiemdziesiąt. Chętnie by starła z jego czoła ciemną smugę i strzepnęła resztki liści z barków. Nagle jednak ona, dzielna wilczyca morska, jakoś straciła odwagę.

– Chętnie – zgodziła się bez wahania.

– Aha, powodzenia w rejsie – przypomniał sobie Charlie.

– Dzięki. Umówimy się jakoś, jak wrócę.

– Dopiero jak wrócisz?

– Wypływam za kilka dni. – Przyjrzała mu się uważniej. Ściągnął brwi w zamyśleniu.

– Posłuchaj – odezwał się mocnym głosem. – Jeśli nie masz planów na dzisiejszy wieczór, to może zjedlibyśmy razem kolację? Przygotuję rybę z grilla...

– I jeszcze na dodatek gotujesz?

– Nic nadzwyczajnego...

– Podrywasz wszystkie kobiety na cmentarzu? – Tess nie zdążyła ugryźć się w język.

– Nie, tylko te, które jeszcze oddychają.

Uśmiechnęła się. Podobał jej się i doskonale wiedziała, czego by sobie życzyła.

– Przyjdę.

– Super.

– Przynieść coś?

– Nie trzeba, wszystko mam. Wolisz wino czy piwo?

– Zgadnij. – Drobnny test nie zaszkodzi.

– Piwo Sam Adams – odrzekł bez wahania.

– Ekstra.

– Mieszkam tam, pod lasem. – Wskazał chatkę ze strzechą i ceglanym kominem przytuloną do drzew. – Przyjdź pod główną bramę cmentarza. Ósma ci odpowiada?

– Pasuje. Jesteśmy umówieni.

Charlie pomachał jej i odszedł w stronę wózka. Została sama na szczycie wzgórza. „Jesteśmy umówieni”. Na wspomnienie własnych słów musiała się roześmiać. Długie miesiące izolowała się od świata, tłumacząc to przygotowaniem do rejsu. Odrzucała wszystkie zaproszenia, uchylała się od uczestnictwa w imprezach. Innymi słowy, była ostatnią osobą w Essex, którą można by podejrzewać o umówienie się na randkę.

Przyklękła obok grobu ojca, położyła dłoń na kamieniu. Boże, ależ dziwaczne jest życie. Może tata rzeczywiście patrzył na nią z nieba? Może właśnie za jego sprawą przyjęła zaproszenie Charliego?

– Dziękuję ci, tatusiu – szepnęła do wiatru.

Jedenaście

Plamy czerwieni i różu na niebie zwiastowały kłopoty.

Charlie od lat organizował swoje życie zależnie od spotkań z Samem o zachodzie słońca i nie było w tych planach miejsca na margines błędu. Widział doskonale, że tego akurat wieczoru ma czas do godziny osiemnastej pięćdziesiąt jeden, ponieważ dokładnie o tej porze następował zmierzch cywilny. Właśnie wtedy środek tarczy słonecznej znajdował się sześć stopni pod horyzontem zachodnim, a nad ukrytym w lesie boiskiem zapadała ciemność. Co oznaczało, że ma dwadzieścia jeden minut, by swoim ramblerem sześćdziesiąt sześć wpaść po steki z miecznika do sklepu Lobster Company w Little Harbor, a później skoczyć na drugi koniec miasta, do Crosby'ego po sałatkę i składniki do deseru.

Trochę mało czasu.

Przed oczami miał obraz Tess stojącej na szczycie wzgórza. Nie mógł się nadziwić własnej śmiałości. Ni mniej, ni więcej, tylko zaprosił ją do siebie na kolację, a zielone oczy dziewczyny rozjarzyły się niesamowitym blaskiem, gdy powiedziała „tak”. Joe Ateista ze zdumienia rozdziawi szczękę. Czy jemu udało się kiedykolwiek spędzić wieczór z kobietą równie piękną i błyskotliwą? Wystarczyło z nią porozmawiać, a człowiek od razu czuł się uskrzydłony.

– Spokojnie, gadałeś z nią raptem kwadransik – mruknął do siebie pod nosem.

Był mężczyzną o praktycznym podejściu do życia, także w kwestiach sercowych. I nic dziwnego. Jego tryb życia, wyznaczony przez zachody słońca, nie pozwalał na kierowanie się emocjami.

Od poprzedniej randki minęły cztery lata. Wtedy dziewczyną Charliego była Becca Blint. Poznali się w pubie Landing w noc degustacji piwa i zakochali się w sobie nad kuflem angkor extra stout z Kambodży. Pracowała jako nauczycielka w pierwszej klasie podstawówki w Peabody, miała poczucie humoru, lubiła flirtować i była od niego starsza. Podczas wspólnego lata nauczyła go niejednego; razem skakali przez strumień spryskiwacza, pływali nago w stawie i pieścili się w jego chatce. Tyle tylko że jesienią Becca zapragnęła wyjeżdżać na weekendy: patrzeć na kolorowe liście, zdobywać punkty stałego klienta linii lotniczych albo pomknąć odrzutowcem do Paryża, na cmentarz Pere-Lachaise, gdzie spoczywał Jim Morrison.

Charlie nie zdradził jej tajemnicy więzi łączącej go z Samem, toteż wkrótce jego codzienne wycieczki na cmentarz o zachodzie słońca stały się dla niej symbolem absurdu. Gdy zabrakło mu wymówek i znużyły go jej nalegania, postanowił odstąpić nieco od rygorystycznych zasad i od czasu do czasu pojawiał się w lasku spóźniony kilka minut. Ponieważ nie stało się nic strasznego, posunął się dalej. Któregoś wieczoru pojawił się na miejscu już po zmroku i wtedy nagle zdał sobie sprawę, że Sam zaczął znikać. Z początku zmiana była właściwie niedostrzegalna, ale po jakimś czasie stało się oczywiste, że Charlie traci swój dar. Fakty wskazywały nieubłaganie, że im pełniej żył w jednym świecie, tym mniej klarownie postrzegał drugi.

Wtedy właśnie określił wyraźną granicę, wrócił do dawnych obyczajów i przestał na ten temat dyskutować z Beccą. Przed Nowym Rokiem odeszła. Znalazł liścik przyczepiony do kierownicy wózka.

Dosyć mam cmentarza. Dosyć życia z człowiekiem tkwiącym w świecie umarłych. Przykro mi, że to nie ja cię wyzwolę.

Jej odejście okazało się bolesne, ale nie było mowy o wybieraniu pomiędzy Samem i Beccą, a możliwości kompromisu Charlie nie widział.

Po rozstaniu zakuł serce w pancerz, pracował jeszcze ciężiej i unikał wszelkich poważniejszych zobowiązań, zwłaszcza w kontaktach z kobietami.

Podtrzymywał swój wizerunek zadowolonego z życia szczęściarza, zawsze był skory do żartów i pierwszy do płatania psikusów. Został także mistrzem uników. Sabotował każdą szansę nawiązania nowej znajomości i co wieczór upewniał się, że dobrze robi. Pozbawił Sama życia, więc nie zasługiwał na miłość ani szczęście.

Oto niezbita logika.

A teraz – nowe, przerażające uczucie uruchomiło wszystkie dzwonki alarmowe. Tess była groźna. Jeśli ktoś potrafiłby wyrzucić jego starannie poukładany świat do góry nogami, to właśnie ona.

Podjechał na parking przy Orne Street, zerknął w niebo, potem na zegarek. Siedemnaście minut. Wsiadając z samochodu, dostrzegł energiczną kobietę ubraną w bordowy dres, wyprowadzającą grupę turystów z Little Harbor, starej przystani w skalistej zatoczce, gdzie od wieków dobijali targu skutnicy i rybacy.

O, niedobrze. Gdzie by się tu schować?

– Proszę państwa! – grzmiała przewodniczka. – Proszę zauważyć, iż wszystkie kominy pochylają się na wschód. Czy to wyraźnie widać? Proszę spojrzeć w tamtą stronę. – Wskazała dłonią w odpowiednim kierunku. – Spowodowane to jest operowaniem słońca i tempem wysychania zaprawy.

Fraffie Chapman była entuzjastką miejscowych zabytków architektury i radną, a na dodatek pełniła funkcję przewodniczącej szacownej Komisji Historii Okręgu. Żaden z mieszkańców miasta nie mógł ozdobić swojego domu najmniejszym gzysikiem czy szczytem na dachu albo, co gorsza, wybrukować chodnika, jeśli nie dostał zezwolenia wysokiej komisji pod przewodnictwem pani Chapman, zakochanej w historii miasta. Miała długi, okazały nos, leciutkie jak puch siwe włosy i bardzo przypominała jednego ze swoich przodków, samego Jerzego Waszyngtona, który zresztą dwukrotnie odwiedził Marblehead.

– Proszę zwrócić uwagę na ten kolor! – wykrzyknęła entuzjastycznie, celując laską w drzwi jednego ze starszych domów. – Pyszny! Oryginalny błękit. Zupełnie taki sam jak kolonialny pierwowzór. – Przeszła kilka kroków. – Tędy, proszę. Te okiennice... ! Proszę państwa! Aż kłują w oczy! – Zakryła twarz w udawanym przerażeniu. – Prawdziwa obraza! W osiemnastym wieku nie używano okiennic! Weszły w modę dopiero na początku dziewiętnastego! Dlatego też komisja domaga się, by właściciel budynku usunął tę potworność.

Charlie musiał się roześmiać. Prawie wszyscy członkowie znakomitego ciała, stojącego na straży prawdy historycznej, reagowali na pomysły mieszkańców w identyczny sposób.

– Czy są jakieś pytania?! – wykrzyknęła pani Chapman, ale turyści woleli milczeć. Odwróciła się od nich i ruszyła akurat w stronę Charliego. – Marblehead jest miastem wybitnym, nie jakąś drugorzędną miejsciną – oznajmiła z mocą, nie zwracając się do nikogo w szczególności. – Nie pozwolimy, by przyjezdni zmienili je w Disneyland. Z całą pewnością.

Charlie przemknął przez ulicę, chcąc się ukryć za fordem explorerem. Może uda się uniknąć niepożądanego spotkania... Niestety, właśnie wtedy dotarł do jego uszu przeszywający głos:

– Widzę cię, St. Cloud! Przede mną się nie schowasz! – Zmarszczyła brwi, przechyliła głowę i ruszyła na niego jak szarżujący byk. – Najwyższy czas, żebyś przyciął te chaszczce na West Shore Drive. Ostrzegam cię, to nie przelewki! Albo je doprowadzisz do przyzwoitego stanu, albo poznasz mój gniew!

Charlie osobiście wolał, gdy żywopłot i cisy od frontu cmentarza rozrastały się zgodnie z własną fantazją. Dzięki temu wejście zyskiwało bardziej naturalny wygląd. Tym razem jednak nie miał czasu się sprzeczać. Światło odbijające się nisko na wodzie mówiło mu wyraźnie, że

słońce opadło już poniżej linii drzew.

– Te krzaczyska nie mają nic wspólnego z wiernością historyczną! – ciągnęła Fraffie Chapman. – Uragają dobremu smakowi. Daję ci ostatnią szansę. Albo je uporządkujesz, albo wypowiem ci wojnę!

Charlie wyobraził sobie panią Fraffie strzelającą do niego z muszkietu albo kłującą go nożem myśliwskim.

– Zrobię, co będę mógł – obiecał najgrzeczniejszym tonem ze swojego repertuaru. – Teraz już się pożegnam, czas mnie goni.

Pani Chapman odwróciła się ponownie do grupki turystów i laską wskazała wyspę za przystanią.

– To jest Geny Island. Elbridge Gerry był naszym najślawniejszym mieszkańcem. W tysiąc osiemset trzynastym został wybrany na wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych. Nazwaliśmy jego imieniem szkołę, ulicę oraz stowarzyszenie emerytowanych strażaków...

Odeszła wreszcie, opowiadając o smołowanych dachach i bliźniaczych kominach. Charlie natomiast pognął ulicą prosto do Lobster Company. Na drzwiach sklepu widniał napis „Dzieci pozostawione bez opieki będą sprzedawane w niewolę”. Już w progu poczuł obezwładniający pleśniowy zapach morza i ryb. Na środku pomieszczenia stały wielkie szklane baseny z bulgoczącą wodą, pełne homarów. Betonowa podłoga wokół nich nigdy nie wysychała. Dawno temu, jeszcze za czasów chłopięcych, Charlie przy każdej okazji z lubością obserwował walki skorupiaków, przyciskając twarz do wilgotnego szkła.

Przed kasą stał mężczyzna w prążkowanym garniturze, właśnie zbierał sprawunki. Pete Kiley. W drużynie baseballowej szkoły średniej grał jako drugometowy, a ostatnio dochrapał się stanowiska wspólnika w renomowanej bostońskiej firmie prawniczej. Swego czasu razem z Charliem pobili rekord Marblehead w podwójnych grach w polu, teraz natomiast Pete miał rodzinę, mieszkał w luksusowym domu na osiedlu Marblehead Neck, a na wakacje wyjeżdżał do Francji i Włoch.

– A niech mnie! – zawołał, odwracając się. – Przecież to Charlie St. Cloud, numer dwadzieścia cztery... – Witał się zawsze tak samo, obojętne, gdzie na siebie wpadli, a Charlie doskonale zdawał sobie sprawę, że to sposób na ukrycie zakłopotania. Pete coś w życiu osiągnął, a on nie. Prawda jednak była taka, że próby przywołania dawnych dobrych czasów tylko pogarszały sprawę. – Wybacz, śpieszę się – dorzucił od razu, kręcąc na palcu kluczyki od bmw. – Żona czeka w samochodzie. – Poklepał Charliego po ramieniu. – Zadzwoń któregoś dnia, umówimy się na kolację.

– Jasne – powiedział Charlie już do pleców wychodzącego kolegi. Oczywiście nie zamierzał dzwonić.

– Smarkacz ma za dużo pieniędzy – zaskrzeczał głos zza lady. – Pewny znak, że bogaci powinni płacić wyższe podatki. – Bowdy Cartwright był właścicielem Lobster Company od zawsze. Miał trzy obfite podbródki i rozśmieszał kolejne pokolenia dzieciaków, udatnie naśladując rybę nadymkę. – Co ci dać? – zapytał. – Mamy dzisiaj niezłego łupacza na zupe, świeże kalmary do gotowania na parze...

– Wezmę dwa steki z miecznika, po ćwierć kilograma.

– Bardzo proszę. Prosto z kutra z Grand Banks.

Z zaplecza wyszła młoda kobieta, Margie Cartwright. Przerzuciła długie blond włosy przez ramię, obdarzyła Charliego uśmiechem podkreślonym czerwoną szminką, podeszła do kasy i przechyliła się przez kontuar, nadstawiając policzek.

– No, dawaj. Buziak dla dawnej dziewczyny.

Dawno, dawno temu, jeszcze w szkole średniej, na długo przed tym, nim Charlie zniszczył

wszystko, o rok starsza Margie była jego ukochaną. Kiedy chodził do drugiej klasy, przypadli sobie do gustu w mroźny ranek Święta Dziękczynienia na ważnym meczu z drużyną ze Swampscott. Była cheerleaderką. Nadal niezależnie od pogody ubierała się w krótką spódniczkę i dopasowany sweterek. Uważała, że dziewczyny z pomponami nie powinny się chować pod workowatymi kurtkami i chodzić w długich spodniach. Romans Charliego i Margie przebiegał niewinnie; wieczory spędzali w pizzerii, pogrążeni w rozmowach nad kurczakiem zapiekany z parmezanem. Potem zdarzył się wypadek i Charlie odsunął się od niej. Najpiękniejsze pompony na świecie nie mogły go podnieść na duchu. Margie robiła, co mogła, by go sprowadzić z powrotem między ludzi, ale ją odepchnął.

Posłusznie cmoknął dziewczynę w policzek.

– Grzeczny chłopiec – oznajmiła, mrugając długimi rzęsami.

Otaczała ją delikatna chmurka perfum Chloe. Margie pod wieloma względami nie spuściła z tonu i zachowała styl z czasów największej chwały. Długie jasne włosy nosiła rozpuszczone jak dawniej, ubrana była w obcisły różowy sweterek i czarną spódniczkę mini, na nogach miała botki. Wszyscy rybacy, nawet daleko od Marblehead, znali ją z imienia i wyglądu, który stanowił jej jedyny protest przeciwko życiu ograniczonemu do rodzinnego sklepiku.

– Co dzisiaj na kolację? – spytała.

– Nic specjalnego.

– Proszę. – Bowdy podał Charliemu papierową torebkę. – Bierze dwa steki z miecznika, Margie. Wyszło trochę ponad pół kilograma.

– Dwa steki... ? Aha! – Margie uniosła doskonale wyregulowane brwi. – Rybka dla dwojga?

– Eee tam...

– Charlie! Przestań! Co to za dziewczyna? Powiedz, może szepnę za tobą dobre słówko.

Charlie rzucił na ladę banknot dwudziestodolarowy.

– Margie, naprawdę muszę lecieć. Przedzwoń do mnie, dobra?

– Aleś się zrobił ponury! Co to za tajemnice! Przecież doskonale wiesz, że i tak nic przede mną nie ukryjesz. Lepiej sam się przyznaj.

Zastanowił się przez chwilę. Trudno było nie przyznać jej racji. Miała tu świetnie zorganizowaną siatkę wywiadowczą, więc najdalej za kilka dni będzie doskonale poinformowana. No i właściwie, co mu szkodzi powiedzieć? Znała na wylot wszystkich mieszkańców miasta i każdego z osobna. Mogła nawet okazać się pomocna.

Zerknął na zegarek – zostało jedenaście minut – i postanowił zrezygnować z sałatki od Crosby'ego oraz deseru. W domu coś wymyśli. Niech żyje improwizacja. A zyskiwał w ten sposób kilka minut na zdobycie cennych informacji. Wobec czego oparł się na ladzie i zniżył głos.

– Obiecujesz, że nikomu nie powiesz?

– Obiecuję. Z ręką na moim wiernym sercu.

– Dobra. – Przeszedł na konspiracyjny szept. – Co wiesz o Tess Carroll?

Dwanaście

– Babusiu, słyszysz mnie? – Tess zadrżała babci w oczy koloru mchu.

Wstąpiła do niej, do domu opieki Devereux House, w drodze powrotnej z cmentarza. Natychmiast po wejściu do budynku, już na zielonym korytarzu prowadzącym do pokoju numer dwieście szesnaście, uderzył ją zapach leków i środków dezynfekujących.

– Babusiu, to ja. Mam bombową wiadomość! Wygląda na to, że poznałam fantastycznego chłopaka.

Staruszka mrugnęła, ale ciągle wpatrywała się w ekran telewizora. Właśnie szedł „Strażnik Teksasu”, oglądała go codziennie. Pomarszczoną dłonią sięgnęła po kartonik z sokiem pomarańczowym, z którego wystawała słomka. Pociągnęła łyk, lecz nadal nie odezwała się słowem.

Tess otrzymała imię po babce, Theresie Francis Carroll, i nie był to jedyny dar. Zawsze mogła liczyć na mądrość i miłość staruszki, więc też często się do niej zwracała w nieuniknionych trudnych momentach życia. Właśnie do niej przyszła szukać pocieszenia, gdy Scotty McLaughlin rzucił ją akurat w czasie tego szczególnego balu noworocznego na przełomie wieków, w Corinthian Club. Babcia, na wskroś romantyczna, sama nie miała łatwego życia. Jako dziewiętnastolatka poślubiła zabójczo przystojnego poławiacza krabów z Nahant, miasta rywalizującego z Marblehead, który zostawił ją z rosnącym brzuchem.

– Nie miał równego sobie – wyznała kiedyś wnuczce. Choć stale otaczał ją tłum wielbicieli, nie wyszła ponownie za mąż. Słuchając historii jej życia, dziewczyna zawsze płakała. – Zaczekaj na prawdziwą miłość – powtarzała babka. – Nie zadowolaj się namiastkami.

Właśnie od niej Tess się nauczyła, co to znaczy dawać sobie radę w życiu. By zarobić na utrzymanie, Babusia zatrudniła się w fabryce butów w Lynn. Całe jej życie było ciągłą walką o przetrwanie, a od jedenastu lat cierpiała na raka płuc. Właśnie mijał osiemdziesiąty szósty rok jej ziemskiej wędrówki. Dwa razy lekarze musieli się chwytać drastycznych środków, by zawrócić staruszkę z progu śmierci, i za każdym razem zostawało w niej trochę mniej życia. Ostatnio przy łóżku pojawił się mały znaczek NR – „nie reanimować”.

W pojęciu Tess Babusia nadal była nieugięta i w ogóle się nie zmieniała. Zagorzała zwolenniczka demokratów, trzymała na gzymsie kominka wygniecione i pożółkłe zdjęcie trzech młodych braci Kennedych, wycięte z „Boston Globe”, uwielbiała ploteczki o mężczyznach i mimo problemów ze zdrowiem obstawała przy skandalicznym nawyku palenia czerwonych marlboro.

Bywały dni, gdy rozpoznawała Tess. Najczęściej jednak myliła ją ze swoją starszą siostrą, która zmarła w dniu, gdy George Bush pokonał Michaela Dukakisa trzystu dwudziestoma pięcioma głosami wyborczymi. Niekiedy wydawało się, że w ogóle nie dostrzega wnuczki. Ot, po prostu wpatrywała się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem. Ostatnim ukłonem w stronę dumy i szacunku było żądanie, by codziennie wkładano jej wesołą sztuczną biżuterię i jaskrawy kapelusz.

Teraz tkwiła nieruchomo w bujanym fotelu i wyglądała przez okno.

– Czego tam wypatrujesz, Babusiu? – spytała Tess. Z pokoju roztaczał się widok na wyasfaltowany parking; na ogrodzeniu przysiadł ptaszek. – Przyglądasz się wróblowi?

Staruszka uśmiechnęła się i na dłuższą chwilę zamknęła oczy.

– Jak sobie radzisz? Czy pan Purdy nadal cię prześladuje? Wspominałaś, że to prawdziwy zboczeniec.

Znowu cisza.

A więc tak to wygląda. Długie, trudne życie i w nagrodę coś takiego. Lata samotnej walki... Tess obiecała sobie, że nie skończy w ten sposób. Odejdzie w blasku chwały. Nie chciała powoli gasnąć. Gorzej być nie mogło.

– Babusiu, przyszedłam się pożegnać. Wypływam w rejs dookoła świata, pamiętasz? – Zamilkła, utkwiała wzrok w naszyjniku z kolorowymi szkiełkami. – Przywiozę ci biżuterię z Dalekiego Wschodu, chcesz?

I tym razem nie doczekała się reakcji.

– Babusiu, czy wiesz, że jestem przy tobie? – spytała. – Tak, na pewno wiesz.

W pokoju panowała niczym niezmacona cisza. Staruszka wydeła usta, wokół warg pojawiły się promyki zmarszczek.

– Oczywiście – odparła zwięźle. Po raz pierwszy od długich miesięcy dała znak, że dostrzega obecność wnuczki, i Tess zaniemówiła ze zdumienia. – Dobrze się czujesz, kochanie? – spytała. A wnuczka nadal nie mogła znaleźć słów. Babusia spojrzała na nią przytomniej. – Wszystko będzie dobrze, dziecko. Niedługo się spotkamy.

Powieki jej opadły, głowa pochyliła się lekko. W następnej chwili już pochrapywała. Tess wstała i ucałowała babcię w upudrowany policzek.

– Kocham cię, Babusiu. Do zobaczenia.

Trzyńście

Charlie puścił linę i wyleciał w górę. Wyprostował się, wciągnął powietrze i zanurkował w chłodną wodę. Wystarczyło parę mocnych ruchów nóg, by znalazł się na torfowym dnie. Przytrzymał się jakiegoś kamienia i słuchał bulgotania uciekających bąbelków powietrza oraz bicia swojego serca.

Zdążył do lasu tuż przed zmierzchem, ale opanowało go jakieś dziwne, nieznane dotąd uczucie. Popadł w konflikt z samym sobą, bo nagle zdał sobie sprawę, że najchętniej pożyczylby od Joego łódź i zaprosił Tess na wycieczkę o zachodzie słońca. Odkorkowałby butelkę dobrego wina, a potem włączył motor i zabrał dziewczynę na kolację do Manchesteru.

A przecież nic z tego, ponieważ musiał dotrzymać obietnicy i odprawić codzienny rytuał. Wobec tego najpierw trochę porzucali z Samem piłką, a następnie pływali w stawie, który Charlie sam wykopał. Skopiował najmniejsze szczegóły sadzawki z Cat Island: zachował identyczne wymiary, znalazł nieomal doskonałą replikę wiszącej tam niegdyś liny, zawiązał na jej końcu taki sam potrójny węzeł. Na chwałę najszcześniejszych dni, gdy byli na obozie letnim z YMCA, a w niebo wzbijały się dzikie kaczkę i rybołowy, kiedy skakali do wody, rozhuśtawszy się na starej linie.

Dopiero kiedy płuca zaczęły go palić żywym ogniem, puścił kamień i odepchnął się od dna. Wskoczył nad powierzchnię stawu z głośnym pluskiem. Dopiero gdy wygładziły się zmarszczki na wodzie, usłyszał głos brata:

– Minuta dwadzieścia dwie! Charlie St. Cloud pobił rekord Waterside!

Sam siedział na zwałonym pniu. U jego stóp Oscar drapał się z zapamiętaniem. Niestety, w życiu po życiu także istniały pchły.

W Lesie Cieni właśnie zaszło słońce, pomiędzy gałęzi drzew sączyły się miękkie strumyki fioletu. Charlie wyszedł ze stawu i narzucił ręcznik na ramiona. Krótkie spodenki z dżinsu, ciężkie od wody, zsunęły się nisko na wąskich biodrach, końcami nogawek muskając pamiętkę po wypadku – krzyżujące się blade blizny nad kolanami. Otarł dłońmi wodę z torsu, a potem energicznie kręcąc głową, urządził prysznic Oscarowi.

– Jest tam gdzieś Bibelocik? – zapytał Sam.

– Nie ma. Jakby się pod ziemię zapadł.

Bibelocik był żółwiem mieszkającym w sadzawce. Przed trzynastu laty chłopcy wykradli go z niewielkiego akwarium przy samej kasie w sklepie zoologicznym Animal Crackers w Gloucester. Przeprowadzając się do Waterside, Charlie zabrał go ze sobą, a zwierzak, zadowolony z nowych warunków, świetnie zaopatrzonej w żywność i zakwaterowany we własnej sadzawce, z czasem osiągnął gigantyczne wymiary.

Sam podrapał się po głowie.

– Słuchaj, a może on poznał jakąś żwawą gadzią samiczkę i gdzieś się ulotnił?

– Nie przypuszczam.

– Trudno się dziwić – uznał Sam. – W stawie zrobiło mu się ciasnawo.

Charlie zerknął na zegarek. Tess przyjdzie pod żelazną bramę równo za sześćdziesiąt minut. A musiał wrócić do chatki, pochować sterty gazet, wrzucić naczynia do zmywarki i rozpalić grill.

– No, skacz, mały.

Sam sięgnął po linę. On także miał na sobie spodenki obcięte nad kolanami, a chudy był tak, że wydawał się zbudowany wyłącznie z kości i stawów: łokci, kolan, barków, kostek.

– Popchnij mnie.

Pofrunął nad wodą szerokim łukiem w górę i w najlepszym momencie puścił sznur. Jak liść

na wietrze leciał ciągle w stronę nieba, zaprzeczając prawom grawitacji. Potem wykonał półtora obrotu, czyli wyjątkowy manewr, który widział w transmitowanych przez stację ESPN letnich pokazach sportów ekstremalnych.

Plusk!

Zniknął pod wodą na bardzo długo, a kiedy się w końcu wynurzył, na twarzy miał szeroki uśmiech.

– Masz pozdrowienia od Bibelocika! Czuje się świetnie. Nigdzie się nie wybiera. – Wyszedł z sadzawki i chwycił swój ręcznik. – Chcesz spróbować zrobić misty flipa?

– Nie ma mowy. To za trudne.

– Tchórz.

– Tchórz? Masz drobną przewagę w dziedzinie latania.

– Nie bądź mięczakiem – nalegał Sam. – To łatwizna. Pokażę ci, jak to się robi. Nic ci się nie stanie.

– Nie – oznajmił Charlie stanowczo. – Mam dosyć. – Wciągnął przez głowę bawełnianą bluzę z logo Salem State Vikings.

– Co jest grane? – zapytał Sam. – Nawet dobrze nie porzucaliśmy, a ty już znikasz.

– Nic nie jest grane.

– Taaa, jasne. Zachowujesz się jak panna na wydaniu.

– Nieprawda.

– Prawda.

– Przestań.

Charlie wsunął stopę w but i zawiązał sznurowadło. Z jednej strony nie chciał zostawiać brata, z drugiej – był już zmęczony rutyną.

Oczy Sama zrobiły się nagle wielkie jak spodki.

– Chwila! Moment! Wiem! Umówiłeś się z jakąś dziewczyną! Idziesz na randkę!

– Co ty wygadujesz...

– Nie kłam i tak wiem! – zaśmiał się brat. – Gadaj! Mów prawdę, samą prawdę i tylko prawdę. Wszelkie próby oporu są bezcelowe. Jak ona ma na imię?

Charlie włożył but na drugą nogę, postanawiając wypróbować taktykę uniku.

– Przyszła mi do głowy solidna kandydatura do naszej listy najlepszych graczy Red Sox wszech czasów – powiedział. – Luis Tiant. Co o nim sądzisz? Moim zdaniem powinien się znaleźć w naszym rankingu najlepszych. Jest tak samo wielki jak Boggs, Yastrzemski, Garcipara, Young...

– Dobra, dobra, nie zmieniaj tematu – przerwał Sam. – I tak nie dam się nabrać. – Pokazał wszystkie zęby w szerokim uśmiechu. – No, wykrztuś wreszcie, jak ona się nazywa?

– Zejdź ze mnie.

Każdy dwunastolatek potrafi się czegoś ucześcić jak rzep psiego ogona. Sam St. Cloud nie stanowił wyjątku.

– Ooo, sprawa jest poważniejsza, skoro nie chcesz mówić.

Charlie dokonał szybkiego rachunku sumienia. Doskonale wiedział, jak przebiegają tego typu rozmowy, i doszedł do wniosku, że szybciej będzie, jeśli potulnie podda się krzyżowemu ogniowi pytań.

– Na imię jej Tess – powiedział.

– Po prostu Tess?

– Tess Carroll.

– I co dalej?

– Ma firmę produkującą żagle. Jej ojciec zmarł dwa lata temu na atak serca.

Sam usiadł obok Charliego na pniu i podniósł na brata zaciekawione spojrzenie.

– Lubi Red Sox?

– Jeszcze nie wiem.

– Co jest grane? Czego się boisz?

– Nie boję się. – Jeszcze jedno kłamstwo. W rzeczywistości był przerażony.

Młodszy brat uśmiechnął się i naciągnął koszulkę.

– Jeśli chcesz, mogę zrobić małe rozeznanie. Sprawdzić, czy ma chłopaka...

– Margie Cartwright twierdzi, że nie.

– No to jak ci pomóc?

– Trzymaj się na dystans – oznajmił Charlie poważnym tonem.

– E, no coś ty, chyba należy mi się trochę rozrywki? Mógłbym sobie poprzenikać przez jej bieliznę...

– Nie, Sam. Żadnych rajdów po bieliźnie. – Spojrzał na zegarek. – Późno już. Czas na mnie.

– Wstał. – Pamiętaj, żadnych wygłupów. Trzymaj się z daleka od Tess i nie zbliżaj się dzisiaj do chatki.

– Braciszku, wyluzuj, strasznie jesteś spięty! – zawołał Sam, sięgając po linę. Stał na węźle. – Obiecuję, że nie nawiedzę dziś twojego domu i nie będę się przed nią płaszczyl.

– Taaa, płaszczenie się to twoja specjalność.

– Człowiek się płaszczy, jak go walec przejedzie! – Sam roześmiał się głośno. – Popchnij mnie.

Charlie spełnił jego prośbę i Sam pofrunął nad sadzawką. Kilka razy bujnął się tam i z powrotem, nabrał prędkości, aż wreszcie w najwyższym punkcie puścił sznur.

– Trzymaj się, cześć!

I zniknął. W Lesie Cieni zostało tylko gasnące światło dnia i szum wiatru.

Czternaście

Tink pochłoniął już półlitrowe opakowanie lodów czekoladowych i był w połowie solidnej kanapki z potrójną kiełbasą podsuszaną, żółtym serem oraz sałatką coleslaw. Obok niego stała ogromna butla dietetycznego napoju Dr Pepper – takie właśnie ustępstwo czynił na rzecz dbania o wagę. Siedział na ławce w parku. Nieopodal, na trawie, Bobo pogryzał psie chrupki prosto z opakowania.

Przyszli tutaj, na urwisko nad przystanią, o zmroku. Godzinę wcześniej Tink zajrzał na Lookout Court, do domu Tess, sprawdzić, czy wszystko w porządku. Wszedł normalnie, frontowymi drzwiami, które nigdy nie były zamykane, i znalazł się w normalnym w tym miejscu bałaganie. Buty do biegania, oblepione błotem, walały się na podłodze w salonie, z klamki na drzwiach kuchennych zwisał sportowy stanik, ze zlewu sterczał stos brudnych talerzy i garnków, a Bobo piszczał, żeby go wypuścić.

Wobec czego Tink, jak zwykle, zabrał retrievera do parku. Tak właśnie wyglądała ostatnio romantyczna strona jego życia. Chodził z kolegami na rozgrywki drużyn gimnazjalnych, oglądał filmy w Liberty Tree Mail w Danvers i spędzał długie wieczory na stołku w pubie Maddie's. Zwykle w towarzystwie starego, kochanego Bobo.

Zapadała sobotnia noc, a Tink znowu nie miał nic specjalnego do roboty. W niektóre weekendy udawało mu się zjeść kolację w towarzystwie Tess: wpadał do niej, głośno wołając, że umiera z głodu, a wtedy – jeśli w ogóle była w domu – zwykle zapraszała go do środka, razem przyrządzali coś do jedzenia, pożyczali film ze Steve'em McQueenem i oglądali razem, siedząc na pokrytej psią sierścią kanapie. Oczywiście Tess w kuchni zawsze okazywała się kompletnie beznadziejna, wszystko przypalała i nie było z niej żadnego pożytku, ale dla Tinka nie miało to najmniejszego znaczenia. Po prostu lubił być blisko tej dziewczyny.

W pewnym stopniu traktował Tess jak młodszą siostrę. Bezdyskusyjnie potrzebowała starszego brata, który by jej pomógł od czasu do czasu. Choć inteligentna i silniejsza od niejednego żeglarza, po śmierci ojca straciła oparcie, więc Tink starał się wypełnić tę lukę.

Szczerze mówiąc, od pierwszego spotkania, od chwili gdy się poznali na wystawie rolniczej Topsfield Fair, wiedział, że się w niej zadurzył. Wtedy, cztery lata temu, jeszcze nim wyskoczył ze swoimi genialnymi uwagami na temat tamtej anorektycznej suki, był miejscowym idolem, znanym z ekranu prezenterem pogody i zgodził się pomagać w zbiórce pieniędzy na Jimmy Fund – organizację wspierającą poszukiwania leku na raka. Tkwił na chwiejnym siedzisku nad niewielkim przenośnym basenem, a zwiedzający usiłovali trafić piłkami w tarczę, by go skąpać, zwalniając trzy zapadki. W pewnym momencie zjawiała się olśniewająca młoda kobieta z długimi ciemnymi włosami – i trzema celnymi rzutami załatwiła sprawę – Tink z głośnym chlupotem wylądował w wodzie. Susząc się, powziął niezłomne postanowienie, że pozna bliżej tę dziewczynę o sokolim wzroku i niespodziewanie silnym ramieniu.

Potem Tess napisała do stacji telewizyjnej w jego obronie i wkrótce zostali przyjaciółmi, a Tink podjął pracę w jej firmie. Bezustannie tłumił w sobie uczucie, a jednocześnie żył nadzieją, iż zostanie odwzajemnione. Nawet podjął próbę zrzucenia kilku kilogramów, odstawił swoje ukochane lody, ale w końcu doszedł do słusznego wniosku, że to nie jego brzuchal stanowi prawdziwą przeszkodę. W sprawach damsko-męskich Tess była jedną wielką, niezgłębianą tajemnicą. W żaden sposób nie dawała się złowić. Wolność ceniła sobie ponad wszystko, wobec czego Tink musiał żyć marzeniami.

Bobo zerknął łakomie na kanapkę, więc Tink wyciągnął z niej plaster kiełbasy i rzucił psu.

– Co to się będzie dzisiaj działo, stary. Tess na pewno ma co robić.

Pies szczeknął krótko w odpowiedzi.

– Jasne.

Z niekłamaną przykrością myślał o nadchodzących miesiącach, gdy dziewczyna wyruszy w rejs dookoła świata.

– Czas wracać, staruszk. – Wstał, otarł z brody musztardę i wsunął flanelową koszulę głębiej w spodnie. Wziął psa na smycz, wrzucił śmiecie do kosza i wolno ruszyli Darling Street. W oddali widział światła wieczornego strumienia samochodów jadących po Washington. Skierował się w stronę Abbot Hall, wyszedł na plac i ujrzał piękną kobietę, siedzącą na stopniach przed typowym dla Nowej Anglii budynkiem o białoniebieskich ścianach, ze spadzistym dachem.

La-Dee-Da Channing piłowała paznokcie, zatopiona w lekturze magazynu „InStyle”. Na głowie miała fantazyjną zieloną chustkę, a na nosie, mimo zapadającego mroku, okulary w stylu Jackie Onassis. Była ambitną aktorką i nawet do pracy w biurze kapitanatu portu ubierała się jak na plan filmowy w Tinseltown.

– Dobry wieczór – przywitał ją Tink.

Nawet nie podniosła wzroku.

– Brad i Jennifer ćwiczą razem bikram-jogę – oznajmiła.

– Kto?

– Brad Pitt i Jennifer Aniston. Wszystkie gwiazdy ekranu ćwiczą jogę w saunie.

– Jogging już się przeżył?

Podniosła oczy i spojrzała na jego brzuch.

– Ty mi to powiedz.

– Och... – jęknął Tink, poklepując się po wydatnym mięśniu piwnym.

– Świetnie wyglądasz – zauważyła La. – Świeżutki, wykąpany...

– Dzięki. – Mało nie pękł z dumy. – Wszyscy się kąpią w sobotę.

– Ty nie masz tego zwyczaju – zaśmiała się głośno. – Bobo! – schyliła się i podrapała psa za uszami. – Dobry piesek.

– Idziesz później do Maddie's?

– A stawiasz?

– La, dla ciebie wszystko.

– Ooo! No, no, no! – Zsunęła okulary na czubek nosa i posłała mu powłóczyście spojrzenie.

Ale gdy już sądził, że wieczór będzie stracony, pojawiła się iskierka nadziei. – Do zobaczenia w Maddie's – powiedziała.

– Możemy potem spróbować tego twojego jogurtu – dodał, pociągając smycz.

– Jogi, nie jogurtu!

– Ja będę Bobem, a ty Jennifer.

– Bradem! – roześmiała się. – I zalecam ostrożność, bo możesz sobie zrobić krzywdę.

– Nie ma mowy. Nawet sobie nie wyobrażasz, do czego jestem zdolny – oświadczył. – Zobaczysz, nie pozbierasz się.

Piętnaście

Tess była nieco bardziej niż lekko wstawiona, ale dała się namówić na jeszcze jedno piwo. Odzyskała apetyt, w dodatku alkohol wyraźnie stłumił koszmarny ból głowy. Jeszcze miała miękkie nogi po sztormie, ale czuła się z każdą chwilą coraz lepiej, ponieważ Charlie okazał się doskonałym towarzyszem. Miecznik z grilla, z pomidorami i kaparami, smakował wybornie, sałatka z buraczków i pomarańczy okazała się wręcz niebiańska. W żołądku stanowczo nie zostało już miejsca na deser. Nie szkodzi, i tak jakoś go wepchnie.

Siedzieli przy niewielkim okrągłym stoliku w końcu pokoju. Światła były przygaszone, w kominku strzelały polana, twarz Charliego rozjaśniały w półmroku płomyki dwóch świec. Opowiadał o pochodzeniu swojego nazwiska, które wywodziło się od miasteczka St. Cloud nad rzeką Missisipi, w stanie Minnesota, gdzie urodziła się jego matka i skąd przy pierwszej sposobności uciekła. Protoplasta rodu był szesnastowiecznym francuskim księciem, który wyrzekł się świata i postanowił służyć Bogu, gdy źle usposobiony wujaszek zgładził mu dwóch braci. Tess z ogromną przyjemnością słuchała głębokich, męskich tonów w głosie Charliego, zachwycając się przy tym ruchami jego ust. W pewnej chwili Charlie zmienił temat i zaczął opowiadać o chmurach. Rozróżniamy ich dziewięć typów, a każdy definiowany jest zależnie od wyglądu oraz piętra występowania. Sypał niesamowitymi informacjami jak z rękawa, jedna gonila drugą, co powodowało najbardziej niespodziewane przeskoki z tematu na temat. A ona sączyła piwo, patrzyła mu w oczy, słuchała z rozkoszą i czuła, jak mięknie.

Nie znosiła facetów, którzy wyciągali ją na randki do ekskluzywnych bostońskich restauracji, z obsługą parkującą samochód. Zamawiali kosztowne wina i białe trufle, a potem przechwalali się bez końca, mając nadzieję w ten sposób zaciągnąć ją do łóżka. Wszyscy byli nieszczerzy i potwornie nudni.

Charlie – nie. On przywodził na myśl rzadkie, egzotyczne stworzenie, znacznie delikatniejszy, bardziej wyszukany gatunek niż osobniki, w których towarzystwie wyrastała. Na dodatek wieczór upływał w zdumiewająco niewymuszonej atmosferze. Przede wszystkim, nigdzie nie widać było książki kucharskiej, z czego wynikało, że gospodarz dokonał wszystkiego o własnych siłach: smażył, polewał, zapalał i wykonał mnóstwo innych, wręcz niewyobrażalnych czynności, o których ona nie miała bladego pojęcia. Najbardziej jednak ujęło ją coś innego, nie jego talenty kulinarne ani interesujące opowieści o chmurach. Niesamowite, ale ten facet potrafił słuchać. Zdawało się, że chłonie każde jej słowo, a ponieważ tego wieczoru, w jego towarzystwie, czuła się wyjątkowo swobodnie, słów padło wiele.

– Podoba mi się nazwa twojej łodzi – powiedział. – „Querencia”.

– Znasz hiszpański?

– Nie, ale wpadła mi kiedyś w ręce książka o walkach byków. *Querencia* to miejsce na arenie, gdzie byk może się czuć bezpiecznie, prawda?

– Zgadza się – przyznała. – Czasem jest to w pełnym słońcu, innym razem w cieniu. Tam byk odpoczywa między walkami. Jakby niewidzialna forteca, jedyna bezpieczna ostoja.

– Zupełnie jak twoja łódź.

– I jak Marblehead.

Wkrótce Tess zdała sobie sprawę, że chce mu o sobie wszystko opowiedzieć. O tym, jak złamała rękę, jadąc rowerem po Causeway, gdy miała jedenaście lat, i jak Willy Grace, jej pierwszy chłopak, podstępem zaciągnął ją na wieczorny piknik na Brown's Island, a miał tam zamiar nie tylko obserwować gwiazdy, że zawsze tańczy wolno szybszy fragment „Starway to Heaven”... I mówiła mu też o ojcu, który – nie wiedzieć czemu – tej nocy wydawał się jakoś

bliżej niż zwykle.

Tak, Tess czuła się związana z Charliem, a było to wrażenie jednocześnie wspaniałe i budzące lęk. Zdawała sobie sprawę, że z każdą mijającą chwilą coraz bardziej traci spokój i opanowanie, ale też wcale jej to nie przeszkadzało. Jakby wciągał ją delikatny prąd wsteczny od odbitej fali. Tak czy inaczej, za niecały tydzień wyjeżdża, więc żaden świetnie słuchający przystojniak z talentami kulinarnymi jej nie zagrażał.

– Chcesz deser? – spytał zniecierpliwiony.

– Czyja wyglądam na osobę, która odmawia sobie deserów?

– Już podaję – zameldował, wstając.

– Oby był dobry! – Rozsiadła się wygodniej i z przyjemnością obserwowała, jak Charlie idzie do kuchni. Miał na sobie dżinsy Levisa „501”, a pod swetrem wyraźnie rysował się biceps i triceps. – Na pewno nie potrzebujesz pomocy? Czuję się jak ostatni leniwiec.

– No to przydad się do czegoś i zmien płytę.

– Jakież konkretne życzenia?

– Nie, przetestuję cię.

Rozejrzała się w poszukiwaniu sprzętu grającego. W pokoju było cudownie mroczno i ciepło. Przez całą długość sufitu biegły surowe ociosane belki, na ścianach tu i ówdzie wisiały oprawione mapy oraz czarno-białe zdjęcia. Za to książki były wszędzie: upchnięte na półkach, poukładane na podłodze, wznoszące się w chwiejnych stertach na meblach z drewna i skóry. Dom miał charakter sekretnej kryjówki, tak przytulnej i bezpiecznej, że nie chciało się jej opuszczać.

Na stojaku w kącie znalazła sprzęt stereo, z którego sączył się blues, jakaś znajoma melodia grana na gitarze, może Muddy Waters? Nie, Muddy byłby tutaj zbyt oczywisty. Na pewno Charlie wybrał coś specjalnego, coś szczególnego na ich wspólny wieczór, nawet jeśli ona nie miała dostatecznego wyrobienia, by rozpoznać utwór.

Przeglądając zbiór kompaktów, poczuła się trochę jak na egzaminie. Co będzie, jeśli wybierze coś, co jemu się nie spodoba? Przesunęła kciukiem po kilku płytach – wszystko najnowsze krążki: „Cornershop”, „Wiko”, „Magnetic Fields”. A także „Jayhawks”. Wsunęła w odtwarzacz „Hollywood Town Hall”. Kapela z Minnesoty wydawała się jak najbardziej na miejscu: niezbyt hałaśliwa, z paroma spokojnymi balladami.

– Nieźle. Możesz zostać – ocenił Charlie, wychodząc z kuchni. Niósł torcik czekoladowy ze świeczką.

– O! A co to za okazja? – spytała Tess.

– Twoje urodziny.

– Urodziny mam w lutym.

– Wrzesień, luty, niewielka różnica. Uznałem, że należy świętować wcześniej, bo potem cię nie będzie. – Podsunął jej tort pod nos, żeby zdmuchnęła świeczkę.

W tamtej chwili Tess omal się nie rozplynęła. Tylko jakaś ostatnia, drobna cząstka świadomości kazała jej wziąć się w garść, zachować ostrożność. Oszacowała Charliego starannie i na chłodno. Stał oto tuż przed nią, nieziemsko przystojny i wysoki, w oczach błyszczał mu płomień świecy, na policzku rysował się dołek, a tort czekoladowy wyglądał w jego ogromnych dłoniach jak miniaturowa.

– Na co czekasz? – spytał. – Pomyśl życzenie i dmuchaj!

W życiu nie spotkała kogoś tak miłego. Nabrała powietrza, życzyła sobie, żeby był tak doskonały, jak się wydawał, i już miała dmuchnąć, gdy Charlie zaśmiał się głośno.

– Uwierzyłeś mi, co?

– Tak! – Tess nie mogła powstrzymać chichotu. – Teraz już powiedz prawdę: z jakiej okazji

ten tort?

– Dzisiaj przypada rocznica dnia, kiedy Ted Williams odbił piłkę na czterysta sześć stóp.

– Nabijasz się ze mnie.

– Wcale nie – zapewnił Charlie, odstawiając tort. – W tysiąc dziewięćset czterdziestym pierwszym Teddy Ballgame brał udział w dwóch meczach rozgrywanych przez Red Sox tego samego dnia z tym samym przeciwnikiem i zdobył sześć z ośmiu punktów. A miał wtedy dopiero dwadzieścia trzy lata.

– Oooo nie... – jęknęła Tess. – Wielbiciel baseballu!

– A ty?

– Nienawidzę tego sportu. Nudy na pudy! Nazywam baseball nudawką. Jak można przez dziewięć zmian stać na boisku prawie bez ruchu? Mnie bardziej pasuje futbol, kocham drużynę Patriots.

– Naprawdę? – Charlie nie wydawał się przekonany. – Nie wiedziałem, że podobają ci się faceci bez szyi.

– Tak! Bardzo! A w dodatku im bardziej owłosieni, tym lepsi!

Ta chwila zdecydowała, że Tess poczuła ulgę. Na nieskazitelnym kryształce pojawiła się rysa. Nie we wszystkim się zgadzali, całe szczęście! Futbol kontra baseball! Trywialna sprawa, ale to nieważne. Raptem uświadomiła sobie, że rozpatruje nową znajomość z bardzo niecodziennego punktu widzenia. Zwykle niespecjalnie ją obchodziły zainteresowania facetów, z którymi się spotykała. Tym razem zaczynała żałować, że od śmierci ojca nie śledziła postępów drużyny Red Sox.

Charlie podał jej kawałek tortu. Wsunęła do ust spory kęs, zamknęła oczy i w milczeniu rozkoszowała się słodyczą.

– Smakuje ci? – zapytał. – Robiłem go w pośpiechu, więc nie wspiąłem się na szczyty swoich możliwości.

– Ujdzie w tłoku – odparła. Gryzła czekoladową polewę i rozgryzała Charliego – z jednakową przyjemnością. Uśmiechnęła się rozanielona. – Szczerze mówiąc, jest wspaniały. Jak cały dzisiejszy wieczór. – Zbyt późno ugryzła się w język, wcale nie chciała tego powiedzieć. Za dużo piwa.

– Lubisz gotować?

– Nie. Lubię jeść. – Włożyła do ust następny kęs. – Potrafię zrobić galaretkę i pyszne hamburgery z serem, ale poza tym nie ma ze mnie w kuchni specjalnego pożytku. – Trzecia łyżeczka tortu. – W samotnym rejsie najgorsze jest właśnie jedzenie. Przez cały czas tylko mrożone i suszone gotowce. – Czwarty kęs.

– Wyhamuj odrobinę! – Charlie był wyraźnie zaniepokojony. – Zrobiłem tylko jeden tort.

Tess pokazała wszystkie zęby w szerokim uśmiechu. Ciekawe, dlaczego nawet deser smakował dzisiaj wyjątkowo? Może przez Charliego, faceta, dzięki któremu zyskiwało nawet jedzenie.

– Kto cię nauczył gotować? – spytała. – Mama? – Pytanie miało swój sens: jeśli Charlie okaże się maminsynkiem, straci w jej oczach jeszcze odrobinę.

– Aha – przyznał bez wahania. – Zadzwoń do Oregonu i poproszę, żeby mi podsunęła jakiś pomysł. Wyobraź sobie, była przerażona, że na pierwszą randkę zaprosiłem cię do domu, a nie do restauracji. Uznała to za wielki błąd i odłożyła słuchawkę przekonana, że cię otruję. – Mrugnął porozumiewawczo. – Na szczęście nie zawsze stosuję się do jej rad.

– Za wcześnie na samozachwyty. Mam wrażenie, że coś mi jeździ w żołądku.

– Podobno na kłopoty trawienne najlepszy jest alkohol. Chcesz jeszcze piwa?

– Zamierzasz mnie upić?

– Jak najbardziej – przyznał od razu i zniknął w kuchni.

– Potrafię wypić i zjeść więcej niż ty – oznajmiła chełpliwie. Właśnie zdał kolejny egzamin. Nie wstydził się bliskich kontaktów z matką, ale też najwyraźniej potrafił utrzymać zdrowy dystans, a taki układ musiał być wyjątkowo trudny po tamtej fatalnej w skutkach eskapadzie samochodowej. – Co twoja mama robi w Oregonie?

– Przeprowadziła się zaraz po wypadku – odpowiedział Charlie z kuchni. – Chciała uciec od wspomnień. Wyszła za mąż, przy okazji została macochą.

– Zostawiła cię, ot tak, po prostu?

– Nie, nie. To ja nie chciałem jechać. Do pełnoletności mieszkałem z Ingallsami, później od razu poszedłem na swoje.

Tess wstała od stołu i przeszła w ciemny kąt pokoju, gdzie na ścianie wisały mapy. Włączyła lampę. Na kartach przypiętych pinezkami widniały drogi wschodniego wybrzeża. Na każdej z nich uwagę przyciągały starannie wyrysowane intrygujące koncentryczne kręgi. Centrum wszystkich stanowiło Marblehead, krawędzie sięgały aż do Nowego Jorku, a nawet Kanady. Przy mapach były rozpięte tabele z dokładnym czasem wschodu i zachodu słońca na każdy dzień miesiąca.

– O co w tym chodzi? – spytała Charliego, gdy wrócił z kuchni. – Widać od razu, że ważna jest odległość, ale nic z tego nie rozumiem.

– To taki projekt. – Nie rozwinął tematu. Podał jej piwo i poszedł na drugi koniec pokoju. – Opowiedz mi o swoim rejsie.

– Co na przykład?

– Na początek, jaką masz trasę.

– Startuję w piątek z Boston Harbor, płynę na południe, na Karaiby, potem przez Kanał Panamski.

– Pokaż mi to. – Podszedł do wielkiej bardzo starej mapy, oprawionej w ramy i chronionej szkłem. Tess posłusznie ruszyła za nim. Zrobiło jej się ciepło, ściągnęła więc przez głowę koszulę i rzuciła ją na kanapę. Pod spodem miała białą bluzkę bez rękawów; gdy poprawiała przesunięte ramiączka stanika, Charlie nie mógł oderwać wzroku od jej dłoni. Jeszcze kilka kroków i ona także stanęła przed mapą. – Utykasz – powiedział.

Zgrabna wolta, dobra przykrywka, świetne odwrócenie uwagi.

– Pamiątka po ostatniej wycieczce.

– Siniaki na ramionach też?

– Tak, trochę mnie poobijało.

Stali jedno tuż obok drugiego, a Tess objaśniała swoją trasę przez Pacyfik. Czowała oddech Charliego na szyi. Wymieniła odległe przystanki: Markizy, archipelag Tuamotu, Tongę – jedyną monarchię na Oceanie Spokojnym i wreszcie Fidzi. Gdy pokazywała, jak mijając Australię od północy, dopłynie przez Ocean Indyjski do Durbanu, okrąży Przylądek Dobrej Nadziei na południowym Atlantyku i stamtąd już prostą drogą, pchana przyjaznym wiatrem wróci do domu, Charlie przysunął się, by lepiej widzieć, i otarł się o nią lekko.

– Masz przed sobą długą drogę – zauważył. – Ja bym się chyba na to nie zdobył.

– Po prostu jesteś mądrzejszy.

Patrzyli razem na cały świat, który miała opłynąć. Tess potarła szczególnie bolesny siniak na ramieniu i odwróciła się do Charliego. Zajrzała mu w karmelowe oczy.

– A ty dokąd chciałbyś się wybrać, Chas? – Całkiem nieumyślnie użyła tego zdrobnienia. Jakoś tak jej się wymknęło, ale brzmiało bardzo ładnie.

– Marzą mi się Zanzibar, Tasmania, Galapagos... Cały świat. i – Dlaczego tkwisz w miejscu? Wsunął ręce w kieszenie i westchnął ciężko.

- Za dużo mam tu obowiązków.
- Sama harowa, żadnej rozrywki?

Nie odpowiedział. Po raz pierwszy tego wieczoru wkradło się między nich przykre milczenie. Za ciepłym przymrużeniem oka kryła się jakaś tajemnica. A reakcja Tess okazała się tak zdumiewająca dla niej samej, że aż radosna: zamiast bezlitośnie dążyć do poznania jego sekretów, chciała tylko być bliżej.

- No powiedz – przycisnęła go jednak. – Co cię tu trzyma?

Uciekł wzrokiem gdzieś w bok i przywołał na usta czarujący uśmiech, który z pewnością już niejedną raz wybawił go z kłopotów.

- Chodźmy na spacer.

- Teraz? W środku nocy?

– Osoba, która wybiera się w samotny rejs dookoła świata, nie powinna się bać spaceru po cmentarzu nawet w nocy.

Tess nie miała w tej kwestii całkowitej pewności.

- No chodź! – Podał jej koszulę i chwycił dwa płaszcze. – Coś ci pokażę.

Szesnaście

O północy w Waterside między pomnikami snuła się mgła. Księżyc zapadł za chmurami, ze wszystkich stron napierała czarna smolista ciemność. Charlie prowadził. Zapadła absolutna cisza doskonała, nawet odgłos kroków stłumiła murawa. Promień latarki od czasu do czasu wyławiał z mroku nicości marmurowe anioły i granitowe nimfy.

Czas wydawał się przesycony magią, a Charlie był oczarowany. Tess najcudowniej na świecie wytrącała go z równowagi. Oczywiście, z powodu zdenerwowania zbyt długo mówił o korzeniach swojej rodziny. Bez sensu opowiadał o różnicy między nagromadzeniem cirrusów i stratusów. A przecież słuchała go z zainteresowaniem i najwyraźniej czuła się świetnie. Wykańczała kolejne piwa i śmiała się z jego dowcipów.

Od chwili gdy zobaczył ją na West Shore Drive, punktualnie o dwudziestej, tak jak było umówione, starał się zapamiętać każdy, nawet najmniejszy szczegół wieczoru. Jej włosy tańczyły na wietrze, a kiedy wyciągnął rękę na powitanie, zignorowała ją i wspiąwszy się na palce, pocałowała go w policzek.

– Kolacja gotowa? – spytała. – Konam z głodu.

I rzeczywiście, zjadła podwójną porcję każdego dania, co chwila zasypując go pochwałami. Podobało mu się wszystko, co robiła, wyglądało to, jakby nie mogła zaspokoić apetytu na życie, rozkoszując się jego smakiem. Opowiadał jej prawdziwe historie, a nie lukrowane bajeczki, jakimi zwykle częstował dziewczyny na randkach. Zrezygnował ze zwyczajowej wersji prezentowanej całemu światu: jestem młodym człowiekiem, zadowolonym z pracy na cmentarzu, szczęściarzem, któremu nigdy nie postąpiła w głowie myśl, by opuścić Marblehead. Tess wydobyła na światło dzienne prawdziwego Charliego, tęskniącego za wyzwoleniem.

Chciał jej nawet powiedzieć prawdę o mapach, tabelach czasowych i tych koncentrycznych kołach, rządzących każdą jego chwilą. Kręgi wyznaczały ramy jego świata, wskazywały, na ile mógł się oddalić od Waterside, by mimo wszystko stawić się na czas na spotkanie z bratem. Wycieczka na Cape Cod. Przejazdźka do New Hampshire. Zewnętrzny krąg wyznaczał granicę nie do przekroczenia. Spoza tej linii nie zdążyłby do domu na czas. W ten sposób złamałby obietnicę i stracił więź z Samem. Może to nierozsądne zdradzać przed Tess takie sekrety, ale teraz, nocą, czuł się bezpieczniej i gotów był uchylić przed nią rąbka tajemnicy.

– Najpierw mnie upijasz, a potem zmuszasz do forsownego marszu – poskarżyła się, gdy szli na szczyt wzgórza. – Dokąd my się właściwie wybieramy?

– Zaufaj mi, nie pożałujesz.

Księżyc nareszcie wyrzwał zza chmur, muskając srebrem cmentarne pomniki.

– Kiedyś ciągle się włóczyliśmy po cmentarzu – powiedziała Tess. – Za tamtym obeliskiem spotykałam się z pierwszym chłopakiem.

– Kim był ten szczęściarz?

– Tad Baylor. Chyba z twojej klasy.

– Człowiek Mucha? – Tad wszedł w konflikt z prawem, gdy przyłapano go na kradzieży końcowych testów egzaminacyjnych. Przez okno dostał się do pokoju w budynku administracji szkolnej, gdzie je powielano. Wspiął się na czwarte piętro po ścianie. – Masz doskonały gust.

– Miałam czternaście lat! A on świetnie całował.

Gdzieś spośród wierzchołków drzew odezwała się sowa. Noc była rześka i Charlie zapiął płaszcz pod szyją.

– Długo tu pracujesz? – spytała Tess. Mijali właśnie groby z czasów wojny o niepodległość.

– Trzydzieści lat. Zatrudnił mnie Barnaby Sweetland. On siedział tu trzy dekady. Pamiętasz

go? Miał wspaniały głos, prowadził chór w kościele Old North. Tutaj też dzień w dzień wyśpiewywał pod niebiosa przy cięciu, zamiataniu, sadzeniu... – Przykleknął obok grobu i skierował w dół światło latarki. – Od niego nauczyłem się wszystkiego, co wiem o pracy na cmentarzu. – Wziął w rękę grudkę wilgotnej ziemi. – Na pewno znasz ten zapach. Niepowtarzalna woń ziemi po deszczu. To związki karbonylowe tak pachną, geosmin. Barnaby nauczył mnie nazw chemicznych.

– Jeszcze chwila i się zakocham – zachichotała Tess.

Charlie także się uśmiechnął. W głowie miał pełno najróżniejszych ponurych informacji, a nagle zaczęła w niej kielkować dziwna myśl: czyżby dziewczyna, która wyruszała na podbój świata, naprawdę mogła się zakochać w facecie mieszkającym na cmentarzu i opowiadającym, czym pachnie ziemia i trawa?

– Chodź. – Pociągnął ją w noc.

– I co się stało z Barnabym? – spytała Tess.

– Którejś zimy wybrał się na spacer podczas sztormu i już nie wrócił. Znalazłem jego ciało na Wzgórzu Pamięci. – Wycelował promień latarki w ciemność. – Miał przy sobie śpiewnik. Napisał w nim, że jest już cholernie zmęczony pracą. Po siedemdziesięciu dwóch latach na ziemi gotów był przejść do innego świata.

– To znaczy, że się zabił?

– Nie przypuszczam. Po prostu chciał spędzić resztę wieczności, śpiewając. Obiecał mi, że zawsze go spotkam w chóralnych pieśniach i melodii niedzielnych organów.

– Miał rację? Rzeczywiście go słyszysz?

– Tak – przyznał Charlie. – Jeśli się człowiek postara, słyszy go w muzyce.

Dotarli pod dwie płaczące wierzbę pochylone nad niewielką kamienną budowlą. Wejścia strzegły dwie kolumny oraz para skrzyżowanych kijów baseballowych. Tess weszła od razu na schody prowadzące do drzwi. Charlie oświetlił nazwisko St. Cloud wyryte na nadprożu.

– Grób twojego brata – powiedziała dziewczyna.

– Miał na imię Sam. – Charlie powoli wyłuskiwał z mroku surowe kontury budowli. – Żartował sobie, że mauzoleum to rodzaj wykładziny podłogowej używanej w kryptach.

Tess uśmiechnęła się, pogładziła gładki kamień.

– To marmur?

– Sprowadzony z Carrary. Nikt się nie liczył z kosztami. Kierowca ciężarówki, który w nas uderzył, okazał się kompletnie zalany, więc jego firma gotowa była zapłacić każde pieniądze. Byle zachować nieskazitelny wizerunek. – Zsunął światło po kolumnie. – Facet dostał pięć lat, ale wyszedł po trzech za dobre zachowanie. Teraz pewnie siedzi w jakimś barze i tankuje.

– Tak mi przykro...

– Nie, to nie tak – pokręcił głową. – To była moja wina. Gdybym nie zabrał Sama do Fenway, w ogóle by nas nie było na tym moście. Gdybym uważał, jak prowadzę, udałoby mi się ominąć ciężarówkę, jakoś zjechać z drogi...

Nie wiedząc, jak i kiedy, złamał jedną ze swoich podstawowych zasad: zaczął mówić o Samie. Zawsze dotąd unikał tego tematu, ponieważ rozmowa o wypadku wprawiała ludzi w zakłopotanie. Tymczasem z Tess było zupełnie inaczej. Od pierwszej chwili wiedział, że ona to zrozumie.

Usiadł na stopniach mauzoleum.

– Rozszyfrowałaś mnie. Zostałem tutaj ze względu na Sama. Obiecałem, że będę się nim opiekował.

– Uważasz, że on gdzieś tutaj jest?

– Mam absolutną pewność.

– Chciałabym móc z równym przekonaniem powiedzieć coś o ojcu. – Usiadła obok Charliego. Czuł jej ciepło i zapach szamponu. – Chciałabym wiedzieć, że jest blisko.

– A skąd wiesz, że tak nie jest? – spytał Charlie.

– Chyba dałby mi jakiś znak?

– Jeśli człowiek umie patrzeć, znajdzie takich znaków mnóstwo, wszędzie dookoła.

Bezwiednie poruszył latarką i przypadkiem wydobył z ciemności niespodziewany widok: oto na najniższej gałęzi świerku wisiał zaczepiony nogami Sam, strojąc miny. Charlie skoczył na równe nogi i zgasił latarkę.

– Co się stało? – zapytała Tess.

– Nic. Chłodno się zrobiło. – Ponownie włączył światło, kierując strumień blasku na gałąź, ale chłopca już tam nie było.

– Mówiłeś o Samie – przypomniała Tess. Charlie zajął w jej szmaragdowe oczy: rzeczywiście chciała o tym słuchać? Właśnie miał się odezwać, gdy kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Za plecami Tess, w świetle wyglądającego zza chmur księżycy, Sam ścigał się z Oscarem. – Kiedy ci go brakuje najbardziej?

– Z największą przyjemnością wspominam, jak od czasu do czasu dostawał w skórę, jeśli zachowywał się jak ostatni idiota – oznajmił dość głośno, z nadzieją, że brat go usłyszy. – Zawsze go było pełno tam, gdzie nie trzeba, i oczywiście w najmniej odpowiednich momentach. – Badawczym spojrzeniem obrzucił trawnik za ramieniem Tess, ale nie dostrzegł nikogo. – A najbardziej brakuje mi tego cudownego uczucia tuż po przebudzeniu, kiedy człowiek ma przekonanie, że wszystko jest w najlepszym porządku. Wiesz, takie wrażenie, że życie jest kompletne, masz wszystko, co ci potrzebne, do niczego nie tęsknisz. Czasami, ledwo otworzę oczy, przez chwilę właśnie tak się czuję. Tylko kilka sekund, bo potem zaraz przypomina mi się, co się stało, a od tamtej pory już nic nie jest takie jak przedtem.

– Czy to się kiedyś zmieni?

– Wątpię. – Ku własnemu bezgranicznemu zdumieniu otworzył się jeszcze bardziej. – Bywają dni lepsze i gorsze. Niekiedy po pracy idę coś zjeść do Barnacle albo pograć w bilard w Bay State Billiards i wydaje mi się, że całe zło minęło, że jestem taki sam jak wszyscy. Ale smutek zawsze wraca i potrafi znienacka zawładnąć myślami. Wtedy nie czuję się dobrze między ludźmi. Dlatego wolę być tutaj, na cmentarzu. Słucham muzyki, rozmyślam, dużo czytam. Nigdy nie wiem, kiedy mi się przytrafi kolejna zmiana nastroju. To zupełnie jak z pogodą: dzisiaj piękne słońce, a jutro burza z piorunami.

– Ze mną jest tak samo – przyznała Tess szeptem. – Ale... wiesz co, to dziwne... dzisiaj po raz pierwszy od dwóch lat nie tęskniłam za nim aż tak boleśnie... – Uśmiechnęła się, a potem uczyniła gest całkowicie niespodziewany: ścisnęła Charliego za rękę.

Gdzieś za jej plecami strzeliła złamana gałązka. Dziewczyna obróciła się zaskoczona. Wtedy na jej ramię spadła garść suchych igieł.

– Co to było? – spytała Tess, uniósłszy brwi.

Charlie zaśmiał się głośno.

– I tak byś nie uwierzyła.

– Skąd wiesz?

– Może twój ojciec?

Sceptycznie wykrzywiła usta.

– Gdyby tu był mój tata, nie bawiłby się ze mną w kotka i myszkę. Dałby mi jakiś oczywisty znak. – Teraz i ona wstała ze schodów. – Powiedz mi szczerze, naprawdę wierzysz w takie rzeczy?

– Jak najbardziej. Otarłem się o niejedno zdarzenie, które trudno wytłumaczyć.

Tess zachichotała.

– Jak na przykład gałązki spadające z drzewa?

– Nie – odparł. – Jak spotkanie z tobą. Jak dzisiejsza kolacja.

Przyglądała mu się dłuższą chwilę ze wzruszeniem. I nagle zmieniła temat.

– Powiedz mi, Charlie, czy widziałeś kiedyś ducha?

Akurat kiedy pytała, Sam przycupnął za nią na dachu mauzoleum. Wetknął palce wskazujące w kąciaki ust i rozciągnął wargi na boki. Zirytowany Charlie wiedział, że nie może odpowiedzieć na to pytanie. I tak już zdradził dziś bardzo dużo, zaczynali wkraczać na grząski teren. Nie chciał kłamać, ale nie chciał też wystraszyć dziewczyny, toteż wybrał najbezpieczniejszy sposób.

– Niedaleko zatoki Lovis Cove słyszałem jęki Lamentującej Damy.

– Poważnie? Tej, którą zabili piraci?

– Tak.

– Uważasz – podjęła Tess po chwili przerwy – że twój brat i mój tata gdzieś tutaj są, prawda?

– Możliwe. – Charlie rozejrzał się; młodszy brat wystawił właśnie głowę zza nagrobka. – Moim zdaniem duchy nie zostają tutaj długo. Chyba że bardzo tego chcą. Twój tata pewnie już dawno przeniósł się do lepszego świata.

– Czyli do nieba?

– Jasne. Albo gdzieś indziej. Nie wiem, co jest dalej, ale śmierć to z pewnością nie koniec. Raczej krok naprzód. Na przykład na księżyc.

– Jak to?

– Trudno to wytłumaczyć... Kiedyś gdzieś przeczytałem, że od początku świata umarło siedemdziesiąt pięć miliardów ludzkich istot... Gdzieś musiały się podziąć ich dusze. – Spojrzał w niebo. – Zawsze mi się przypomina piosenka Johna Lennona: „Wszyscy lśnimy w księżycu, słońcu i gwiazdach”.

Tess milczała dłuższy czas. Wpatrywała się w skrawek czystego nieba między chmurami, gdzie szeroką wstęgą błyszczała Droga Mleczna.

– Podoba mi się takie podejście – przyznała w końcu. – Bardzo mi potrzebna świadomość, że on gdzieś tam jest. Rozumiesz? Ze wszystko u niego w porządku.

– Tak właśnie jest – zapewnił ją Charlie. – Uwierz mi. Nie umiem tego wyjaśnić, ale ja to wiem.

– Masz przeczucie?

– Możesz to nazwać przeczuciem – odrzekł z uśmiechem.

Tess odwróciła się do niego.

– Cieszę się, że mnie tu przyprowadziłeś. Dużo mi to dało.

– Ja też się cieszę.

Stali tak blisko siebie, że Charlie niemal czuł przepływające między nimi iskry elektryczne. Oczywiście słyszał bzdurne historyjki o wrażliwości na pole energetyczne, ale do tej pory traktował je jak bajki. Tymczasem Tess zdecydowanie emanowała energią. Przysunął się odrobinę, obserwując uważnie reakcję dziewczyny, mając nadzieję, że uczyni jakiś zapraszający gest. Wydawać się mogło, że całą wieczność stali połączeni czymś trudnym do zdefiniowania, aż w którymś momencie Tess zerknęła na zegarek.

– Czas na mnie.

W pierwszej chwili Charlie uznał, że poniósł druzgocącą porażkę, ale już w następnej postanowił walczyć. Tess miała za parę dni zniknąć i to na bardzo długo, kto wie, czy jeszcze się kiedykolwiek spotkają. Bez słowa ujął ją za rękę i przyciągnął do siebie. Ku jego zdumieniu, poddała się bez najmniejszego oporu. Charlie pocałował ją delikatnie. Ogarnęło go nieprawdopodobne uczucie. Trwało zaledwie kilka sekund, ale to było właśnie to. Szczęście.

Wypełniły go ciepło i nieopisana błogość.

– Tad Baylor byłby o ciebie zazdrosny – zauważyła Tess, gdy się od siebie odsunęli. Chwyciła latarkę, obróciła się na pięcie i pomaszerowała w stronę żelaznej bramy.

* * *

Wracała do domu opustoszałymi ulicami. Minęła Five Corners, potem Rip Tide Lounge, knajpkę, w której swego czasu pracowała jako kelnerka podczas ferii i wakacji. Po drugiej stronie ulicy dostrzegła krzepkiego mężczyznę, zataczającego się od krawężnika do krawężnika. W ręku trzymał kufel piwa i bezskutecznie starał się nie rozlewać trunku. Tess zwolniła. Minty Weeks, emerytowany rybak, był jednym z największych wielbicieli złotego płynu w okolicy. W czasie wielkiego mrozu, w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym, zyskał sobie przydomek „Miętus”, gdy z obnażonym torsem popisywał się jazdą na łyżwach po zamrzniętych wodach przystani, trzymając w każdej dłoni butelkę wytrawnej miętówki. Gazeta „Marblehead Messenger” w pełnym oburzenia artykule nazwała jego występ najbardziej skandalicznym pogwałceniem zasad moralności publicznej od czasów, gdy aktorka Tallulah Bankhead biegła po mieście zupełnie nago i w efekcie została zamknięta w magazynku policyjnym na komisariacie, ponieważ nie było aresztu dla kobiet.

– Hej, Miętus! – zawołała Tess. – Nie możesz trafić do domu?

Mruknął coś pod nosem i odwrócił się do muru. Wsparł czoło o ścianę, pogmerał przy rozporoku i wreszcie sobie ulżył.

Tess pokręciła głową nad tym wzorowym mieszkańcem Marblehead.

– No to powodzenia – rzuciła na odchodne.

Dziarskim krokiem powędrowała przez Washington i Middle Street, minęła Abbot Hall, gdzie zegar na wieży wybił pierwszą, a potem skręciła w Lookout Court. Jednym susem przeskoczyła trzy schodki prowadzące do zielonego domu w stylu kolonialnym i otworzyła drzwi, zamknięte zawsze tylko na klamkę. Tak to właśnie było w tym miasteczku, gdzie sąsiedzi wzajemnie o sobie dbali. Nikt nie potrzebował zamków ani kłódek.

– Cześć, Bobo! – zawołała. – Gdzie jesteś? – Przez zapomnienie nie zostawiła włączonego światła, aż dziwne, że pies nie czekał na jej powrót przy drzwiach. – Bobo!

Pstryknęła przełącznik lampy w salonie. Retriever leżał na wielkiej kanapie. Łeb ułożył na poduszce i patrzył na Tess, ale ani drgnął.

– Co się dzieje? Już mnie nie kochasz? – spytała. – Na pewno jesteś głodny.

Poszła do kuchni, włączyła kolejne światło i od razu znalazła liścik od Tinka, zostawiony przemyślnie obok tosterka.

Cześć!

Byliśmy z Bobo na spacerze i zjedliśmy jakieś resztki. Kusilo mnie, żeby poprzymierzać Twoje ciuchy, ale, niestety, nie mój rozmiar. Do zobaczyska mańana na kolacji u Twojej mamy.

Ściskam cię

Ja

PS.

Idę dzisiaj ćwiczyć jogę z La Channing! Zajrzyj do mnie, jak wrócisz, sprawdź, czy żyję.

Tess roześmiała się cicho. Przecież Tink od ładnych paru lat na stojąco nie widział własnych palców u nóg! Na dzwonicie do niego było już za późno, więc zajęła się psem. Nasypała mu do miski psich chrupek i postawiła ją na podłodze.

– Chodź, psisko ty moje. Kolację podano.

Bobo miał już dwanaście lat i trochę niedosłyszał, ale nadal był pełen radości życia. Dostała go w prezencie od taty – czekał na nią w wiklinowym koszyku przed drzwiami, gdy wróciła z gimnazjum po pierwszym dniu lekcji. Chłopcy pojawiali się i znikali, niektórzy nawet łamali jej serce, Bobo natomiast zawsze trwał przy niej, nieodmiennie wierny.

Przeszła do salonu.

– Co jest grane?

Pies potrząsnął łbem, mruknął coś rozespany i ukrył nos między przednimi łapami.

– Dobra, jutro z samego rana urządzimy sobie solidną przebieżkę, aż do latarni morskiej. A potem usmażę ci jajecznicę na bekonie. Pasuje?

Bobo prychnął w odpowiedzi.

Na automatycznej sekretarce pulsowała lampka. Jedna wiadomość. Tess wcisnęła klawisz odtwarzania.

– Tessie, to ja – usłyszała głos matki. – Dzwonię tylko, żeby ci przypomnieć o jutrzejszej kolacji. Przyjdź na szóstą. Gdybyś wróciła wcześniej i miała ochotę coś przekąsić w towarzystwie starszych pań, zajrzyj rano do kościoła. Przy okazji pożegnałabyś się ze wszystkimi. – Krótka pauza. – Kocham cię, córeńko.

Tess weszła po skośnych stopniach na piętro.

– Chodź, Bobo! – zawołała. – Idziemy spać.

Włączyła telewizor i przerzuciła od razu na kanał z prognozą pogody. Reporter właśnie kończył opowiadać o szkodach wyrządzonych przez paskudny sztorm. Żywiół uszkodził kilka statków rybackich do połowu tuńczyka, wracających do Gloucester, zatopił holownik gdzieś w pobliżu Providence i gnał w dół, w stronę Delaware oraz Maryland.

– I mnie też mało nie wykończył – mruknęła Tess, kręcąc głową.

Ściągnęła koszulę i bluzkę, zsunęła dżinsy, zdjęła stanik, włożyła ukochaną, kompletnie spraną koszulkę futbolową z numerem jedenaście i nazwiskiem Drew Bledsoe oraz grube wełniane skarpety.

Wskoczyła na łóżko z czterema kolumienkami, przytuliła się do poduszki i zyskała absolutną pewność, że nie zaśnie. Czowała się lekka i pełna energii, mogła fruwać albo przenosić góry. Wszystko z powodu Charliego St. Clouda, przez ten jego niemożliwy pocałunek. Kurczę, za krótko to trwało. Chętnie by jeszcze tak z nim powstała, ale to już zaczynało być niebezpieczne. Nie mogła sobie ufać w podobnych sytuacjach. Jeszcze moment i poszłaby do niego na resztę nocy. Oczywiście nie jest powiedziane, że od razu wyładowałiby w łóżku, nie była przecież łatwą dziewczyną. Ale w zasadzie wszystko inne było możliwe, a nawet bardzo prawdopodobne.

Wobec tego, dlaczego uciekła?

Z nawyku, z przyzwyczajenia, które narodziło się wskutek przykrych doświadczeń i rozczarowań. Nie pamiętała dokładnie, kiedy, ale już jakiś czas temu przestała sobie nawet wyobrażać, że jakiś chłopak naprawdę zwali ją z nóg. Odcięła się od emocji, wyrzuciła je za wysoki mur, gdzie sobie spokojnie usychały. Tak było lepiej. Kiedyś przekonywała siebie, że wśród sześciu miliardów i trzystu milionów ludzi na kuli ziemskiej musi się znaleźć ten jeden mężczyzna, który pokocha ją szczerze i na zawsze. Zamierzała nawet znaleźć go w czasie rejsu. Była to romantyczna idea, ale Tess w głębi serca знаła gorzką prawdę: spędzi na morzu cztery miesiące w samotności, bo przecież ani razu nie przybije do portu na czas tak długi, by się z kimś związać.

Wstała, włożyła obszerny czerwony szlafrok i wyszła na korytarz. Stamtąd wspięła się po drabince do wdowiej chatowni. Była to kwadratowa klatka na szczycie domu, o ścianach ze szkła, dających widok na przystań oraz mrugające światła Bostonu widoczne na południowym

zachodzie. Od setek lat przychodziły tu kobiety czekające na powrót mężczyzn z morza. Tess roześmiała się cicho: uwielbiała stawiać tradycję na głowie. Za jakiś czas jej rodzina i przyjaciele będą się gramolić po wąskiej drabince, by wypatrywać znajomego masztu, gdy nadejdzie czas powrotu „Querencii” z drugiego końca świata. Postawiła świecę na parapecie, skuliła się na siedzisku, owinęła kocem i wsparła głowę o szybę. Jakiś czas obserwowała swój oddech skraplający się na szkle. Tam daleko był cmentarz Waterside. Pierwszy raz w życiu zauważyła niewielkie światełko na czarnym tle lasu. Z pewnością właśnie tam stała chatka Charliego. Dziwne miejsce, jakby zaczarowane, w kokonie smutnego echa dawnych zdarzeń, a przecież tak ciepłe i bezpieczne, pełne książek i map, z muzyką i pysznym jedzeniem.

Tak długo jak mogła, walczyła z własną wyobraźnią, ale w końcu przegrała. Poczula jego dłonie w talii, gdy przytulił ją mocno do siebie i zamknął w uścisku. Tak bardzo chciała go znowu pocałować, że niewiele brakowało, a byłaby zbiegła po schodach, wskoczyła na rower, popędziła przez miasto, przycisnęła brzęczący dzwonek i rzuciła się facetowi na szyję już przy bramie. A potem przyszedł jej do głowy znacznie lepszy pomysł. Zamknęła oczy, by lepiej rozważyć wszelkie możliwości. Do świtu zostało już niewiele czasu, ale włókł się w żółtym tempie. Jutrzejszy dzień będzie niezapomniany.

Siedemnaście

Charlie siedział na nadbrzeżu w zatoczce Waterside. Oparł się o stary drewniany słupek i bez pośpiechu siorbał poranną kawę. Był stanowczo niewyspany; za długo przypominał sobie w nocy każdy szczegół minionych godzin. Miał nadzieję, że Tess także wracała myślami do wspólnych chwil. Dobrze po północy odprowadził ją do wielkiej żelaznej bramy i niechętnie pożegnał.

– Może cię jednak odprowadzę – zaproponował kolejny raz, z nadzieją na pożegnalnego całusa lub może nawet dwa.

– Dzięki, nie trzeba – odparła stanowczo.

– A jak cię jakieś duchy napadną?

– Jestem już duża, a tutaj nie ma takiego idioty, który by chciał ze mną zadzierać.

I zniknęła w ciemnościach.

Po powrocie do chatki niepokojące objawy nie ustąpiły: Charliemu kręciło się w głowie, wargi drżały i ogólnie czuł się dziwnie, więc zamiast wziąć się do sprzątanía, zalecił sobie jeszcze jedno piwo oraz biały soul w wykonaniu Dusty Springfield i poddał się nieprawdopodobnemu uczuciu, które zaczęło go zmieniać od środka, tak jak zmienia się ziemia z nastaniem odwilży. Z wierzchu niby wszystko wygląda tak samo, ale pod warstwą lodu dzieją się niebywałe rzeczy.

Z kubka unosiła się para, ulatująca w niebieskoszary poranek. Charlie słuchał wystrzałów armatnich w klubie jachtowym po drugiej stronie zatoki, oznaczających oficjalne powitanie słońca. Tak zaczynała się większość dni w Marblehead. Kawa na nadbrzeżu. Kilku kapitanów, którzy przywożą najnowsze wieści o tym, gdzie pokazały się rekiny, a gdzie najlepiej brały morskie okonie. Parę zdań z weteranem drugiej wojny światowej na temat przykrego północno-wschodniego wiatru, niosącego ze sobą bóle artretyczne.

A potem praca.

Niedziele były zupełnie inne. Ponieważ nie czekały nań zajęcia na cmentarzu, Charlie miał czas dla siebie. Co prawda otwierał bramę – o ósmej – ale w niedzielę nigdy nie było pogrzebów. Joe przybijał swoją motorówką „Horny Toad” i płynęli na śniadanie do Driftwood. Potem jakiś czas włączyli się ze szczurami portowymi, zabijając czas aż do chwili rozpoczęcia rozgrywek w ramach NFL.

– Uwagaaa!

Charlie obejrzał się w ostatniej chwili, akurat na czas, by zrobić unik przed piłką tenisową, za którą pędził Oscar.

– Cześć, panie bracie! – powitał go Sam, wyłaniając się z mgły. Miał na sobie szarą bluzę bawełnianą z kapturem, spod którego wystawały potargane włosy, opadające na oczy. Wieczorne spotkania były warunkiem podtrzymania więzi łączącej braci, ale młodszy niekiedy zaglądał do startego w dzień, zanim ruszył szukać przygód.

– Dzień dobry – powiedział Charlie.

– No i... ? – Sam z rozmachem usiadł tuż obok niego.

– O co ci chodzi?

– Nie udawaj! Opowiadaj o nocnych rozrywkach!

Oscar złapał piłkę i przyniósł ją, machając radośnie ogonem.

– Nie twoja sprawa – zachnął się Charlie, ciskając piłkę na skalisty brzeg. – Gdybyś nie był martwy, spralbym cię na kwaśne jabłko za to wczorajsze podglądanie.

– Eee, przesadzasz. Byłem grzeczny i trzymałem się zasad. Nie przekraczałem granic przyzwoitości.

– Zdrowo przeciągnąłeś strunę, doskonale o tym wiesz. – Gdy po mieście rozeszła się plotka, że Charlie zwariował, bo rozmawia z duchem brata, Sam zgodził się nie pokazywać w obecności innych ludzi. Mimo wszystko stale zdarzały się sytuacje, gdy nie potrafił sobie odmówić przyjemności, by przysporzyć starszemu bratu kłopotów.

– Fajna jest – powiedział teraz. – Zupełnie w porządku, chociaż woli tych z Patriots.

Charlie nie zniżył się do udzielenia odpowiedzi.

– O ho ho! Pan lodówko-zamrażarka! Mów! Co się działo?

– Nic.

– Dlaczego tak szybko się zabrała? Pocałowałeś ją i od razu zniknęła. Ugryzłeś ją w język czy co?

– Po prostu zrobiło się późno. To była pierwsza randka.

– Może się wystraszyła tego spaceru po cmentarzu?

– Nie tak łatwo ją wystraszyć.

– A może zanudziłeś ją na śmierć tą swoją oklepaną gadką o chmurach?

– Ale dowcip!

Sam poskrobał paznokciem jeden z gwoździ w słupku. Oscar przyniósł piłkę i przysiadł zziębnięty, stukając ogonem w deski.

– Jak to jest, kiedy człowiek się całuje? – spytał chłopiec. Przysunął się bliżej psa. – Wiesz, ale tak naprawdę.

– Tak naprawdę? – Charlie uśmiechnął się do młodszego brata. Choć tyle lat minęło od wypadku, Sam pozostał dwunastolatkiem, zadającym te same niewinne pytania o sprawy, których nigdy nie pozna. Mógł przejść na następny poziom i otworzyć się na całą wiedzę, całą mądrość wszechświata, ale wolał zostać. – Pocałunku nie da się porównać z niczym innym na świecie. Można całować na tysiąc sposobów: podniecająco, seksownie i...

– Z języczkiem?

– Nic z tego. Nie dam rady.

– No mów! Chcę wiedzieć!

Charlie musiał się zastanowić. Pocałunek... jak wytłumaczyć, czym jest... ?

– Pamiętasz ten mecz w ramach małej ligi, kiedy grałeś w zespole Giants?

– No, pamiętam.

– Opowiedz mi o tym.

– Mieliliśmy cztery do jednego w ostatniej zmianie. Moja kolej na bazie wypadła po dwóch autach. Gizzy Graves był miotaczem. Pierwsze dwa narzuty puściłem mniej więcej o kilometr. Łącznik zaczął się ze mnie śmiać, a ja wtedy tak przyłożyłem w następną piłkę, że przeleciała nad ogrodzeniem lewego zapola. Zdobyłem wtedy metę domową. Wykonałem pełen obieg.

– I jak się czułeś?

– Byłem panem świata.

– Z pocałunkiem jest tak samo, tylko bez pałki.

– I bez Gizzy'ego Gravesa – roześmiał się Sam.

– Właśnie.

Charlie przyglądał się bratu z rozdartym sercem. W teorii chłopiec rozumiał koncepcję pocałunku doskonałego, ale przecież praktyka to zupełnie co innego. Zrobiło mu się smutno, gdy sobie uświadomił, ile cudownych doświadczeń ominie małego. Tak wiele zostało mu odebrane.

Raptem spostrzegł postać, która schodziła z cmentarnego wzgórza, zręcznie lawirując między nagrobkami. Natychmiast zauważył, że pani Phipps zaczęła już płowieć i blednąć. W niektórych wypadkach odbywało się to dość szybko, w innych trwało kilka dni albo nawet tygodni. Wyglądało na to, że ludzie przechodzą dalej, kiedy są gotowi uczynić następny krok.

Przez nauczycielkę przeświecało już miękkie światło poranka. Tym razem nie była ubrana w czarną suknię, ciemne pończochy i smoliste pantofle z wąskimi czubkami, tylko w różową sukienkę z długą, rozszerzaną spódnicą, miała dopasowany kolorem zgrabny kapelusik oraz srebrne buciki za kostkę. Zmarszczki zniknęły, cera się wygładziła, a włosy ściemniały. Kobieta nie była ani stara, ani młoda, zatrzymała się w doskonałym punkcie równowagi pomiędzy jednym a drugim. Charlie od razu rozpoznał ten rodzaj przemiany: oto pani Phipps taka, jaką chciała siebie widzieć. Olśniewające odbicie przeszłości, teraźniejszość oraz projekcja przyszłości. Kombinacja tego, kim niegdyś była i kim miała nadzieję się stać. Właśnie w taki sposób ludzie przygotowywali się do przejścia.

– Dobry wieczór – odezwała się, schodząc na nadbrzeże.

– Pięknie pani wygląda – powiedział szczerze Charlie. – A jak się pani dzisiaj czuje?

– Znacznie lepiej. Przypuszczam, że zgodnie z tym, co powiedziałaś, otrząsnęłam się z szoku.

Charlie gestem nakazał bratu wstać, aby w ten sposób okazać kobiecie szacunek.

– To mój brat, Sam.

– Miło mi cię poznać.

– Dzień dobry. Ładny ma pani kapelusz. – Czasami mały umiał się znaleźć.

– Pierwszy raz włożyłam go w dniu, kiedy mój kochany Walter poprosił mnie o rękę – wyznała z uśmiechem. – Nie noszę tej czarnej sukni, w którą mnie wystroili w domu pogrzebowym. Całkiem nie rozumiem, dlaczego córka wybrała akurat tę. Przecież chyba zdaje sobie sprawę, że nie chciałabym tak wyglądać, gdy znowu spotkam się z mężem.

Charlie nie miał wątpliwości, że pani Phipps jest już gotowa. Nie mylił się.

– Zajrzałam tylko żeby się pożegnać. Czas już na mnie. Walter czeka. – Wyciągnęła do Charliego połyskującą dłoń. – Dziękuję ci za wszystko i do widzenia.

– Życzę szczęścia – odpowiedział.

– Do widzenia – rzucił Sam.

Odchodząca pani Phipps stopniowo bladła. Zanim dotarła do końca pomostu, była już niemal przezroczysta. Chwilę później na wodzie rozbrzmiał donośny sygnał – to Joe wpływał do zatoczki.

– Ahoj! – krzyknął z daleka. Na głowie miał czapkę drużyny hokeja na lodzie Bruins włożoną daszkiem do tyłu, ubrany był w dżinsy i czerwoną kraciatą koszulę. – Dzień dobry z samego rana!

Charlie pomachał mu na powitanie i odezwał się półgębkiem do brata.

– Uciekaj.

– Do zobaczenia o zachodzie słońca – rzucił Sam. Zabrał Oscara i odszedł.

Charlie wskoczył do łodzi, a Joe otworzył przepustnicę. Wycelował dziób w nadbrzeże po drugiej stronie zatoki.

– Ejże, chłopie! Coś ty taki radosny z samego rana?

– Jaki znowu radosny?

– Krok sprężysty, pierś do przodu, uśmiech na twarzy. No, gadaj. Zaliczyłeś wczoraj panienkę?

– Bez komentarzy.

– Ty szczęściarzu! Zdradź chociaż jej imię! – Joe zakręcił kołem sterowym, o włos mijając zacumowany katamaran.

Charlie podciągnął pod szyję suwak granatowej kurtki. Zamierzał utrzymać w tajemnicy jak najdłużej znajomość z Tess. A już z całą pewnością nie miał ochoty wysłuchiwać komentarzy albo dowcipów Joego na jej temat.

– Ładny dzień.

– Ładny dzień! Nie wykręcaj się, kochasiu, gadaj! Zaczynj od Adama i Ewy. Co to za dziewczyna? Gdzie ją poznałeś?

– Jak obstawiasz dzisiejsze szanse Patriots? – spytał Charlie.

– I tak się dowiem – odparł Joe, przełączając silnik na jałowy bieg.

Łódź dryfem wchodziła do przystani. Tłoczno tu już było, mimo to udało im się przycumować w całkiem przyzwoitym miejscu. Charlie wyskoczył na keję, przywiązał linkę cumowniczą do pachołka i ruszył w stronę Driftwood, niewielkiej drewnianej chaty pokrytej odłazającą czerwoną farbą. Joe dogonił go po chwili i do środka weszli już razem.

Większość mikroskopijnych stolików okupowali miejscowi. Z sufitu zwisały sieci i harpuny, a na jednej ze ścian rekin szczyrzył zęby na barakudę umocowaną nad kuchennymi drzwiami. Charlie, wchodząc do pubu, jak zawsze uśmiechnął się na widok urny stojącej na kasie. Na złotej tabliczce widniał napis: „Prochy nieokrzesanych gości”.

Blisko zaplecza, w kącie tuż przy szafie grającej, siedział kapitan portu, Hoddy Snów, z dwoma zastępcami. Niedaleko wejścia natomiast, na swoich stałych miejscach tkwili Tink oraz inni żeglarze. Charlie przysiadł się do Bony'ego i jego paczki.

– Co nowego? – spytał.

– Złe wieści w kronice policyjnej – odpowiedział któryś z mężczyzn. – Sam posłuchaj. – Uniósł do oczu gazetę. – „W piątek o północy z krzewów przy Rosę Avenue dobiegały jęki. Do akcji wkroczył patrol zmotoryzowany. Śledztwo, jak na razie, nic nie wykazało”.

– Idę o zakład, że to był Bony ze swoją dziewczyną – roześmiał się Charlie.

– Chciałbym – westchnął starszy. – Ale jeśli się zdarzy, że będę jęczał w krzakach, to lepiej od razu wzywajcie karetkę.

W pewnym momencie kapitan portu wstał i przesunął wzrokiem po obecnych.

– Proszę was o chwilę uwagi – powiedział głośno. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o lekko podfarbowanych lśniących włosach, starannie ostrzyżonych w wojskowym stylu. Miał na sobie nieskazitelną koszulkę polo z wyszytym na piersi drukowanymi literami nazwiskiem oraz funkcją. – Proszę o ciszę. – W knajpce zapadła cisza jak makiem zasiał. – Przykro mi, że przeszkadzam wam w śniadaniu, ale sytuacja jest poważna i potrzebna każda pomoc.

Potrafił stworzyć nastrój grozy. Przed paroma laty wystąpił w jednym z odcinków „Nierozwiązane zagadki”, komentując poczynania wielokrotnego mordercy, pięćdziesięcioczeroletniego mieszkańca Atherton. A gdy Tucker Goodwin całkiem niedawno wyciągnął z oceanu trupa zahaczonego o klatkę na kraby, Hoddy udzielał wywiadów bostońskim gazetom oraz stacjom telewizyjnym.

– Mamy prawdziwe kłopoty – zaczął.

– Ktoś bez zezwolenia wykopał się w doku na golasa? – spytał Bony.

– Nie czas na żarty – uciszył go kapitan. – Właśnie dostaliśmy zawiadomienie od straży przybrzeżnej z Gloucester. Proszą nas o pomoc w poszukiwaniach. Przy Halibut Point jakiś rybak wyciągnął z wody koło ratunkowe i urwane pióro steru. Podejrzewają, że to była łódź z Marblehead.

– Która? – zapytał Charlie. – Czyja?

Hoddy zmrużył oczy, a gdy się odezwał, jego słowa były pełne powagi.

– „Querencia” Tess Carroll.

Osiemnaście

Bobo miotał się po plaży Devereux Beach jak opętany.

Tess wołała go aż do zachrypnięcia, ale pies w ogóle nie reagował: pędził na oślep, skakał w fale, jakby chciał walczyć z oceanem. Od razu, gdy rano otworzyła drzwi, wystrzelił jak z procy prosto na ulicę i pognał, w ogóle nie zwracając na nią uwagi. Miał już swoje lata, był przygłuchy, cierpiał na artretyzm, ale też co niedzielę rankiem biegł z Tess ustaloną trasą: najpierw spokojnymi uliczkami starej części miasta, potem wzdłuż brzegu, wokół cypla i osiedla Neck. Droga nieodmiennie kończyła się na cmentarzu. Zwykle truchtał karnie na smyczy u boku Tess, klócił się z kotami u Blaneysów na Merritt Street i obowiązkowo obwąchiwał śmietniki za Shipyard Galley.

Dziś zachowywał się zupełnie inaczej. Jakby się dokądś śpieszył.

Nad oceanem wzbierał wiatr. Bobo zaczął obszczekiwać jakiegoś rybaka siedzącego na ogrodowym krześle. Choć z daleka Tess nie widziała całkiem dobrze, odniosła wrażenie, że to Dubby Barlett porozstawiał na brzegu swoje cenne kije. Zawsze wędkował tutaj w niedzielne poranki, a żona w kościele modliła się za nich oboje.

– Dubby! – krzyknęła Tess. – Przytrzymaj Bobo! Muszę go wziąć na smycz!

Mężczyzna poklepał psa i rozejrzał się za jego właścicielką.

– Tu jestem! – wrzasnęła.

Gwałtowniejszy podmuch wiatru podniósł z ziemi fontanny piasku, więc pewnie też zagłuszył jej głos. Bobo skoczył wędkarzowi łapami na kolana, szturchnął go nosem w twarz, szczeknął krótko i ruszył biegiem. Dubby jakiś czas odprowadzał retrievera wzrokiem, aż w końcu wrócił do swoich wędek.

Tess znowu puściła się w pogoń, wołając ulubieńca. Zaczynała być zła. Co go, u licha ciężkiego, opętało? Zachowywał się jak nieposłuszny szczeniak, kompletnie głuchy na rozkazy.

– Bobo! – ryknęła. – Wracaj natychmiast!

Pies jednak nadal nie zwracał na nią uwagi. Pędził ścieżką, która prowadziła do skalistego urwiska zatoczki Waterside, a potem w górę, stromym wałem i przez tylną bramę – na cmentarz.

Straciła go z oczu, ale i tak wiedziała, że biegnie na szczyt wzgórza oznaczonego płamami nagrobków. Parę chwil później, wspinając się między rzędami pomników, dostrzegła po drugiej stronie rozległego trawnika Midge Sumner, jedną z przyjaciółek mamy. Kobieta, ubrana w ulubioną fioletową parkę, stała na drabince i myła naturalnej wielkości figurę swojej siostry, Madge, która jako dziecko zmarła na zapalenie płuc. Midge regularnie co weekend czyściła kamienne uszy siostry wacikami na patyczkach, a całe jej zimne ciało traktowała mydłem o zapachu drzewa sandałowego.

Teraz była tak zajęta cotygodniowym rytuałem, że nawet nie zauważyła Tess, więc dziewczyna, nie zatrzymując się, pomaszerowała dalej, do grobu ojca, gdzie spodziewała się znaleźć psa.

Rzeczywiście, siedział przy nagrobku.

– Ty podły zwierzaku! – wyszczała przez zęby. – Co ci odbiło?! – Bobo przewrócił się na grzbiet i zaczął czocharać o trawę. – Nic z tego, nie weźmiesz mnie na to! Jestem naprawdę wściekła! Zwariowałaś czy co?! – Klapnęła na ziemię, ignorując psie popiskiwanie.

Spojrzała na przystań i aż ją zdumiała jasność dnia. Błękit oceanu był żywszy niż zwykle, żagle na łodziach lśniły jak lustra odbijające promienie słońca. Miejsce „Querencii” zajął piękny czterdziestodwumetrowy szkuner, który pewnie zjawiał się po wyroby z Doyle Sails. Z klatek na homary, ustawionych na nadbrzeżu, unosił się dobrze znany ostry zapach śledzi używanych jako

przynęta. Nawet zmysł węchu miała dzisiaj wyostrzony, woń śledzi przypomniła jej ojca wracającego co wieczór z morza.

Raptem usłyszała za sobą śmiech i krzyki. Odwróciła się akurat w chwili, gdy z lasu wyprysnął beagle w rude łaty, a zaraz za nim chudy, patykowaty chłopak w workowatych sztruksach i szarej bluzie. Spod przekrzywionej czapki drużyny Red Sox wystawały ciemne loki.

– I tak cię dopadnę! – wrzasnął.

Tess wstała.

– Hej, pomóc ci? – zawołała.

Chłopiec stanął jak wryty. Na jego piegowatej twarzy odbiło się zdumienie. Gdy podszedł bliżej, pojawił się koło niego także beagle, powarkując na Bobo.

– Czy on gryzie? – spytał dzieciak.

– Nie – zapewniła go Tess. – Staruszek z niego. Już prawie nie ma zębów.

Mały zdjął rękawicę baseballową, przykląkł i serdecznie podrapał retrievera po brzuchu. W którejś chwili zerknął ciekawie na Tess.

– Dobrze mu, nie da się zaprzeczyć – powiedziała.

Chłopiec milczał, ale przyglądał jej się coraz uważniej.

– O co ci chodzi? – spytała.

– O nic.

– O nic? Jak to: o nic? Jeśli ktoś się komuś przygląda w taki sposób, to na pewno nie jest nic.

No, mów.

– Ty mnie widzisz?

– No jasne.

– To niemożliwe.

Tess uznała, że chłopiec wymyślił sobie jakąś zabawę.

– Pewnie jesteś niewidzialny.

– Właśnie.

– Ooo! Super! A jak to zrobiłeś?

Sam nie odpowiedział. We dwóch, chłopiec i pies, siedzieli tylko i patrzyli. Zaczynało to być trochę irytujące.

– A ty? – odezwał się w końcu dzieciak. – Kiedy tu przyszłaś?

– Przed chwilą – odrzekła Tess. – To jest grób mojego taty. Moi dziadkowie i pradiadkowie też leżą na tym cmentarzu.

– No tak, to ma sens – uznał Sam, podnosząc rękawicę. – I co, wszystko w porządku?

– Jak najbardziej – oświadczyła Tess z przekonaniem. – Grasz w drużynie Marblehead?

– No coś ty, pewnie że nie. – Zapadła przykra cisza. – Ty jesteś Tess, prawda? – odezwał się w końcu Sam.

– Skąd wiesz?

– Słyszałem o tobie.

– Poważnie?

– Aha. Od Charliego. – Oscar szczechnął krótko na dźwięk znajomego imienia.

– A co mówił?

– Musisz obiecać, że mnie nie wydasz, bo inaczej chciałby mnie zabić.

– Słowo skauta – obiecała z uśmiechem.

– On już strasznie dawno z nikim się nie całował – wyznał Sam. – Myślę, że bardzo cię lubi.

Tess poczuła zakłopotanie.

– Ja też go lubię. – Policzki ją piekły. – Wiesz może, gdzie on teraz jest? Znajdę go w domu?

– A on wie, że przyjdiesz?

– Nie. Nie mówiłam mu.
– I czego jeszcze mu nie powiedziałaś? – spytał Sam. Patrzył jej prosto w oczy.
– Nie bardzo wiem, o co ci chodzi. – Znowu zaczynał ją irytować. To wszystko przez te gry wideo. Jeden wielki koszmar. – Zrobisz coś dla mnie? Przekażesz mu wiadomość?
– Jasne.
– Powiedz mu, że tu byłam.
– Nie ma sprawy. – Rzucił piłkę, a pies zerwał się i za nią pogonił. – Hej, Tess, grasz w baseball?
– Jasne.
– Rzucasz jak baba?
– Coś ty!
– To przyjdź wieczorem. Zawsze gramy z Charliem o zachodzie słońca. Widzisz tamten las? I ten wielki świerk?
– Tak.
– Idź stamtąd ścieżką, która zaczyna się po drugiej stronie zwałonego pnia.
– I co dalej?
– Wyjdiesz na polankę. Tam sobie porzucamy.
– Dobra – zgodziła się Tess. – Do zobaczenia. – Ruszyła z boczem wzgórza. Podobała jej się myśl o grze z Charliem i tym chłopcem. Nagle coś sobie uświadomiła. Obróciła się i spytała: – Ej, mały, a jak ty się właściwie nazywasz?
Nie odpowiedział od razu.
– Nazywam się Sam. Sam St. Cloud.

III
POMIĘDZY

Dziewiętnaście

Ocean dawno nie wydawał się tak ogromny. Białe grzywacze pędziły aż po horyzont, więc dwunastometrowy kuter mocno podskakiwał na falach. Charlie jedną ręką przytrzymał się burty, w drugiej ścisnął lornetkę. Bez ustanku obserwował niespokojne morze. Razem z Tinkiem stanowili część ekipy przeszukującej rafę Jeffreys Ledge, a więc okolicę niedaleko miejsca, gdzie rybak wyłowił osprzęt z „Querencji”.

Charlie nie uwierzył w wieści o zaginięciu Tess.

– Niemożliwe! – wykrzyknął, gdy kapitan portu ogłosił w Driftwood złe wieści.

Skupiły się na nim spojrzenia wszystkich obecnych.

– Czy wiesz coś, czego my nie wiemy? – spytał Hoddy.

Charlie miał ogromną chęć powiedzieć mu o spotkaniu z dziewczyną przy grobie jej ojca i o wspólnej kolacji. Chciał zapewnić, że spacerował z nią nocą po cmentarzu, a nawet się pocałowali. Wtedy jednak obleciał go strach. Była to reakcja zupełnie podświadoma. Może z „Querencją” stało się coś strasznego, może Tess rzeczywiście miała poważne kłopoty na wodzie i to jej duch pojawił się na cmentarzu? Nie mógł wykluczyć takiej możliwości, nagle zdał sobie sprawę, że musi chronić siebie.

– Na pewno już dopłynęła – wymamrotał, pokrywając zmieszanie. – Zobaczycie.

– Stary, co ty gadasz? Znaleźli pióro jej steru i koło ratunkowe. Od trzydziestu sześciu godzin nie ma o niej żadnych wiadomości. Czego ci jeszcze trzeba, żeby zacząć jej szukać?

Charlie sam nie wiedział, co odpowiedzieć.

– A może jest w domu? Sprawdzał ktoś?

– Oczywiście – odpowiedział Hoddy. – Tam jej nie ma. Dubby Bartlett widział dziś rano jej psa biegnącego po plaży bez smyczy. Matka spodziewała się, że do tej pory będzie już miała od niej jakieś wieści, ale Tess się nie odezwała.

I tak mężczyźni, w zespołach po dwóch, ruszyli na poszukiwanie. Charlie przyłączył się do Tinka, który pożyczył potężny kuter. Znali się tylko przelotnie, z okolicznych barów, ale obaj ponad wszystko pragnęli odnaleźć Tess.

Poszukiwania dość szybko zaowocowały mnóstwem śmiecia, między innymi wyciągnęli z wody pływającą lodówkę turystyczną z kilkoma piwami w środku i firmowy worek na kije golfowe.

Mniej więcej koło południa dostrzegli tratwę ratunkową, częściowo napompowaną i poczerniałą od ognia. Gdy Tink wciągnął ją na pokład i rozwinął, okazało się, że należała do wyposażenia „Querencji”.

– Nieee! – Tylko to jedno słowo wyrwało mu się z ust, ale jęk trwał długo, aż tamtemu zabrakło powietrza w płucach. Wielkie łzy popłynęły mu po policzkach i wsiąkły w kudłatą brodę.

Łódź zniknęła. A razem z nią Tess.

Przez cały dzień nie spotkali na gniewnym oceanie żadnej żywej istoty, raz tylko dostrzegli, ze dwieście metrów za sterburcią, wielkie fontanny wody wydmuchiwanej przez wieloryby pogrążające się w głębinach.

Charlie cały czas zachodził w głowę, ale nie potrafił odgadnąć, co się naprawdę stało. Kto był poprzedniej nocy na cmentarzu: Tess czy jej duch? Widział w swoim życiu tysiące dusz, umiał dostrzec wszystkie, nawet bardzo niewyraźne oznaki. Nigdy dotąd nie dał się zmylić. Duchy zawsze były otoczone aurą światła. Starsze zyskiwały pewność siebie. Niezdecydowanie zastępowała u nich energia. Z początku, zaraz po śmierci, rozmywały im się krawędzie, stawały

się połyskliwe jak babie lato. Z czasem wygląd zmarłych ulegał subtelnym przemianom, upodabniali się do swojego wymarzonego wizerunku i wkrótce byli gotowi do przejścia na następny poziom. Wtedy szybko płowieli i zaraz znikali jak mgła ogrzana przez słońce.

Z Tess było zupełnie inaczej. Przecież zaglądał w jej szmaragdowe oczy, stał tuż przy niej, słuchał jej niesamowitego śmiechu. Nawet jakby się trochę w niej zakochał. Była z całą pewnością jak najbardziej żywa. Nie dostrzegł w niej nic przezroczyściego. Prawdziwa, namacalna, pełna życia.

Musiała tu zająć jakąś pomyłka.

Na pokład wdarła się większa fala, chlusnęła mu słoną wodą w twarz, zaszczypała w oczy. Na siłę otwierał powieki, starając się nie mrugać, w obawie, że przeoczy Tess. Cały dzień modlił się, by Bóg nie odbierał mu tej dziewczyny, jedynej w swoim rodzaju i niepowtarzalnej. W każdym niepokojącym zdarzeniu potrafił dostrzec optymistyczną stronę. Owszem, łódź Tess nie cumowała na swoim miejscu, ale przecież ocean jest wielki, dziewczyna mogła przybić do brzegu gdziekolwiek. Rzeczy znalezione przez rybaka nie musiały być szczątkami wraku, mogły po prostu odpaść od „Querencii”.

Zostawała, niestety, kwestia nadpalonej tratwy ratunkowej.

Zerknął na cyfrowy wyświetlacz na desce rozdzielczej. Według wskazań termometru woda w oceanie miała jakieś dziesięć stopni Celsjusza. Pamiętał ze szkolenia sanitarnego, że zimna woda odbiera ciału ciepło trzydzieści razy szybciej niż powietrze. Jeśli człowiek nie był chroniony odpowiednim strojem, tracił przytomność po półgodzinie do godziny, a po godzinie do trzech – umierał. Mimo wszystko jednak, nawet jeśli łódź spłonęła i poszła na dno, Tess była zapewne ubrana w kombinezon ratunkowy, który powinien utrzymać ją przy życiu w tej temperaturze przynajmniej siedemdziesiąt dwie godziny. Innymi słowy, mieli jeszcze mnóstwo czasu na poszukiwania. '

Na zachodnim niebie rozlały się plamy rdzawego fioletu. Chmury zbijały się w wielkie kłęby. Słońce wisiało już nisko nad wodą – nagle Charlie uświadomił sobie, że po raz pierwszy od trzynastu lat przez cały dzień nie pomyślał o bracie. Ani razu. Serce waliło mu coraz mocniej. Zaczynał się bać. Została już tylko godzina światła – godzina na znalezienie Tess, godzina na powrót do domu. Sytuacja patowa.

Tess zniknęła, Sam czekał.

Właśnie w tej chwili Tink gwałtownie obrócił koło sterowe.

– Bak prawie pusty – powiedział. – Dzień się kończy. Nie ma rady, musimy wracać do portu.

Charlie pokiwał głową, jednakże myśl o powrocie na brzeg nie przyniosła mu ulgi. Tak czy inaczej, będzie spóźniony.

– Zluzuję cię – zaproponował, planując, że popłynie szybciej i nieco zwiększy swoje szanse.

– Nie, dzięki, nie trzeba – odparł Tink.

Wobec czego Charlie usunął się na rufę. Usiadł, ukrył twarz w dłoniach i zamknął oczy. Natychmiast ujrzał w wyobraźni Tess, idącą cmentarną alejką. Widział ją w nocnych ciemnościach. A potem, krok po kroku, odtworzył cały wspólny wieczór, usiłując dopatrzeć się jakiegoś sensu.

Może uroda dziewczyny tak go oślepiła, że nie zauważył ewidentnych oznak. A może Bóg miał jakiś plan? Przecież nie sposób aż tak się pomylić!

Wstał, przeszedł do kokpitu i stanął obok Tinka. Zerknął na prędkościomierz. Piętnaście węzłów. Grubas miał zaczerwienioną od wiatru twarz. Zjadł już prawie połowę ogromnego opakowania kakaowych herbatników przekładanych kremem waniliowym. Na brodzie pozostały mu ciemne okruszki.

Tuż za rufą kormoran czubaty nurknął po makrelę. Od wody odbijało się przygaszone

światło zmierzchu. Słońce miało zniknąć o osiemnastej trzydzieści trzy.

– Możemy trochę przyspieszyć?

– Coś ty nagle taki Mario Andretti, wyścigowiec czystej krwi? Po co ten pośpiech?

– Muszę wracać.

Tink obrócił koło pięć stopni na sterburtę.

– Coś ważnego? Dziewczyna na ciebie czeka? A może rozgrywka w kręgle w Bowl-O-Mat?

Charlie nawet się nie pofatygował, by odpowiedzieć. Stał w milczeniu, słuchając dudnienia fal o kadłub łodzi. Tak minęło kilka chwil. Wreszcie Tink podsunął mu opakowanie herbatników. Propozycja pojednania.

– Nie, dzięki.

– Wybacz, stary, mam nerwy w strzępach. – Niespokojnie przełożył wielkie dłonie na kole sterowym. Charliemu wydało się, że w oczach brodacza zabłyśły łzy. – Jak poznałeś Tess? – zapytał.

– Przypadkiem.

Tink jednak nie słuchał. Wydawał się zagubiony we własnych niewesołych myślach.

– Nie powinienem był jej puścić na ten sztorm – mruknął do siebie.

Dziwne. Tess nic nie wspominała o złej pogodzie.

– Nie przejmuj się – rzucił Charlie. – Nic jej nie będzie.

– Tak uważasz? – Grubas podniósł na niego smutne spojrzenie.

– Trzeba w to wierzyć.

I właśnie do tego się zmuszał. Do wiary, że Tess jest cała i zdrowa. Ale, oczywiście, z każdą mijającą chwilą i z każdą kolejną milą pustego oceanu narastał w nim strach, że nadzieja jest bezpodstawna. Wiedział wszystko o przestrzeni między życiem a śmiercią, o tym, jak dusza oddziela się od ciała. Przecież sam znalazł się po drugiej stronie, choć na krótko, bo przywrócono go do życia. Musiał się pogodzić z możliwością, że duch Tess przybył na cmentarz, do ojca, nie zdając sobie sprawy, co wydarzyło się z ciałem. Często widywał ludzi niebotycznie zdumionych, że właśnie zmarli na zawał albo z powodu tętniaka. Czasami nawet nie rozumieli, że ich życie dobiegło końca, i potrzebowali kilku dni, by się odnaleźć w nowej sytuacji. Inni od razu wiedzieli, co im się przydarzyło, ale mieli ogromne pretensje do Boga i całego świata. To właśnie oni najdłużej trzymali się rodziny i przyjaciół. No i byli jeszcze tacy, którzy najspokojniej przyjmowali nieuniknioną kolej rzeczy i szybko przechodzili od razu na drugi brzeg.

Gdzie pośród nich umiejscowić Tess? Czy błąka się po ulicach Marblehead całkowicie nieświadoma tego, co się stało? A może jest gorzej, może już zrobiła następny krok i nigdy więcej się nie spotkają?

Charlie ujrzał wejście do przystani. Niebo było już ciemnoszare, latarnia morska błyskała znajomym zielonym strumieniem światła. Gdy mijali Corinthian Yacht Club, komendant doków, Rick Vickery, akurat szykował się do salutu armatniego na cześć zachodzącego słońca.

Tink podpłynął do nadbrzeża, gładko doprowadzając kuter do kei. Charlie zeskoczył z pokładu. Akurat gdy wiązał cumy, usłyszał wystrzał.

– Muszę uciekać – rzucił.

– Pomóc ci w czymś? – spytał jego towarzysz. – Nie wyglądasz najlepiej.

– Nie, dzięki. Zadzwoń, jeśli będzie coś wiadomo.

– Zrobi się – obiecał brodacz.

Charlie ruszył sprintem. Spóźni się na pewno. Pięć minut, może nawet dziesięć. Pobiegnął State Street, przeciął aleję, przeskoczył przez drewniany płot i pomknął po trawniku pani Dupar. Pies siedzący w oknie obszczał go z pasją. Gdy przebiegał przez Washington Street, jakiś van przyhamował z piskiem opon.

W Marblehead było już prawie ciemno. W oknach błyszczały światła. Z kominów unosił się dym. A Charlie biegł, najszybciej jak potrafił.
Do Sama. I do nadziei życia.

Dwadzieścia

Gdy minął ostatni zakręt na West Shore Drive, dostał kolki, a oddech mało nie rozsadził mu płuc. Wreszcie dotarł do wielkiej bramy, uchwycił się żelaznych prętów i oparł czoło o zimny metal. Po chwili wsunął klucz w zamek i chciał go przekręcić, lecz po raz pierwszy w życiu mu się to nie udało. Z trudem opanował panikę. Wyjął klucz z dziurki, wetknął ponownie i obrócił z całej siły. Usłyszał kliknięcie zapadki i teraz już bez trudu otworzył bramę. Wpadł na cmentarz. Żwir na głównej alejce uspokajająco zgrzytał mu pod stopami, wiatr niósł woń palonych liści.

Wsiadł do wózka zostawionego przy Fontannie Młodości i ruszył w stronę Lasu Cieni. Zjechawszy z wyboistej ścieżki, zatrzymał się pod niskimi gałęziami błękitnego świerku. Tak się śpieszył, że nawet nie sprawdził, czy aby na pewno nikt go nie obserwuje.

Sięgnął pod siedzenie pasażera, wymacał rękawicę i piłkę, przeskoczył butwiejący pień i wpadł między drzewa. Wspiął się na wzgórze, minął klonowy zagajnik, pobiegł w dół, do wodospadu i sadzawki. Wpadł w przecinającą w cedrowym gaiku otoczonym srebrzystą szarością i po chwili znalazł się na doskonałym trawniku o wymiarach trzydzieści na trzydzieści metrów. W bładym świetle zapadającego zmierzchu ogarnął boisko jednym spojrzeniem: zielony kwadrat z wypieszczoną metą miotacza, stanowiskiem pałkarza oraz bazą domową. Nikogo.

– Sam! – zawołał. – Gdzie jesteś?!

Na huśtawce ani na linie zwisającej z grubego konara także go nie było.

– Sam!!!

Żadnej odpowiedzi. Wtedy pojawił się strach. Najpierw ścisnął mu żołądek, potem serce. Charliemu krew zaczęła dudnić w uszach. W dodatku był wykończony. Zaczęło go ogarniać przerażenie.

Przede wszystkim musiał przestać wyobrażać sobie najgorsze. Podszedł do huśtawki, usiadł, odchylił się do tyłu i odepchnął od ziemi. Przez chwilę widział tuż nad stopami wschodzący księżyc.

– Sam! – krzyknął znowu.

Stadko gołębi poderwało się z gniazd na świerkach i wzbiło w czerniejące niebo. Odczekał, aż ucichnie łopot skrzydeł i zawołał jeszcze raz.

– Saaaam!

Gdy ucichło echo jego głosu, stał się cud. Z początku dotarł do niego jakiś dźwięk, tak słaby, że nie miał pewności, czy to przypadkiem nie efekt wyobraźni.

– Charlie!

Z lasu wyszedł Sam, w czapce drużyny Red Sox, sztruksach i trampkach za kostkę. Tuż za nim wyprysnął spomiędzy drzew Oscar.

– Gdzie byłeś?! – Charlie zeskoczył z huśtawki. – Wystraszyłeś mnie.

– Nigdzie nie byłem, przecież jestem – odparł chłopiec z uśmiechem. – Nie denerwuj się, wszystko w porządku. Gramy?

– Nie, nie gramy, musimy pogadać.

Młodszy brat podszedł do drewnianego ogrodowego stołu i usiadł na ławce.

– A co się dzieje? – zapytał. – Coś jest niedobrze?

– Miałem fatalny dzień – przyznał się Charlie.

– Dlaczego?

– Przez Tess.

Sam miał oczy jak spodki.

– Aha, czyli jednak cię znalazła.

Charlie poczuł skurcz w żołądku. Co wiedział Sam? I skąd się dowiedział?

– Czy Tess była tu dzisiaj?

– Szukała ciebie.

– Widziałeś ją?

– Widziałem – odpowiedział Sam miękko i łagodnie, jakby mówił do dziecka. – I ona mnie też widziała.

Charliego opuściła nadzieja. Nie sposób zaprzeczać faktom. Przez wszystkie lata, jakie spędził w Waterside, nigdy się nie zdarzyło, by żywy człowiek zobaczył jego brata. Ani zresztą jakiegokolwiek innego ducha. W Salem aż się roilo od samozwańczych czarownic, które utrzymywały, że mogą rozmawiać z umarłymi, ale Charlie nigdy nie doczekał się żadnego dowodu. Bardzo często zaglądali do Waterside różni tak zwani parapsychologowie i media, ciągnąc za sobą zrozpaczonych klientów. Ale nikt z nich nigdy nie zauważył Sama dokazującego z Oscarem, nie widzieli też duchów swoich bliskich, które dmuchały ku nim lekką bryzą lub przesyłały im jesienny liść.

– Dlaczego wczoraj w nocy nic mi nie powiedziałaś? – zapytał Charlie.

– Nie wiedziałem. Serio. Nie przyjrzałem jej się zbyt dobrze – tłumaczył się Sam. – Zabroniłeś mi, pamiętasz?

– Czy ona już wie?

– Nie jestem pewien.

– Jak to: nie jesteś pewien?

– Chyba się domyśla.

– Zaczęła blednąć? Przechodzi dalej?

– Nie wiem.

Charlie odchylił głowę do tyłu i zatopił wzrok w ciemnym niebie. Przez cały dzień kurczowo trzymał się nadziei, że Tess żyje, ale teraz zyskał pewność, iż jest ona duchem. Na zachodzie wyłoniły się nierówne plamy obu Obłoków Magellana. W każdym z nich uczeni doliczyli się dwustu miliardów gwiazd takich jak Słońce. Nagle Charlie poczuł się niczym wobec potęgi wszechświata. Okruczem bez znaczenia, pozbawionym wszelkiej nadziei.

Tuż obok siedział Sam, ale po raz pierwszy Charliemu nie wystarczała jego obecność. Chciał więcej. Bardzo potrzebował czegoś, kogoś jeszcze. Wsunął palce we włosy. Czy Sam znał jego myśli?

– Wszystko się pouklada, panie bracie – odezwał się cicho młodszy brat.

– Skąd wiesz?

– Nie martw się, Tess niedługo tu przyjdzie.

Dwadzieścia jeden

Najdziwniejszy dzień w życiu Tess szybko zmienił się w prawdziwy koszmar. Zaczęło się od bólu głowy, który nie chciał minąć, a skończyło na czarnej rozpacz przy grobie ojca.

Po spotkaniu z Samem St. Cloudem nie mogła dojść do siebie. Miała wrażenie, że błądzi po omacku w gęstej mgle. Ten dzieciak był bratem Charliego. Ale przecież brat Charliego nie żył, zginął w wypadku samochodowym trzynaście lat temu. Wobec czego, jakim cudem z nim rozmawiała? Może jest jakaś częśćka prawdy w powiedzeniu, że kto z kim przestaje, takim się staje? Za dużo czasu spędzała na cmentarzu i zaczęła widywać duchy? A może to było złudzenie optyczne? Albo halucynacja?

Z drugiej strony, to wcale nie musiał być Sam St. Cloud. Może po prostu jakiś dzieciak robił sobie z niej głupie żarty.

Bardzo chciała zobaczyć się z Charliem i wypytać go o brata.

Gdy słońce nad Marblehead wstało na dobre i weekendowi wycieczkowicze wypływali z przystani, Tess odprowadziła psa z powrotem na Lookout Court. Nikt jej po drodze nie pozdrowił, nikt się z nią nie przywitał. Nawet stara przyjaciółka, Tabby Glass, która truchtała dla zdrowia chodnikiem po drugiej stronie jezdnii, popychając przed sobą spacerówkę z córeczką.

– Chcesz coś przegryźć? – spytała Tess psa, gdy znaleźli się na podwórku.

Bobo uwalil się na frontowych schodach, najwyraźniej niezainteresowany jedzeniem.

– Dobra, jak sobie chcesz. Idę sprawdzić, co z „Querencią”.

Lekko zbiegła stromymi schodami prowadzącymi ze wzgórza, na którym znajdowała się uliczka z jej domem. Potem w ostrym tempie pomaszerowała brzegiem oceanu. Barwy kadłubów łodzi i żagli sprawiały wrażenie bardziej nasyconych i żywszych niż zwykle. Zapach soli w powietrzu wydawał się ostrzejszy. A frytkownica w Driftwood smrodziła i dymiała jak nigdy.

Tess przeszła nadbrzeżem do swojego miejsca przy kei i nagle stanęła jak wryta. Uświadomiła sobie, że coś jest zdecydowanie nie tak, jak powinno. „Querencji” nie było. Tink w życiu nie wzięłby łodzi bez pytania. Zakręciło jej się w głowie jak na lekkim rauszu. Przykłęka, jedną ręką złapała się w tali, drugą przytrzymała przezartej solą deski. Czowała narastającą mdłości, więc na wszelki wypadek przechyliła się lekko za krawędź pomostu. Spojrzała w lustro wody. Zamrugnęła i oddech zamarł jej w piersiach.

Nie zobaczyła swojego odbicia.

Widziała niebo i chmury, ale nie dostrzegała zarysu swojej postaci na powierzchni wody. Nawet cienia. Zmartwiła. I wreszcie pojęła.

W ogóle jej tu nie było.

Gwałtownie szukała w pamięci fragmentów wspomnień z poprzedniego dnia. Babusia jej nie widziała. Bobo nie wypełniał poleceń. Dubby Barlett na plaży nie słyszał jej wołania. A dziś nikt nie zwrócił na nią uwagi na ulicy.

Ponieważ nikt jej nie dostrzegał.

Nikt, prócz Charliego St. Clouda oraz jego nieżyjącego brata, Sama.

Co to wszystko ma znaczyć?!

Skoczyła na równe nogi, złapała się za ramiona, przesunęła dłonią po włosach, potarła palcami po udach. Obróciła w palcach guzik koszuli. Wszystko wydawało się całkiem normalne, jak zawsze. A przecież takie nie było.

Pod drzewem siedziało czterech starszków: Bonny, Chumm, Iggy i Dipper. Zawołała do nich, ale żaden jej nie usłyszał, nadal rozprawiali o swoich sprawach. Tess zadrżała ze strachu. Musiało się stać coś strasznego. Próbowała sobie przypomnieć sztorm... Oczyma wyobraźni

zobaczyła siebie w łodzi odwróconej do góry dnem. Potem gdy „Querencia” się wyprostowała, Tess z pewnością wyszła na pokład. Ale co dalej? Czy wróciła do portu? Nic nie pamiętała. Szukała w pamięci, ale nic nie znalazła.

Kiedy wobec tego umarła?

Pytanie wydawało się irracjonalne. Była przerażona i kompletnie zagubiona. Potrzebowała jakiegoś oparcia. Wówczas zdała sobie sprawę, że wystarczy zrobić tylko jedno: znaleźć Charliego. Jeśli ktokolwiek może jej wyjaśnić, co się dzieje, to właśnie on. Tylko co będzie, jeśli on także już jej nie zobaczy? Jeśli dla niego też stała się niewidzialna?

Szukała go po całym cmentarzu, lecz nie znalazła. Wreszcie usiadła ciężko przy grobie ojca, pod japońskim klonem. Jeśli umarła, tata powinien do niej przyjść. A może czekał gdzieś indziej? Dokąd powinna pójść? Co zrobić? Czy było gdzieś jakieś stanowisko informacyjne? Albo tablica ogłoszeń? Nie miała najmniejszego pojęcia.

Rozpłakała się wreszcie i tak długo szlochała, aż ze zmęczenia usnęła. Obudziła się zrana potem ze strachu, że nigdy już nie znajdzie Charliego. Niebo było prawie czarne. Wstała, przypomniała sobie wskazówki Sama: znaleźć na skraju lasu świerk błękitny i ścieżkę za spróchniałym pniem. Zadrżała. Ubiegłej nocy las był pełen niepokojących szmerów i cieni. Czy naprawdę miała tam wchodzić sama? Ku swemu zdumieniu odkryła jednak, że dziś akurat był wyjątkowo spokojny, nawet przyjazny. Prowadzona ścieżką minęła wodospad i sadzawkę, a następnie cyprysowy zagajnik. W pewnej chwili usłyszała z oddali głosy i poszczekiwanie psa. Gdy wyszła na polanę, pierwszą osobą, jaką ujrzała, był Charlie siedzący na ławce.

Już sam jego widok podniósł ją na duchu. Zyskała pewność, że przynajmniej część zdarzeń, które pamiętała, jest prawdziwa. Chciała mu po prostu powiedzieć, że zaszła jakaś niesamowita pomyłka. Chciała go pocałować, natychmiast zacząć w miejscu, w którym skończyli zeszłej nocy.

Podchodząc do niego, modliła się, żeby nadal ją mógł widzieć, więc kiedy zerwał się na nogi i uśmiechnął, zalała ją fala niewypowiedzianej ulgi. Wreszcie nie była sama.

– Dobrze, że jesteś – powiedział Charlie. – Bałem się, że już nie wrócisz.

* * *

Była nieprawdopodobnie piękna. Włosy rozsypały jej się na ramiona, oczy lśniły szmaragdowym ciepłem. Chciał ją przytulić na powitanie, więc wstał i wyciągnął do niej rękę, ale zatrzymała się, tuż poza zasięgiem jego ramion.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Szukałam cię wszędzie.

– Ja też ciebie szukałem – odpowiedział. – Jak rozumiem, poznałaś już mojego brata?

– Cześć, Sam – rzuciła Tess. Były to dwa najśłodsze wyrazy pod słońcem. Charlie nie śmiał i nie mógł marzyć, że kiedykolwiek jakakolwiek kobieta powita jego brata w ten sposób.

– Cześć – odpowiedział chłopiec. – Strasznie późno przyszedłeś. Już za ciemno, żeby pograć. Słuchaj – zwrócił się do Charliego – ona mówi, że nie rzuca jak baba.

– I tak byśmy dzisiaj nie grali – odparł Charlie. Przyjrzał się Tess. Stała ot tak, zwyczajnie, i wyglądała równie prawdziwie jak każdy inny człowiek. Nie dostrzegał najlżejszych oznak znikania. Lecz mimo to w głębi serca miał niezbitą pewność, że proces już się rozpoczął. Zastanowił się krótko, ile Tess wie, co rozumie. Postanowił zacząć od najprostszego pytania. – Co u ciebie?

– Było w porządku, póki się nie okazało, że nie ma mojego odbicia w wodzie. I teraz już nic nie rozumiem. Charlie, wytłumacz mi, co się dzieje? – Najwyraźniej nie miała pojęcia, co się stało, a on musiał jej przekazać tę wiadomość. – Mów. Jestem dorosła. Zniosę wszystko. –

Trzymała się, jak mogła, i była rzeczywiście dzielna, ale zdradzało ją drżenie głosu. Charlie obserwował to już u duchów przechodzących przez Waterside. Wiedział, co będzie dalej, i czuł fizyczny ból na samą myśl o cierpieniach, o jej zagubieniu, przestraszu, smutku.

– Nie bardzo wiem, od czego zacząć... – zająknął się.

– Najlepiej od początku.

– No dobrze – przystał. – „Querencia” zaginęła czterdzieści osiem godzin temu. Całe miasto się o ciebie martwi. Na poszukiwanie wyruszyła prawdziwa flota.

– Czterdzieści osiem godzin? To długo.

– Jakiś rybak znalazł fragment osprzętu przy Halibut Point. Tink i ja wyłowiliśmy twoją tratwę ratunkową w zatoce Sandy Bay.

– A dokładnie?

– Przy Rockport.

– To dziwne. Nie płynęłam w pobliżu Rockport. Pewnie zniósł ją wiatr razem z prądem. – Tess podeszła do huśtawki i usiadła na desce.

– Czy pamiętasz, co się stało? – zapytał Sam.

– Kompletnie nic.

Charlie przyglądał się dziewczynie uważnie. Nie przegapił żadnych znaków, po prostu ich nie było. Nie bladła na krawędziach, nie miała świetlistej aury. Wydawała się całkiem zwyczajną, prawdziwą, żywą. Odepchnęła się od ziemi i zaczęła huścić.

– Spróbuj coś sobie przypomnieć – poprosił. – Musimy wiedzieć, gdzie byłaś, gdy zdarzył się wypadek.

Tess zeskoczyła z rozkołysanej huśtawki.

– Tyle tylko wiem, że był sztorm, dziesięć w skali Beauforta, i prawie całą noc siedziałam pod wywróconym kadłubem. Zrobiło się strasznie zimno. W dodatku stłukła się butelka z sosem do sałaty i cuchnęło jak diabli. Jeszcze czuję ten zapach.

– I co potem?

– Potem byłam przy grobie taty.

– Pamiętasz powrót do portu?

– Właściwie nie. – Czy wiesz, jak się znalazłaś na cmentarzu?

– Nie, Chas. Nie mogę sobie przypomnieć.

– Nic nie szkodzi. Niekiedy, gdy wypadki toczą się bardzo szybko, człowiek nawet nie zdąży zauważyć, co się dzieje. Trzeba czasu, żeby to sobie uświadomić. – Przyglądał jej się bacznie, obserwując, jakie wrażenie wywarły jego słowa.

Z początku Tess oniemiała, ale wreszcie przemówiła.

– Dobry Boże, co teraz ze mną będzie?

– Niedługo wszystko się ułoży – powiedział zdławionym głosem. – Znajdziesz swój dom, trafisz w najważniejsze miejsce.

– Co takiego? O czym ty mówisz? Mój dom jest na Lookout Court, mieszkam tam z Bobo. Moje miejsce jest przy mamie i przyjaciółkach. – W jej szmaragdowych oczach zabłyśły łzy. Otarła je i spróbowała się uśmiechnąć, ale nie bardzo to wyszło. – I nawet zaczęłam sobie wyobrażać, że moje miejsce może być przy tobie – dodała.

Dwadzieścia dwa

Tess nigdy nie była przesadna. Nie przeszkadzało jej, gdy ktoś z załogi wywiesił pranie do wyschnięcia na olinowaniu, beztrudno gwizdała na pokładzie, choć to przecież kolejne tabu, a nawet mocowała żagle w piątek, co, jak wiadomo od wieków, ściągało wszelkie straszliwe nieszczęścia i katastrofy. Często wchodziła na pokład lewą nogą, a na dodatek uparła się, żeby „Querencia” miała kadłub pomalowany na niebiesko – czyli na kolor od zawsze wróżący tragedię na morzu.

Poniewczasie zaczęła się zastanawiać, czy dobrze robiła, kusząc los. Przynosiła kwiaty na łódź, chociaż rasowi żeglarze uważali, że kwiaty nadają się tylko na pogrzeb; wypływając z portu, zawsze oglądała się za siebie i w ten sposób dokonywała kolejnego pogwałcenia niepisanego kodeksu. Tak, łamała reguły tysiące razy i teraz nie mogła się oprzeć przykreemu podejrzeniu: może sama ściągnęła na siebie nieszczęście?

Las zaczynała przykrywać noc. Księżyc stał wysoko, gwiazdy świeciły pełnym blaskiem, a Tess siedziała z Charliem i Samem przy ogrodowym stole. W głowie kłębiły jej się tysiące myśli. Usiłowała wziąć się w garść. Powoli docierała do niej prawda.

Umarła.

Nagle zaczęła sobie przypominać wypadki sztormowej nocy. Wracały do niej fragmenty zdarzeń. Nie mogła jeszcze ułożyć ich w pełen obraz, ale pamiętała, jak zagarnęły ją fale, a świat zalała smolista ciemność.

Zaczynała rozumieć, co oznacza śmierć.

Nie popłynie w rejs dookoła świata.

Nie zobaczy słynnego miasta Malacca, nie będzie żeglowała po Morzu Sulu.

Nie zobaczy swojego nazwiska na tablicy pamiątkowej wśród nazwisk innych znakomitości Providence.

Nie pójdzie ze swoim wybranym do ołtarza w kościele Old North.

Nie wyjedzie na miesiąc miodowy do Hiszpanii, nie będzie uciekała przed bykami w Pampelunie i nie zobaczy słonecznego azylu na arenie w Sewilli.

Nie pozna cudu powstania nowego życia, nie będzie czuła ruchów dziecka pod sercem.

Nie pokaże córce, jak wciągać grotzagiel, i nie nauczy jej halsowania.

A co najgorsze, nigdy nie zazna prawdziwej miłości na dobre i złe.

Usiłowała powstrzymać bieg myśli. Jeszcze wczoraj nie przyszłoby jej do głowy, aby układać taką listę, dzisiaj natomiast mogłaby ją ciągnąć w nieskończoność.

Nigdy już nie skosztuje pieczeni wołowej w Mino.

Nie będzie więcej obchodziła Święta Dziękczynienia. A właśnie dzięki tym wszystkim drobnym przyjemnościom czuła, że żyje. Co z nią teraz będzie?

Przepadnie.

I jeszcze ten niesamowity mężczyzna... Już nie zdąży dobrze poznać Charliego St. Clouda, który pojawił się znikąd i natychmiast został jej odebrany. Dlaczego spotkała go dopiero teraz? Bóg jeden wiedział.

Usiłowała się skoncentrować na słowach braci, którzy na zmianę opisywali jej życie po życiu i wyjaśniali, jaka droga ją czeka. W ich ustach brzmiało to jak rzecz najnaturalniejsza w świecie.

– Nic z tego nie rozumiem – przerwała Charliemu w pewnym momencie. – Jakim cudem widzisz Sama? – zawahała się. – I dlaczego widzisz mnie?.

– Po wypadku ja też przeszedłem na drugą stronę – wyjaśnił. – Mam za sobą klasyczną śmierć kliniczną i kiedy mnie przywrócono do życia, zyskałem ten dar. Stale widuję ludzi, którzy

przystanąli pomiędzy życiem a śmiercią.

– Ja właśnie jestem na takim etapie?

– Tak sądzę. Ale trochę mnie zmyliłaś, bo wcale nie wyglądasz na ducha.

– Potraktuję to jak komplement – uznała Tess. – A co z dotykiem? Wczoraj się całowaliśmy.

Otwieram i zamykam drzwi, przebieram się, karmię psa...

Charlie uśmiechnął się blado.

– Jesteś teraz w obu światach jednocześnie. Jedną nogą już tam, jedną jeszcze tu. Tkwisz pomiędzy. – Sięgnął po jej dłoń. – Ludzie, którzy umierają gwałtowną śmiercią, ale nie chcą przejść dalej, mogą niekiedy bardzo silnie zaznaczać swą fizyczną obecność. Potrafią rzucić piłką baseballową, napić się piwa czy spuścić wodę w toalecie. To właśnie oni zapalają nocami światło i niekiedy zrzucają jakieś przedmioty.

– Dlaczego nikogo takiego nie widzę?

– Akurat nie ma tu żadnego ducha poza Samem – odparł Charlie. – Pani Phipps, nauczycielka z gimnazjum, odeszła dziś rano. A strażaka Floria nie widziałem już dłuższy czas.

– Widzisz, Bóg wyrokuje, ile żyjesz i kiedy umierasz – uzupełnił Sam. – Ale kiedy jesteś pomiędzy światami, decyzja należy do ciebie. Możesz tu zostać dłużej, tak jak ja, albo przejść od razu na drugi brzeg. Jak wolisz.

Tess poczuła lęk.

– Dlaczego tata po mnie nie przyszedł? – spytała. – Zawsze byłam przekonana, że będzie tu na mnie czekał.

– Nie martw się – uspokoił ją Charlie. – Będzie na ciebie czekał po drugiej stronie.

– Zdawało mi się, że już jestem po drugiej stronie.

– Każdemu tak się zdaje – odrzekł Sam. – Wszyscy oglądają w telewizji programy o życiu po życiu i czytają książki na ten temat. No i ciągle słyszysz, że po śmierci zobaczysz długi tunel, pójdziesz w stronę światła i już. Koniec, kropka. – Uśmiechnął się i zniżył głos do szeptu. – Tak naprawdę to trochę bardziej skomplikowane. – Wstał i zatoczył dłońmi w powietrzu obszerny krąg. – Wyobraź sobie, że to świat żywych. Dla ciebie w środku tego koła jest Marblehead, a w nim twoja mama, przyjaciele, Bobo... – Zakreślił rękami większe koło. – Duchy są na następnym poziomie. A ty jesteś teraz pomiędzy.

– Możesz to sobie wyobrazić jako stację przesiadkową w drodze z życia do śmierci – dodał Charlie. – Albo jako parking przy autostradzie. Byłem w tym świecie jakieś dziesięć minut.

– Nic nie rozumiem. Jeśli to tylko przesiadka, to co Sam tutaj robi?

Bracia spojrzeli po sobie. Chłopiec wzruszył ramionami i już się miał odezwać, gdy uprzedził go Charlie.

– Mamy umowę.

– Jaką?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Żaden nie odpowiedział.

– No dobra – poddała się wreszcie Tess. – Niech wam będzie, nie musicie mi mówić. Ale chciałabym wiedzieć, czy mam rację: Sam, możesz tu zostać, jak długo zechcesz?

– Tak. – I ja też?

– Sama zdecydujesz, kiedy pójdziesz dalej – potwierdził Charlie.

– Właśnie – zgodził się Sam. – Nie warto się śpieszyć. Można się nauczyć mnóstwa fajnych rzeczy.

– Pokaż jej, co potrafisz – zachęcił go Charlie.

– Nie ma sprawy. – Chłopiec podniósł wzrok do nieba i wykonał rękami nieznaczny kolisty ruch. Jak gdyby na dany znak, z drzew poderwał się wiatr, zawirowały liście. – Nieźle, co?

– Ty to zrobiłeś? – zdziwiła się Tess.

– Łatwizna. Można dmuchać w żagle, dotykać ludzkich twarzy... – Delikatnie kiwnął dłonią, a wtedy lekki powiew przeczesał włosy Charliego.

– Nie miałam bladego pojęcia...

– I jeszcze możemy odwiedzać czyjeś sny – pochwalił się Sam.

– Co to znaczy?

– Możemy wchodzić do ludzkich snów. I znaleźć się tam, dokąd śpiącego prowadzi podświadomość. I mówić wtedy, co chcemy...

– To znaczy, że kiedy śnił mi się tata...

– Oczywiście – potwierdził Charlie. – Duchy mogą odwiedzać sny zawsze, nawet jeśli już przejdą dalej.

– Jesteś pewien?

– Właściwie to niczego nie jestem pewien – przyznał się Charlie – ale wygląda na to, że tak właśnie jest.

Tess pokręciła głową. Za dużo naraz było tego wszystkiego i czuła się przytłoczona. Chwilami aż brakowało jej tchu. Ojciec śnił jej się prawie co noc przynajmniej przez rok po pogrzebie. Zawsze sądziła, że te sny były wywołane jej tęsknotą. A teraz zyskała całkiem nowy punkt widzenia. Wyglądało na to, że tata ją odwiedzał. Już sama nie wiedziała, w co wierzyć. W duszy jej zaczął kielkować gniew, bo jedno rozumiała z całą pewnością: nie miała zamiaru spędzić wieczności, dmuchając w żagle albo błądząc po ludzkich snach. Chciała wracać do życia, żeglować. Pragnęła zaznać pełni istnienia. Chciała kochać.

Raptem na polanie wszystko ucichło. Nawet wiatr zamarł. A Tess ubrała w słowa pytanie, które wydało jej się najważniejsze na świecie.

– A co się stanie, jeśli nie będę chciała pójść dalej? – Wzięła Charliego za rękę. – Jeśli się zdecyduję zostać z tobą?

– Nie ma pośpiechu – odrzekł Charlie. – Nikt nie będzie cię poganiał.

Sam podszedł do niej z drugiej strony i wziął ją za rękę.

– Chodź, Tess.

– Dokąd?

– Oprowadzę cię. Pokażę ci, jak to jest. Chodź, niedługo wrócimy.

Nie bardzo wiedziała, co robić. Nie chciała nigdzie iść. Wolała zostać tutaj, zatrzymać czas, korzystać z chwili, która już nigdy nie wróci.

– Idź, nie bój się – uspokoił ją Charlie. – Będę na ciebie czekał w chacie.

Zajrzała w jego karmelowe oczy i raz jeszcze przeklęła zły los. Niezależnie od tego, jak głupio to brzmiało, fakt był faktem: całe życie czekała na takiego faceta, choć miała go pod samym nosem. Gotowa była płynąć dookoła świata, by znaleźć swoją drugą połowę a on mieszkał tutaj, w Waterside. Najciemniej bywa pod latarnią.

Sam pociągnął ją za rękę.

– No chodź.

Nie bardzo wiedziała, jak to się stało, ale weszła do Lasu Cieni w towarzystwie dawno zmarłego chłopca i jego nieżyjącego psa. Aż się wzdrygnęła. Po kilku krokach obejrzała się przez ramię. Charlie został sam, skąpany w blasku księżyca.

– Obiecujesz, że cię znajdę, jak wrócę? – zawołała.

– Obiecuję.

Sam podniósł głowę i spojrzał na nią wielkimi, cudownymi oczami.

– Nie martw się, on zawsze dotrzymuje słowa.

Dwadzieścia trzy

Umiejętność latania okazała się całkowicie naturalna, choć w zasadzie słowo „latanie” nie było tu najwłaściwsze. Czynność ta zupełnie nie przypominała wyczynów Supermana, który szybował w powietrzu z wyciągniętymi przed siebie ramionami i płaszczem powiewającym na wietrze. Sam wyjaśnił, że taki rodzaj przemieszczania się nosił nazwę podróży duchowej i wymagał wyłącznie posługiwania się umysłem. Wystarczyło sobie wyobrazić, czego się pragnie, i już można było biegać, pływać, nurkować albo prześlizgiwać się między wymiarami. Trochę przypominało to korzystanie z Internetu. Klik – i jesteś tutaj, klik – i już mkniesz tam. Wystarczyło pomyśleć o konkretnym miejscu.

Tess czuła się, jakby poznała kolejny sport ekstremalny, bez żadnych ograniczeń w prędkości czy przestrzeni. Nigdy nie wierzyła w te wszystkie bzdety na temat nadnaturalnych zdolności, ale już po chwili szybowała nad miastem. Najpierw zatoczyła koło nad złoconą chorągiewką na szczycie ratusza Abbot Hall, potem zanurkowała w dół, do przystani, aby popatrzeć na łodzie.

– Lepsze niż PlayStation 2, co? – zapytał Sam, gdy zmaterializowali się na szczycie latarni morskiej.

– Niesamowite – przyznała, wpatrzona w mocny zielony promień światła, prześwitujący przez jej ciało.

Następny przystanek – niedzielne wyścigi podwodne przy Devereux Beach. Na zatłoczonym parkingu zawsze stały półciężarówki z zaparowanymi szybami.

– Charlie mówi, że całowanie się jest jak dobry baseball, tylko bez kija – odezwał się Sam.

– Moim zdaniem to raczej jak futbol, tylko bez walenia ochraniaczami – roześmiała się Tess.

– Całowałaś się kiedyś z dziewczyną?

– Eee... nie. Raz próbowałem, ale Stacie Bing walnęła mnie w nos, aż straciłem przytomność. Obudziłem się w gabinecie dyrektora.

– Coś ty!

– Poważnie.

– A teraz? Tutaj, pomiędzy? Jest tu ktoś w twoim wieku?

– Niespecjalnie. A jak już się ktoś pojawi, to najczęściej od razu idzie dalej. – Wzruszył szczupłymi ramionami. – Dokąd teraz?

Tess zastanowiła się przez chwilę.

– Może do domu mojej mamy?

– Dobra, prowadź.

I natychmiast znaleźli się na wzgórzu Gingerbread, niedaleko stawu Black Joe's Pond. W ukochanym miejscu Tess. Ta sadzawka, niewiele większa od kałuży, stanowiła atrakcję dla dziewięciu pokoleń Carrollów. Latem w niej pływali, zimą jeździli tutaj na łyżwach. Była także schronieniem złośliwych żółwi oraz siedliskiem dumnych czapli.

Tess objęła spojrzeniem nierówny trawnik, gdzie jako dziewczynka biegała między zraszaczami. Dom rodzinny – ujmujący, pełen uroku budynek z dwoma kominami przysiadł nad brzegiem stawu na podobieństwo domku dla lalek. Miał stromy dach, ściany zewnętrzne obłożone poziomymi deskami oraz dwuskrzydłowe okna. Niewiele się zmienił od czasu, gdy wybudował go jeden z przodków Tess, w roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym piątym. Na parterze paliło się światło w saloniku, a w oknie na piętrze rysował się cień psiego pyska. Bobo patrzył na trawnik, prosto na swoją panią, ale nie reagował. Siedział w swoim ulubionym fotelu i czekał, aż Tess wróci do domu.

Na podjeździe zatrzymał się jakiś samochód. Dopiero wtedy dziewczyna zauważyła, że

wokół domu jest ich więcej.

- Ciekawe, kto przyjechał.
- Przyjaciele rodziny – odrzekł Sam.
- O Boże... sporo ich.
- Wygląda na to, że byłaś lubiana.

Znowu poczuła się nieswojo.

- Chodź – powiedziała po chwili. – Przyjrzymy im się z bliska.
- Na pewno chcesz?
- Tak.
- To może być przykre.

Rozpoznała większość wozów, łącznie z czerwonym subaru wielebnego Polkinghorne'a. Wtedy się zawahała. Ostatnim razem duchowny był u nich w domu, gdy umarł tata... Wspomnienie tamtej nocnej wizyty księdza ożywiło w jej pamięci wiele zepchniętych w kąty umysłu obrazów z pierwszego tygodnia po śmierci ojca: nieprzerwany strumień odwiedzających, garnki zostawiane na progu, telefony z wyrazami współczucia. Drugi tydzień był już inny. Przyszło tylko kilku przyjaciół, nikt nie zostawiał jedzenia, a telefon zamilkł. Właśnie wtedy matka Tess uświadomiła sobie, że została sama.

Czy dzisiaj Grace znajdzie siłę, by przejść przez to wszystko jeszcze raz?

Tess zdecydowanie ruszyła w stronę domu. Tylne drzwi były otwarte. Buty ojca, w których chodził na ryby, polowania i na dalekie spacery, stały porządnie w kącie. Właściciel odszedł dwa lata temu, a one pozostały, niosąc pokrzepienie jego żonie.

W kuchni Grace mieszła gęstą zupę. Na twarzy mamy malował się smutek, oczy miała zaczerwienione. Ubrana była w brązową spódnicę i niebieską bluzkę, które do siebie nie pasowały. Włosy podtapirowała i usztywniła taką ilością lakieru, iż od razu było widać, że uczesała się tuż przed przybyciem gości. Po odejściu taty wyglądała tak przez długie tygodnie, a gdy Tess zachęcała mamę, by poświęciła nieco więcej uwagi swojemu wyglądowi, odpowiadała, że kiedy człowiek walczy o pozostanie przy zdrowych zmysłach, ubrania naprawdę nie są ważne.

Dziewczyna stanęła tuż przy matce. Musiała ją przytulić.

Kiedy jednak wyciągnęła rękę, Sam jej przeszkodził.

- Lepiej nie.
- Dlaczego?
- Oni okropnie się tego boją.
- Daj spokój, to niemożliwe.
- Poważnie. Albo są przerażeni, albo chcą tak pozostać na zawsze. Tak czy inaczej, skutki bywają opłakane. Dlatego nigdy ich nie dotykamy.
- Jak to? Czy oni nas nie poznają?
- Nie. Wydaje im się, że mają halucynacje, no i w końcu za dużo piją albo łykają valium.
- Ale zobacz, jaka ona jest roztrzęsiona.
- Możesz robić, co chcesz, nikt ci nie zabroni. Ja ci tylko radzę. Możesz ją przytulić, nawet ucałować, ale w końcu przekonasz się, że są lepsze sposoby na pokazanie, że z nią jesteś.
- Powiesz mi jakie?
- Jasne. Ale szybko sama będziesz wymyślać własne.

Tess zrobiła krok do tyłu i przyjrzała się Grace przygotowującej zupę. Kilka ostatnich składników czekało na kuchennym blacie. Przepis pochodził jeszcze od prababki, należało wziąć dużego łupacza, soloną wieprzowinę, dużo cebuli, pory, marchew – i na koniec – solidną porcję gęstej tłustej śmietany. Od lat toczyły się spory o ten ostatni składnik, zawierający fatalną dawkę śmiertelnego tłuszczu. Grace usiłowała gotować zgodnie z regułami zdrowego żywienia –

zwłaszcza dla George'a – i często nie dolewała śmietany. Tess uważała to za świętokradztwo. Zupę nazywała w takich wypadkach niskokaloryczną i wraz z takimi specjałami jak dietetyczna cola, piwo bezalkoholowe czy odchudzające dania umieszczała ją na swojej czarnej liście znieprawionych produktów żywnościowych. Wyznawała pogląd, iż niektóre potrawy, niezależnie od konsekwencji, jakie trzeba było ponieść po ich zjedzeniu, warte były wszystkich zawartych w nich kalorii oraz całego cholesterolu.

Skrzypnęły kuchenne drzwi i wszedł wielebny Polkinghorne, który od czasu śmierci ojca Tess okazywał Grace wyjątkowe względy. Jak zwykle miał na sobie najnowsze ubrania z katalogu wysyłkowego L. L. Bean: sweter w niebieską kratę, beżowe spodnie, mokasyny od Bluchera.

– Odpocznij chwilę – powiedział. – Pokręcę się tu za ciebie. Potrafię być użyteczny w kuchni.

– Zanieś, proszę, miseczki do jadalni, dobrze?

Gdy Grace wyjmowała naczynia z kredensu, Tess dostrzegła wyśmienitą okazję, by dać matce znak. Skoczyła do kuchenki i, upewniwszy się, że nikt nie patrzy, wlała całą śmietanę do garnka. A potem, z nawyku, rzuciła puste opakowanie do kosza na śmieci, stojącego przy drzwiach. Chybiła jednak, kartonik odbił się od brzegu pojemnika i spadł na podłogę.

Grace obróciła się i od razu dostrzegła pudełko. Podniosła je i wrzuciła do kosza.

– Chyba mi się w głowie poprzestawiało – mruknęła pod nosem.

Wróciła do kuchenki, zamieszała zupę drewnianą łyżką, spróbowała. Prawie doskonała. Wyjęła z lodówki następny kartonik śmietany i połowę wlała do garnka. Zamieszała jeszcze kilka razy, ujęła sagan przez grube rękawice i zaniósła do jadalni.

Tess i Sam poszli za nią. W dużym pokoju panował tłok. Panie z komitetu dobroczynnego Female Humane Society skupiły się w jednym kącie. W drugim Bony oraz inni znajomi z nadbrzeża pociągali jabłecznik. Fraffie Chapman i Myrtle Sweet z Komisji Historii Okręgu w pobliżu przejścia do korytarza rozprawiły o detalach architektonicznych zabytkowych domów. Z odtwarzacza stereo dobiegały stłumione dźwięki „Czterech pór roku”, telewizor z wyłączonym głosem błyskał obrazami, a Bella Hooper, ta od profesjonalnego słuchania, siedziała osobno, cierpliwie czekając na kogoś, kto chciałby się wygadać.

Tess przeszła wokół, przysłuchując się rozmowom, wcale niezdziwiona tym, co usłyszała. Takie chwile zawsze są przykre i niezręczne, ludzie zwykle poruszają bzdurne tematy. Fraffie i Myrtle ubolewały nad chodnikiem na głównych schodach, historycznie niemożliwym do zaakceptowania. Myrna Doliber, właścicielka zakładu pogrzebowego, ukryta pod swoim niezmiennym kaskiem z kruczoczarnych włosów, przycupnęła na kanapie i dzieliła się z kilkorgiem przyjaciół uwagami na temat najnowszych przesądów.

– Jeżeli fotografuje się troje ludzi, to osoba pośrodku z pewnością umrze pierwsza.

Z jadalni dał się słyszeć pozbawiony wyrazu głos Grace, zapraszającej gości na gorący posiłek.

– Chodźcie, chodźcie. – Stojąc przy bufecie, zaczęła nalewać gęstą zupę do misek.

Gdy już wszyscy mieli przed sobą parujące danie, wielebny Polkinghorne odmówił modlitwę:

– Podziękujmy Panu za to, że mamy co jeść, choć inni są głodni, że mamy co pić, gdy innych dręczy pragnienie, i że mamy przyjaciół, gdy inni cierpią samotność – zaczął. – Niech Bóg oświeci swoją światłością naszą ukochaną Tess, gdziekolwiek się ona znajduje. Niech ją otoczy swoją miłością. Tam, gdzie ona, tam jest i Bóg. Niech ją sprowadzi bezpiecznie do domu.

– Amen.

A Tess stała w kącie i przyglądała się, jak goście z apetytem pochłaniają zupę. Potem

nastąpiły te same co zwykle komplementy... W pewnym momencie musiała się uśmiechnąć.

– Rany, ale pychota – zachwyił się Todd Tucker, jej najlepszy pracownik. – Nie żałowała pani śmietany.

– Czy wiecie, że pierwsi osadnicy w Marblehead już od roku tysiąc sześćset dwudziestego dziewiątego gotowali tę zupę wyłącznie na młodym łupaczu? – poinformowała Fraffie wszystkich zebranych, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Grace uśmiechnęła się uprzejmie. Robiła, co mogła, by się trzymać, lecz usta miała zaciśnięte, a spojrzenie – szklane i nieobecne. Jeszcze kilka zachwyłów przyjaciół nad zupą i zaczęła się załamywać. Wątyły uśmiech zniknął z jej warg, oczy wypełniły się łzami. Otarła je ukradkiem.

Tess bardzo chciała coś zrobić, cokolwiek, byle dać znać, że tu jest, byle pocieszyć matkę. Niewiele brakowało, aby rzeczywiście zdecydowała się na jakiś desperacki krok, ale Sam w porę pociągnął ją za łokieć.

– Daj spokój. Musi sobie jakoś sama dać radę. Nie ma innego sposobu.

Zadzwoił gong u drzwi i Grace poszła je otworzyć. W progu stanął Tink, wypełniając prawie całkowicie otwór między framugami. Pochylił się, uściskał serdecznie gospodynię i poszedł za nią do jadalni. Rozmowy przycichły od razu, wszyscy chcieli usłyszeć najnowsze wieści.

– Wszystkie łodzie już wróciły – zaczął. – Znaleźliśmy jeszcze trochę wyposażenia i różnych fragmentów łodzi. Mogą być z jakiegoś kutra. Mogą też być z „Querencji”.

– Nie widzieliście jej? – spytał Bony. – Nie było sygnałów radiowych? Może flary?

– Nie, nic, ale jutro o pierwszym brzasku ruszamy znowu i wtedy na pewno ją znajdziemy.

– Dlaczego chcecie czekać do jutra? – zapytała Grace. – Nie możecie wypłynąć już teraz?

– To bez sensu. Nad wodą wisi mgła i księżyc jest za chmurami... Nie widać nic.

– Jak długo można mieć nadzieję? – chciała wiedzieć Grace.

– Pani zna swoją córkę najlepiej – odpowiedział Tink. – Tess jest dzielną dziewczyną. Nie podda się nigdy, więc ją znajdziemy.

Tess rzuciła Samowi spojrzenie pełne rozpacz. Biedacy. Nadal kurczowo trzymali się nadziei.

Wielebny Polkinghorne zerwał się z kanapy i przyglądał sweter.

– Pomódlmy się...

– Nie – zaprotestowała Grace. – Na razie wystarczy modlitw. – Podeszła do okna, otarła oczy i zapatrzyła się w dal.

Tess przysunęła się bliżej. Serdeczny uścisk z pewnością nie wyrządzi jej krzywdy. Ostrożnie, delikatnie położyła dłoń na ramieniu matki. Grace zeszywniała, wzdrygnęła się, obróciła na pięcie i z przestachem w oczach spieszenie wróciła do gości.

– Miałam przed chwilą okropne uczucie – zwróciła się do wielebnego Polkinghorne'a. – Jakby przeniknął mnie mróz do szpiku kości. Tak samo było wtedy, kiedy umarł George. Ten dom jest chyba nawiedzony.

Tess ogarnął niezmierny smutek.

– Chodźmy stąd – zwróciła się do Sama. – Znikamy.

Wypadła przed dom, na soczystą trawę, pod czarne niebo. Chciała biec, ile sił w nogach, przed siebie, gdzie oczy poniosą. Nigdy dotąd nie czuła się tak całkowicie bezradna. Nie mogła nic zrobić dla mamy. Nie mogła także nic zrobić dla siebie.

Gdyby tylko był tu ojciec... I nagle w jej głowie pojawiła się przerażająca myśl: czy on także przeszedł przez to piekło? Czy patrzył na cierpienie rodziny? Czy siedział w swoim fotelu przy stole w jadalni podczas tych strasznych milczących posiłków? Czy razem z najbliższymi

przechodził żalobę? Dzielił z nimi ból?

Zawsze ją uczono, że zmarli odchodzą do lepszego miejsca, że otacza ich światłość i radują się w towarzystwie aniołów. A jeśli rzeczywistość wyglądała inaczej? Jeżeli śmierć była taką samą męczarnią dla zmarłego jak dla jego rodziny i przyjaciół? Jeśli ból nigdy nie ustawał?

Zeszła nad staw i usiadła na kamieniu. Sam przysiadł obok i milczeli razem przez długi czas.

– Czy tak już będzie zawsze? – spytała wreszcie Tess.

– Nie. Zaczyna się nieciekawie, ale potem jest coraz lepiej. Zobaczysz.

– Który moment był dla ciebie najgorszy?

Sam wstał i puścił kaczkę z płaskiego kamyka.

– Zaraz po wypadku – odpowiedział. – Najpierw byliśmy we dwóch z Charliem i chociaż strasznie się bałem, to nie byłem sam. Charlie akurat mi obiecał, że będzie ze mną zawsze, i nagle zaczął znikać. A ja zostałem całkiem sam w jakimś dziwnym miejscu, które potem okazało się cmentarzem. – Głos mu się załamał. – Później domyśliliśmy się, co się stało: byliśmy we dwóch w przestrzeni pomiędzy światami i paramedyk przywrócił mu funkcje życiowe, dlatego Charlie zniknął. – Rzucił drugi kamyk. – Myślałem, że już nigdy go nie zobaczę. Wtedy byłem przekonany, że to koniec.

– I co dalej?

– Okazało się, że wszystko jest w porządku. Spotykamy się codziennie i gramy w baseball, – Ale to nie to samo.

– Pewnie, że nie – przyznał. – Ale tak sobie obiecaliśmy.

– A co by się stało, gdybyś...

– Gdybym złamał obietnicę? Nic z tego. Mowy nie ma. – Tupnął ze złością.

– Wybacz. Rzeczywiście, wyglądacie na zgrany zespół. – Obserwowała go przez chwilę i poczuła jeszcze większy smutek. Ilu chłopców, takich jak on, trwało w tej nijakiej przestrzeni, kurczowo trzymając się żywego rodzeństwa? Ilu mężów unosiło się pomiędzy życiem a śmiercią, nie mogąc odejść od ukochanych żon? A ilu ludzi tak jak Charlie dzieliło swoje życie z umarłymi, z którymi nie umieli się rozstać w odpowiedniej chwili?

Siedzieli nad stawem i słuchali żabiego chóru. Gdzieś w oddali zaterkotał silnik łodzi. Noc była równie prawdziwa jak zawsze.

Wychodzących gości poprzedził odgłos kroków i szmer głosów. Potem zgasły światła w kuchni i w saloniku. Matka Tess weszła na piętro. W sypialni stanęła przy psie, podrapała go za uszami i kilka chwil wyglądała przez okno. Wreszcie zasunęła zasłony.

Tess podciągnęła kolana pod brodę i objęła je rękami. Czuła się jak drobny pyłek na wietrze. Zagubiona i osamotniona, bardzo potrzebowała pociechy – od jedynej osoby, która mogła przynieść jej ulgę w tę noc samotności.

Dwadzieścia cztery

Wszędzie porozkładał mapy, wydruki z Instytutu Meteorologii oraz informacje o warunkach atmosferycznych z National Oceanic and Atmospheric Administration. Z linijką w jednym ręku i kalkulatorem w drugim, Charlie planował, gdzie zacząć poszukiwania o świcie. Miał w nosie fakt, że supernowoczesny komputer Straży Przybrzeżnej przeanalizował wszystkie dane na temat pływów, prądów oraz temperatury wody i w efekcie przedstawił wynik, iż szanse Tess na przeżycie były prawie równe zeru. W zasadzie zgadzał się z opinią, że sytuacja jest beznadziejna, zwłaszcza że duch dziewczyny pojawił się na cmentarzu, lecz ponieważ rozum nie chciał się z tym osądem pogodzić, a serce ścisnęło się z bólu, niczym tonący brzytwy chwycił się każdego pozytywnego momentu zdarzeń minionej doby.

Cuda na oceanie się zdarzały. Wielu żeglarzy wytrzymało całe dni, tygodnie lub nawet miesiące na tratwach ratunkowych. Mogli też przeżyć przywiązani linami do wraków. Żeby nie szukać daleko, przecież kiedy zeszłego lata „Hornblower” poszedł na dno przy Stellwagen Bank, pięćdziesiąt pięć godzin po zatonięciu łodzi wyłowiono z wody jej kapitana z rodziną, gdy jak korki dryfowali w kamizelkach ratunkowych, połączeni zielonym węzem strażackim od pokładowej pompy. Oczywiście woda była wtedy cieplejsza, ale też należało pamiętać, że Tess kupiła przywoity kombinezon ratunkowy, przewidziany na temperatury poniżej zera. Teoretycznie powinna go mieć na sobie, gdy łódź poszła na dno, więc może jeszcze być żywa.

Z polan w kominku został tylko żar. Wyświetlacz na magnetowidzie wskazywał prawie północ. Niesamowite, jak ten czas pędził.

Nie od razu Charlie zwrócił uwagę na trzy gałęzie pukające w szybę, przyjrzał się im dopiero, gdy stukot stał się głośniejszy. Dziwne. Na cmentarzu panowała całkowita cisza, więc skąd ten wiatr akurat tutaj? Wstał, przyglądał koszulkę, poprawił sznurek w szarych spodniach od dresu i podciągnął jedną z czerwonych wełnianych skarpetek. Wreszcie podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał.

W cieniu pod drzewem stała Tess.

Serce Charliego wywinęło potężnego kozła.

– Boże! Jak dobrze, że jesteś! – Chwycił ją za ramię i wciągnął do środka.

Spojrzała na niego smutno.

– Chyba dzieje się ze mną coś złego – powiedziała. – Nie mogłam zastukać do drzwi. Próbowałam, ale nic z tego nie wyszło. Dlatego musiałam potrząsać gałęziami.

Charlie zdrewniał z przerażenia. Tess najwyraźniej traciła kontakt ze światem fizycznym. Choć miał jak na tacy pierwszy objaw znikania, nadal nie chciał uwierzyć w fatalną prawdę. Wszystkie szczegóły postaci dziewczyny wydawały się równie wyraźne, prawdziwe i rzeczywiste, jak u każdego żywego człowieka. Nie widać było żadnych charakterystycznych cech ducha. Większość z nich ma świecące oczy i błyszczącą skórę. Sam połyskiwał, kiedy światło padło na niego pod odpowiednim kątem, a czasami, gdy poruszał się bardzo szybko, zamazywały mu się kontury ciała. Tess natomiast była zwarta i realna. Stała pośrodku mrocznego pokoju, przypatrując się rozrzuconym mapom i raportom pogodowym.

Charlie położył jej dłonie na ramionach. Odwróciła się i zajrzała mu prosto w oczy. Wyraźnie się bała. Chciał ją objąć, ale go powstrzymała.

– Nie miałabym nic przeciwko temu – wyznała przepraszającym tonem – ale Sam twierdzi, że to wbrew zasadom.

– Sam? A to padalec!

– Mówi, że tego nie da się znieść.

– Jestem gotów podjąć ryzyko. – Objął ją, przyciągnął do siebie i przytulił. W odpowiednich miejscach była po kobiecemu miękka i nie miała w sobie nic z ulotnej zjawy. Nie mógł się mylić, z całą pewnością istniała rzeczywiście, cieleśnie.

Po długiej chwili odsunęła się od niego i opadła na wielką skórzaną kanapę. Oparła się o poduszki.

– Jakoś nie mogę uwierzyć, że umarłam – wyznała. – Nie umiem.

– Opowiedz mi, co robiłaś, zanim tu przyszłaś – poprosił Charlie, siadając obok.

– Poszłam z Samem do mojej mamy – odpowiedziała. – To było nie do zniesienia. Tyle smutku... Nie mogę sobie wybaczyć, że przeze mnie mama musi kolejny raz borykać się z tym wszystkim. – Położyła sobie poduszkę na kolanach. – A Tink, . mój najwierniejszy przyjaciel, ostatni wariat, uważa, że jutro mnie znajdzie. Niech go Bóg błogosławi. Biedna mama... Ona też ciągle jeszcze ma nadzieję. – Niecierpliwym gestem zrzuciła poduszkę.

Charlie objął dziewczynę. Czuł jej drżący oddech. Niemożliwe. Skoro była duchem, nie powinien wyczuwać jej dygotania.

– A ty dokąd się dzisiaj wybrałaś? – spytała Tess.

– Zjrzałem do przystani po najświeższe wieści. – Poglądził ją po włosach. – Straż przybrzeżna twierdzi, że „Querencia” spłonęła. Poznajdowali nadpalone resztki wraku wzdłuż całego wybrzeża półwyspu Cape Ann. Ich zdaniem nie miałaś szans na przeżycie.

– Zgadzasz się z nimi?

– Nie – odparł z przekonaniem. – Uwierzę w twoją śmierć, jeśli znajdziemy ciało.

Tess zapatrzyła się w dogasający ogień.

– Pożar – szepnęła. Zatonęła w myślach. Raptem oczy jej zabłyśły. – Charlie! Boże! Chyba sobie przypomniałam... !

* * *

Łódź dryfowała do góry dnem przez całą wieczność. Tess tkwiła w smolistych ciemnościach kabiny, dusił ją smród paliwa zmieszany z odorem kwasu z akumulatorów i jeszcze na dodatek okraszony wonią sosu do sałatek. Woda dostawała się do środka, ale trudno było określić w jakim tempie. Najgorsze jednak, że „Querencia” wydawała potworne dźwięki. Umierała. Tess modliła się, by ojciec pomógł jej przejść przez tę próbę. I nie zrobiła nic więcej, ponieważ дума nie pozwalała jej włączyć urządzeń alarmowych albo wzywać pomocy przez radio. Pomyśli o tym, jeśli znajdzie się w podbramkowej sytuacji.

Aż w pewnej chwili stał się cud i łódź stanęła jak należy.

Dziękuję ci, tato, jesteś wielki, kochany...

Teraz obawiała się głównie tego, że wyrócona do góry dnem „Querencia” mogła stracić maszt. Przeczłogała się do włazu, odsuwając po drodze garnki, patelnie i inne kuchenne sprzęty. Zapięła kombinezon pod szyję, naciągnęła na twarz maskę i weszła na drabinkę. Na ostatnim stopniu odczekała chwilę, nad słuchując uważnie. Z zewnątrz dobiegał potężniejący ryk sztormu nabrzmiałego wściekłością. Tak czy inaczej, trzeba sprawdzić takielunek. Wstrzymała oddech i pchnęła klapę.

Do kabiny natychmiast wdarł się wichur bryzgający słoną wodą. Tess błyskawicznie przypięła się do linki asekuracyjnej i podciągnęła na pokład. Niebo i morze utworzyły zbitą ścianę bieli – nie było wiadomo, gdzie kończy się jedno, a zaczyna drugie.

Skulona, chłostana gwałtownymi porywami wichru, sprawdzała uszkodzenia „Querencji”. Maszt rzeczywiście zniknął z pokładu, wyrwany jak drzewo z korzeniami. Zostały po nim tylko pokaźne drzazgi szklanego włókna. Szczątki słupa, zaplątane w fały, zwisały za burta, waląc w

nią przy każdym podskoku na fali. Trzeba było szybko odciąć ten taran, w przeciwnym razie przedziurawi kadłub i łódź pójdzie na dno jak kamień.

Pokład skakał pod nogami jak żywy. Z niemałym trudem dotarła do wjazdu kabiny i wyszarpnęła z uchwytu cęgi. Całą wieczność trwało cięcie olinowania z nierdzewnej stali: grotfału, brasów i dwóch szotów.

Wielka fala natychmiast zabrała maszt w otchłań.

Najwyższy czas zajrzeć do kokpitu i sprawdzić instrumenty pokładowe.

Szlag... !

Autopilot nie działał. Ciekawe, od jak dawna. Pewnie wysiadł w przerwie zasilania. Włączyła przycisk uruchamiający, ale nic to nie dało. Zestaw awaryjny także nie działał. Trudno, nie ma wyboru, będzie musiała sterować sama. Tylko dokąd? Zerknęła na kompas, z trudem utrzymując równowagę. Północ, południe... wschód.

Potężna fala uderzyła w pokład, rzucając Tess na koło sterowe. Dziewczyna straciła oddech i zgięła się wpół, z trudem walcząc o powietrze.

Nagle niebem wstrząsnął huczący grzmot. Wyprostowała się, spojrzała w górę i ujrzała oślepiający zygzak, który błyskawicznie rozrósł się w rozjarzoną koronkę obejmującą cały horyzont. Piękny widok. Ale też bardzo niebezpieczny, gdyż piorunochron poszedł na dno razem z masztem. Innymi słowy, nie miała żadnej ochrony.

Znowu pochyliła się nad kontrolkami, usiłując ustalić swoje położenie. Dryfowała bez steru kilka godzin. Trudno powiedzieć, w którą stronę znosiły ją wiatr i prądy, ale przypuszczała, że powinna się znajdować gdzieś pomiędzy...

Nigdy nie dokończyła tej myśli. Łódź podskoczyła gwałtownie, Tess poleciała wzdłuż linki asekuracyjnej, ześlizgnęła się po pokładzie i wyrznęła w słupek z nierdzewnej stali. Uprząż omal nie przecięła jej żeber. Dłuższą chwilę dziewczyna leżała płasko na pokładzie, bezmyślnie gapiąc się w ciemność.

Strasznie ją coś bolało w boku. Ile to jeszcze może potrwać? Pozbierała się jakoś, ruszyła z mozołem w stronę kabiny, zajrzała pod pokład. Woda zakryła już koje i szybko się podnosiła.

Taki moment zawsze wydaje się nieprawdopodobny, lecz Tess właśnie sobie uświadomiła, iż najwyższy czas opuścić łódź. Każdy dobry żeglarz wie, że nie schodzi się z pokładu, póki tratwa ratunkowa nie znajdzie się wyżej niż tonący statek. Wielu straciło życie, bo wybrali nadmuchiwaną tratwę ratunkową i opuścili tonącą łódź, która jednak utrzymała się na powierzchni wody. Niestety, „Querencia” z całą pewnością tonęła. Dlatego też Tess pociągnęła za sznurek ciężkiego pakunku przytrzonego do tylnej części kokpitu. Pojemnik z dwutlenkiem węgla zasyczał, tratwa ratunkowa zaczęła się napełniać gazem.

Teraz pozostały dwa wyjścia: błyskawicznie dostać się pod pokład i uruchomić urządzenie alarmowe albo zostać na górze i skontaktować się ze strażą przybrzeżną na kanale szesnastym, na częstotliwości awaryjnej. Do radia w kokpicie było bliżej, no i urządzenie jakimś cudem pozostało całe. Tess sięgnęła po mikrofon.

Nie zdążyła nawet powiedzieć „mayday”.

Bez żadnego ostrzeżenia, niepoprzedzona gromem, potężna błyskawica uderzyła w pokład. Dziewczyna poczuła falę gorąca i zobaczyła ogień na sterburcie, gdzie wybuchł zbiornik paliwa. Nawet przy tej pogodzie, w środku ulewy, płomienie sięgały bardzo wysoko.

Łódź gwałtownie przechyliła się w prawo. Tess straciła równowagę i całym ciężarem runęła w nicość, utrzymywana tylko przez linkę asekuracyjną. Kilka chwil wisiła głową do dołu. A potem coś pękło, uprząż zwiotczała. Zniknęło ostatecznie połączenie z łodzią. Dziewczyna ześlizgnęła się w odmęty gniewnego oceanu.

Ciskana przez fale, jeszcze raz popatrzyła na ukochaną łódź i obraz, który wtedy ujrzała,

został jej pod powiekami na zawsze: „Querencia” stała w ogniu, objęta rażącą bielą rozszalałej burzy i wściekłych grzywaczy tryskających pianą.

Dwadzieścia pięć

– Zostawiłbyś Sama? – Pytanie Tess zawisło w purpurowej łunie bijącej z kominka.

Może chcieli się odciąć od niezaprzeczalnych faktów, a może poddali się wzajemnemu urokowi – tak czy inaczej, porzucili smutny temat i zaczęli śnić na jawie, opowiadając sobie, jak mogłoby wyglądać ich wspólne życie. – Czy wyprowadziłbyś się z cmentarza? – Oparła głowę na ramieniu Charliego. – Wybrałbyś się ze mną w podróż dookoła świata? – Sama nie wierzyła, że zadaje to pytanie, ale prawda była właśnie taka: już nie chciała nigdzie płynąć sama. Chciała być z Charliem.

– Nie masz pojęcia, jak żegluję – odparł. – Uważaj, co mi proponujesz.

– Nie kpij ze mnie. Pytam poważnie. – I sama nie wiedząc kiedy, zadała pytanie odrobinę zbyt bezpośrednio: – Czy zamierzasz zostać tu z Samem na zawsze?

Charlie potargał jej włosy.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że czytałem książkę o walkach byków? Jest tam opisana taka sytuacja... nazywa się *al alimon*: dwóch matadorów drażni byka, trzymając z dwóch stron tę samą mulętę. Jeśli nie są idealnie zgrani, taki występ można nazwać samobójstwem. W Hiszpanii mówi się, że tylko bardzo zżyci bracia, którzy doskonale znają wzajemnie swoje reakcje i myśli, potrafią rozegrać taką walkę.

– Ty i Sam.

– Nie umiałbym bez niego żyć. – Pocałował ją w czoło.

Poczuła się na tyle pewnie, że zadała jeszcze jedno pytanie.

– A co z nami? Co będzie z tobą i ze mną?

Przytulił ją mocniej.

– „Sercu zaufaj, gdy morze w ogniu stanie” – przypomniał słowa wiersza cytowanego na pogrzebie jej ojca.

– „... i żyj miłością, choć gwiazdy pędzą wspaniałe” – dokończyła.

– Chciałbym wykorzystać każdą chwilę, jaka nam została. – Delikatnie pocałował ją w policzek. – Chodź ze mną. – Wstał z kanapy. Tess nie bardzo wiedziała, co robić. Kominek zgasł, w pokoju paliła się tylko jedna świeca, ustawiona na stoliku do kawy, i panowała całkowita cisza.

– Chodź na górę – poprosił Charlie. – Nie bój się, nie gryzę.

– Nic z tego nie będzie – powiedziała Tess. Wrócił do niej smutek. – To niemożliwe. Nie potrafiłam nawet zastukać do drzwi. Właściwie już mnie tu nie ma.

– Czujesz coś? – Pochylił się i pocałował ją w kącik oka, tuż na granicy rzęs.

– Pewnie.

– A to czujesz? – Pogłodził ją po ramionach.

– Tak.

– Nadal jesteś pomiędzy. I tu, i tam. Jeszcze nie przeszłaś na drugi brzeg. Jeszcze wszystko jest możliwe.

– Niezły tekst – odrzekła. – Teraz już wiem, jak podrywasz panienki z cmentarza. – Szturchnęła go w żebra.

Charlie wziął świecę ze stolika i przeszedł na drugi koniec pokoju.

– Tędy proszę – powiedział.

Tess ruszyła za nim przez mroczny salon, a potem stromymi schodami w górę i wreszcie krótkim korytarzykiem – do sypialni. Był to niewielki i przytulny pokój ze skośnym sufitem wspartym na grubych belkach. Prawie całe miejsce zajmowało wielkie drewniane łóżko. Charlie postawił świeczkę na nocnym stoliku. Zdjął koszulkę i wyciągnął się na pościeli. Tess doskonale

widziała jego szerokie bary, imponującą klatkę piersiową oraz nieprzyzwoicie nisko opuszczone luźne spodnie. Przez chwilę miała ochotę odegrać rolę trudnej do zdobycia i kazać mu się pomóc. Ot, taka pozostałość po latach przykrych doświadczeń i rozczarowań. Szybko jednak uświadomiła sobie, że byłoby to tragicznie śmieszne. Nie czas na gierki. Musi się zdecydować – teraz albo nigdy.

– Powiedz mi – poprosiła – robiłeś już kiedyś coś takiego?

– Masz na myśli kochanie się z duchem już na drugiej randce? – W policzku Charliego znów pojawił się ten niemożliwy dołek.

– Nie przeciągaj struny, kolego. – Odpięła spinkę z włosów i rozrzuciła je na ramiona. Zaczęła rozpinąć koszulę.

I raptem zauważyła tę nieznaczną zmianę. Kontury jej dłoni poszarzały. Skóra zbladła. Nawet dotyk ubrania był inny. Wszystko stało się nieco mniej materialne. Nie od razu zrozumiała, co się dzieje, ale wreszcie pojęła.

Zaczynała znikać.

To odkrycie obudziło w niej przerażenie. Przecież to już nieodwołalny koniec. Wkrótce zmieni się w nicość. Bez sensu! Sam powiedział, że będzie mogła sobie wybrać czas odejścia. A ona była całkowicie zdecydowana zostać jeszcze w świecie żywych. Zamierzała być tutaj, z Charliem.

– Co tak długo? – spytał.

– Spokojnie, proszę pana. – Nie bardzo wiedziała, co robić, ale skoro czekał z otwartymi ramionami... Rozpięła ostatni guzik, zrzuciła buty i wylądowawszy na łóżku, zdmuchnęła świecę. Nie chciała, by widział, że znika. Nie chciała mu zdradzić, że to początek końca.

Położyła się na nim, skuszona ciepłem jego ciała. Najpierw ich dłonie splotły się palcami, potem Charlie objął Tess w talii, a ona gładziła go po włosach, po karku, po ramionach. Pocałunek złączył ich jak dobrze znana historia o początku, trwaniu i końcu. Potem pokryła pocałunkami jego czoło, twarz i ramiona. Gdy zsunęła dłonie na piersi Charliego, wyczuła nieznaczące zgrubienia.

– Co to za blizny? – spytała.

– Pamiątka po reanimacji.

Uczciła każdą z nich czułym pocałunkiem i przesunęła się niżej, obdarzając należnym zachwytem pięknie umięśniony brzuch i wąskie biodra. Kiedy rozwiązała i zsunęła mu spodnie, gdy ujęła go w ciepłe dłonie, dokonała kolejnego wspaniałego odkrycia: oto miała przed sobą najdoskonalszego mężczyznę na świecie.

Nie zamierzała wypuszczać z rąk tego skarbu, ale Charlie przetoczył ją na plecy, rozpiął suwak jej dżinsów i ściągnął je jednym płynnym ruchem. Był imponująco silny, a co więcej, doskonale wiedział, co i jak robić.

Uniósł ją, jakby nic nie ważyła; czuła się w jego objęciach bezpiecznie, więc też cały niepokój wkrótce gdzieś się ulotnił. Długo rozkoszowali się pocałunkami, aż nadszedł czas, by powoli i miękko dopasować się do siebie nawzajem. Tess po raz pierwszy pozwoliła sobie na całkowite zapomnienie i w chwili absolutnego zjednoczenia przestała myśleć, gdzie był on, a gdzie ona.

Leżeli potem przytuleni do siebie z całej siły. Tess bała się rozluźnić uścisk choćby odrobinę, kurczowo trzymając się miłości i życia.

Po niedługim czasie znów odnaleźli wspólny rytm. Tym razem wzniesli się na szczyty, których istnienia nawet nie podejrzewała w czasach szalonych młodzieńczych zrywów. Każdą komórką ciała Tess przeżywała wymarzoną od zawsze rozkosz, choć dawno już porzuciła nadzieję, że kiedykolwiek będzie jej dane skosztować takiego uniesienia.

Później, gdy odpoczywali, a Charlie położył głowę na jej brzuchu, popłynęły jej z oczu łzy.

– Nie płacz – poprosił.

– Nic na to nie poradzę. Chcę być z tobą. Nie chcę odchodzić.

– Nie martw się. Nie ma pośpiechu.

Tyle tylko, że w ciemnościach nie widział, jak ona znika.

Wczepiła dłonie w jego włosy, przesunęła palcami po plecach. Przyciągnęła go do siebie jeszcze raz. Nie chciała tracić ani chwili. Nie było czasu na odpoczynek i sen, bo mieli dla siebie tylko tę jedną noc.

* * *

„Nie ma pośpiechu”.

Sami siebie okłamujemy, pomyślał Charlie. Okrywał pocałunkami szyję Tess, jej ramiona, piersi. Takie ciepłe, takie miękkie.

Wiła się pod nim i wyginała, a on ciągle miał poczucie ulotności tego uniesienia. I przez to był jeszcze bardziej zachłanny. Przesunął językiem wzdłuż jej boku, po brzuchu, pieścił wszystkie zaokrąglenia i sekretne zakątki kobiecego ciała. Całował biodra, uda, aż Tess zaczęła chichotać.

– Nie laskocz!

– Wszystkie chwytaki dozwolone – stanowczo oddalił jej protest.

Wcześniej, gdy dopiero co znaleźli się w łóżku, i później, kiedy się pierwszy raz połączyli, brali udział w tajemniczym doświadczeniu. Czy dane im będzie się dotykać, czy uda im się kochać? Czy to w ogóle możliwe? Z niedowierzaniem, z wahaniem napierali na siebie, trochę jak nieprzyjacielskie siły na polu walki, i podnieceni ścierali się w miłosnej bitwie, usta przeciw ustom, dłonie mocujące się z dłońmi.

Teraz stworzyli całość doskonałą. Bez żadnego oporu, bez dystansu. Dwa ciała złączyły się w sposób trudny do wyobrażenia.

Odsunęli na bok obawę przed niemożnością spełnienia i razem zatarcili się aż do końca.

Dwadzieścia sześć

Pasat zakołysał hamakiem, marszcząc flagę na maszcie „Cataliny 400”. Stali na kotwicy gdzieś pomiędzy małąkimi bezludnymi wysepkami u wybrzeży Belize. Tess siorbała mleczko z kokosa. Trąciła Charliego nosem i podsunęła mu słomkę. Pociągnął łyk i pocałował dziewczynę w usta, potem w brodę, w szyję... Czuł olejek do opalania, morską sól oraz ten wyjątkowy, jedyny w swoim rodzaju i niepowtarzalny aromat, którym pachniała wyłącznie ona.

Raptem znalazła się na nim i pieściła go z zapalem, aż hamak zaczął się kołysać, a orzech kokosowy spadł, odbił się od pokładu i z pluskiem wylądował w oceanie. Tess była wszędzie, tańczyła w rytm jakiejś pierwotnej muzyki.

Z początku wszystko działo się szybko, potem świat zwolnił rytm. Hamak znieruchomiał. Twarz przy twarzy. Rozchylone usta Tess, kosmyki jej włosów muskające jego tors. Jej ciężki oddech, zduszone jęki. Napięte ciało, ramiona ściskające go z całej siły, coraz mocniej napierające biodra. Jedną ręką objęła go za szyję.

– Kocham cię – powiedziała.

W jej oczach odbijały się słońce i niebo.

Właśnie i on miał wyznać jej miłość, gdy odezwał się gong. Charlie podniósł głowę, rozejrzał się po pokładzie. Na rufie trzepotała amerykańska flaga. Byli sami, ale gong odezwał się znowu, teraz bardziej przypominał walenie w patelnię.

– Co to? – spytał.

Tess nie odpowiedziała. Wzrok miała nieobecny. Nie wiedzieć czemu nagle wydała się już nie tak realna. Charlie ze wszystkich sił starał się zlokalizować źródło hałasu.

– St. Cloud! – odezwał się jakiś męski głos. – Charlie! Jesteś tam?

Otrząsnął się ze snu. Otworzył oczy i przetoczył na brzuch. Pomacał obok, szukając Tess.

Zniknęła.

– Tess?! – Serce podeszło mu do gardła. Wskoczył z łóżka, rzucił się do okna.

Cmentarz spowijał srebrny całun deszczu. Hałas zapewne powodował Tink, wieszający się na dzwonie w cmentarnej przystani. Sto lat temu był to najpewniejszy sposób ściągnięcia grabarzy, gdy do kei przybijała łódź z trumną z North Shore.

– Spokojnie! – mruknął pod nosem. – Słyszę, słyszę! – powiedział głośnie. – Już idę! – Urwał się i chwycił ubranie rzucone na fotel.

I wtedy dostrzegł list zostawiony na poduszce. Serce zabiło mu jak szalone. Gorączkowym ruchem rozłożył kartkę.

Kochany!

Pisząc ten list, ledwo widzę własną rękę. Jestem pewna, że rano już byś mnie nie zobaczył. Dlatego muszę odejść teraz, zanim się obudzisz.

Przykro mi odchodzić bez pożegnania, ale tak będzie lepiej. Nie chcę, żebyś mnie widział w takim stanie... wolę, byś zapamiętał wspólnie spędzony czas.

Chciałam zostać dłużej. Moglibyśmy spróbować razem tego i owego... Zamierzałam uczyć się od Ciebie gotować, wybrać się z Tobą na mecz... Patriots, oczywiście, a może nawet popłynąć w rejs dookoła świata. Tak czy inaczej, nigdy nie zapomnę, że obudziłeś moje serce z odrętwienia, że dzięki Tobie poznałam uroki życia, jakich w ogóle nie podejrzewałam.

Sam powiedział, że czas przejścia zależy tylko ode mnie, ale najwyraźniej rzeczywistość wygląda inaczej. Chciałam zostać z Tobą, być przy Tobie blisko, niestety, nie mogę.

Nie chcę odchodzić, ale też z ufnością patrzę w przyszłość. Już się nie boję. Moim zdaniem

przeznaczone nam było się spotkać. Mówiłeś, że wszystko ma swoją przyczynę, a ja Ci ufam, więc choć teraz nie potrafię zrozumieć takiego obrotu spraw, na pewno przyjdzie czas, gdy dotrę do sedna.

Kiedyś znowu będziemy razem. Wierzę w to całym sercem. Do tego czasu musisz „ścigać marzenia”. Chciałabym, żebyś zaufał głosowi serca i żył miłością. A kiedy będziesz gotów, odszukaj mnie. Będę na Ciebie czekała.

Kocham Cię

Tess

Charlie zdrętwiał z przerażenia. Jasna cholera! Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Jak mógł pozwolić jej odejść?!

Prędko narzucił ubranie i wetknął złożony list do kieszonki na piersi. Zbiegł ze schodów, wypadł przed dom. Nawet nie wziął płaszcz. Biegiem ruszył przez trawnik, mijając zygzakiem nagrobki i rozbryzgując kałuże. Tink bez przerwy walił w dzwon. Gdy wreszcie stanęli twarzą w twarz, był wściekły jak rozjuszony byk.

– Sterczę tu dwadzieścia minut! – wrzasnął. – Co tak długo?

– Przepraszam... – Deszcz był zimny, koszulka Charliego dawno przemokła.

– Gotowy jesteś? Płaszcz nawet nie wziąłeś.

– Jesteśmy spóźnieni – powiedział Charlie grobowym głosem. – Już za późno.

– Za późno? Na co? Jedynym spóźnionym jesteś ty!

– Już nie ma sensu szukać. – Woda strumieniami spływała mu po twarzy i ramionach.

– Dlaczego?

– Tess nie żyje.

– Skąd wiesz? Hoddy dzwonił? Jeszcze wczoraj byłeś przekonany, że musimy jej szukać.

– To prawda – przyznał Charlie, ocierając twarz. – Ale się myliłem.

– Co ty gadasz, człowieku?!

– Już jej nie znajdziecie. Umarła.

– Do cholery, St. Cloud, kompletnie ci odbiło. – Uruchomił silnik. – Płynę bez ciebie. Szlag by cię, bez sensu straciłem przez ciebie tyle czasu! – Odepchnął się od kei i klnąc na czym świat stoi, wpłynął w przesmyk.

Charlie długo stał bez ruchu, zmarznięty i przemoknięty do suchej nitki. Patrzył na łódź Tinka, znikającą we mgle. Jego serce powoli otaczało się stalowym pancerzem. Wznosiło fortyfikacje chroniące przed uczuciami. Wkrótce mury obronne będą gotowe. Z wprawą nabraną przez trzynaście lat Charlie zmusił swój umysł do zignorowania bólu.

Poniedziałek rano. Początek tygodnia. Niedługo przyjdą robotnicy. Trzeba będzie kopać groby. Przycinać żywopłot. Ustawiać nagrobki. A kiedy skończy się dzień pracy, przyjdzie czas na spotkanie z młodszym bratem. Wszystko po staremu, nic się nie zmieniło.

Ale zmieniło się wszystko.

Dwadzieścia siedem

Dzień był fatalny, nawet jak na pogrzeb. Chowali dzisiaj Abrahama Baileya, jednego z najbogatszych mieszkańców miasta, który zmarł we śnie. Na wschodnim stoku Charlie, kuląc się na wietrze, przygotowywał grób. Dobry stary Abe o rok przekroczył setkę. Wedle chorobliwych kalkulacji pracowników cmentarnych oznaczało to głównie, że trumna będzie lżejsza, a co za tym idzie, praca łatwiejsza. Ludzie po setce zwykle wazyli niewiele.

Charlie skwitował tę myśl lekkim wzruszeniem ramion. Z takimi właśnie ponurymi wydarzeniami będzie się stykał codziennie do końca życia. Podobnie jak żelazna brama i kamienne mury, stanowiły one smutną rzeczywistość wyznaczającą istnienie cmentarza. Tak samo jak chłód w powietrzu. Bał się nadchodzących zimnych miesięcy, a cmentarz zawsze był najzimniejszym miejscem w całym hrabstwie. Latem marmurowe i granitowe pomniki chłoneły ciepło i podnosiły temperaturę otoczenia, natomiast zimą, gdy padał deszcz, a potem śnieg, kamienie emanowały chłodem i pogarszały pogodę.

Krok po kroku Charlie przechodził od jednej do drugiej rutynowej czynności. Wykopał dół odpowiednich rozmiarów, pokrył stertę ziemi sztuczną trawą, ustawił podnośnik. A pamięć podsuwała mu bolesne wspomnienia: błyszczące oczy Tess, jej głośny śmiech, smukłe nogi. U stóp wzgórza, nad sadzawką, zobaczył ją po raz pierwszy... Stop!

Zajmij się pracą.

Trzeba rozbić namiot. Rozstawić krzesła. Ułożyć kwiaty.

Czuł się chory. Jakby stracił równowagę, zgubił rytm. Jego świat, składający się z nagrobków i mauzoleów, stał się nagle niepewny i niestabilny. Charlie oparł się na łopacie i zajrzał w błotnisty dół. Nie mógłby się pochwalić wykonaną właśnie pracą. Ściany były nierówne, ale też, z drugiej strony, tylko on wiedział, jak powinny wyglądać. Zgarnął do środka kilka zbłąkanych grud błota i wyrównał powierzchnię wokół grobu.

Następnie wziął z wózka sekator. Najwyższy czas okiełznać chociaż trochę te dzikie krzewy, które doprowadzały do furii Frffie Chapman i całą Komisję Historii Okręgu. Dawny Charlie opierałby się naciskom entuzjastów historii jeszcze przynajmniej rok, a może i dwa, natomiast nowemu już na niczym nie zależało. Po co toczyć boje? Najlepiej zacząć przycinanie jeszcze przed pochówkiem Baileya, potem, po zakończeniu ceremonii inni pracownicy mogą skończyć pracę. Strącił trochę suchych liści na samym dole, skrócił o kilka centymetrów gałązki na górze i przyciął parę z boku.

Staął bez ruchu.

Stracił chęć do pracy. Nie chciało mu się nic robić. Nie miał po co żyć. W dali zabrzmiał odtwarzany z taśmy dźwięk dzwonów z kaplicy. Charlie słuchał i myślał. O spacerze po cmentarzu. O szalonej nocy. Kolejne obrazy zasmucały go coraz bardziej, aż w końcu spowily jego umysł szarą watą rozpaczy. Przez trzynaście lat dawał sobie radę z bólem i tragedią, uczuciami, nieodmiennie kojarzonymi z cmentarzem, a teraz nie potrafił sobie wyobrazić, jak znieśie to przez następne czterdzieści. Czy rzeczywiście chciał spędzić całe swoje życie właśnie tutaj i w końcu zostać pochowanym obok brata, z lśniącą mosiężną kosiarką do trawy na grobie? Co robić, jak udawać, że życie bez Tess ma jakkolwiek sens?

Kątem oka dostrzegł na stoku mężczyznę ciężko stąpającego między nagrobkami. Był już prawie przezroczysty. Włosy miał starannie zaczesane do tyłu i utrwalone żelem, ale kontury strażackiego munduru już się zamazały. Florio Ferrente wyraźnie zniknął.

– Dzień dobry – powitał Charliego.

– Nie widziałem tu pana ostatnio.

– Byłem zajęty – wyjaśnił strażak. – Staralem się zaopiekować żoną i synem.

Charlie oparł sekator o pomnik.

– Jak sobie radzą?

– Nie najlepiej. Nie umieją się pogodzić z moją śmiercią. Francesca właściwie w ogóle nie śpi, a mały ciągle płacze.

– Fatalnie.

– Charlie, mam do ciebie pytanie. – Florio wydawał się dziesięć lat młodszy i dziesięć kilogramów lżejszy. Już był gotów do przejścia. – Chciałbym wiedzieć, jak długo trwa ból? Cierpienie Franceski dręczy także mnie, jakbyśmy byli połączeni.

– Jesteście połączeni – odparł Charlie. – I będziecie cierpieć, dopóki więź nie zniknie. – Zamilkł na chwilę. – Trudno powiedzieć, jak długo to potrwa.

– A jak jest z tobą? – spytał Florio, przyglądając mu się uważnie. – Masz to już za sobą?

– Chyba tak. Dlaczego pan pyta?

– Z ciekawości. – Strażak włożył na głowę hełm, zaciągnął pasek. Z chwili na chwilę robił się coraz bardziej przezroczysty.

– Chce pan spytać o coś jeszcze?

– Sporo ostatnio rozmyślałem... Całe życie chodziłem do kościoła i czytałem Księgę Koheleta... Tam stoi napisane, że jest odpowiedni czas na każde zdarzenie i na każdy czyn. Czas płaczu i czas śmiechu, czas miłowania i czas nienawiści, czas szukania i czas tracenia. – Zamilkł na dłuższą chwilę. – Widzisz, Charlie, to nieprawda, Pismo Święte się myli. Nie starczy w jednym ludzkim życiu czasu na każde zdarzenie i na każdy czyn. – Z oczu popłynęły mu łzy, otarł je blednącą dłonią. – Pamiętasz koniec mojego pogrzebu? Wielebny Shattuck powiedział: „Niech spoczywa w spokoju”. Co za potworna bzdura! Ja nie chcę odpoczywać. Ja chcę żyć. – Pokręcił głową. – Ale już nie dano mi czasu. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Rozumiem.

Florio potoczył wzrokiem po rozległym trawniku upstrzonym granitowymi płytami.

– Powinienem już iść.

– Na pewno nie chce pan zostać?

– Na pewno – oświadczył Florio stanowczo. – Zwróć czasem uwagę na moją rodzinę – poprosił.

– Dobrze.

Podali sobie ręce, a Florio przyciągnął Charliego do siebie i objął. Charlie już nie pamiętał, jakie to uczucie, znaleźć się w niedźwiedzim uścisku tak silnego mężczyzny. Gdy się od siebie odsunęli, dostrzegł na szyi strażaka złoty wisior; rozpoznał medalik z wygrawerowaną postacią świętego Judy Tadeusza, patrona spraw trudnych i beznadziejnych, trzymającego wiosło i kotwicę.

Florio ścisnął Charliego za ramię.

– Pamiętaj, Bóg ma dla ciebie jakąś misję do wypełnienia – powiedział.

I odszedł. Połyskujący olbrzym wolno zniknął między nagrobkami.

* * *

– Na pewno wiesz, co robisz? – spytał Joe Ateista, wtykając do przegródki swoją kartę pracy.

– Dopiero trzecia.

Pozostali pracownicy ustawili się za nim, ponieważ Charlie zwołał wszystkich i dał im wolne popołudnie.

– A co, nie chcesz iść wcześniej do domu? – spytał Charlie. – No to na pewno znajdę ci coś

do roboty.

– Nie ma sprawy – wycofał się Joe. – Już się zmywam. Będę dzisiaj pierwszy w Rip Tide. Przyjdiesz?

– Nie, raczej nie.

– Stary, wszystko w porządku? Coś kiepsko wyglądasz.

– Wszystko w porządku. Do jutra.

Charlie zdawał sobie sprawę, że niezbyt skutecznie ukrywa ból i rozpacz. Zachował się dziwnie, zwalniając robotników wcześniej w poniedziałek, najbardziej pracowity dzień tygodnia. Ludzie najczęściej umierali na zawał serca właśnie w poniedziałek. Zwykle powodem było nadmierne korzystanie z uroków życia podczas weekendu albo stres spowodowany powrotem do pracy i perspektywą całego tygodnia w kieracie. Wczesnym popołudniem z zakładów pogrzebowych przychodziły zamówienia na nowe groby. Schemat ten dotyczył wszystkich cmentarzy świata.

Charlie jednak skończył z pracą na dzisiaj. Nie obchodziło go, że dokumenty pozostaną niewypełnione, a żywopty i cisy nadal będą się dziko rozrastały.

I tak, gdy ostatni z pracowników odbił kartę, pojechał służbowym wózkiem do swojej chatki pod lasem. Poszedł prosto do barku i wyciągnął butelkę jacka danielsa. Przed sobą miał ścianę obwieszoną mapami, na których koncentryczne koła definiowały jego życie.

Dziś słońce zajdzie o osiemnastej dwadzieścia dziewięć.

Nalał sobie solidną porcję, opróżnił szklanekę jednym haustem i od razu napełnił ją ponownie. Bardzo rzadko w ogóle pił alkohol, a nigdy sam. Tym razem chciał zagłuszyć ból. Opróżnił szklaneczkę i nalał sobie whisky po raz trzeci. Po chwili zaczęło mu się kręcić w głowie, opanowały go dziwaczne myśli.

Dosyć koszenia trawników. Koniec z kopaniem grobów. Miłość do Tess i uniesienia ostatnich dni uświadomiły mu, ile poświęcił i jak wiele zmarnował przez długich trzynaście lat. Zupełnie jakby nie tylko Sam, ale i on stracił życie w wypadku.

Dłuższą chwilę myślał o bracie i danej mu obietnicy. Z początku dar widzenia ducha wydawał się cudownym błogosławieństwem. Teraz jednak Charlie uświadomił sobie, że obaj z Samem ugrzęźli w pułapce zachodów słońca. Stanowili własne lustrzane odbicia, kurczowo trzymali się jeden drugiego, uciekając przed tym, co czekało ich poza terenem cmentarza, odgradzonym od życia żelazną bramą.

To już koniec. Dosyć codziennego czekania na zachód słońca, by pograć w baseball z ukochanym bratem. Koniec poruszania się w granicach wyznaczonych przez kręgi na mapie. A przede wszystkim – dosyć samotności. Koniec.

Florio miał rację. Dano mu drugą szansę, a on ją zmarnował.

* * *

Z początku zaświtała mu w głowie niewyraźna myśl. Pojawiła się już kiedyś, trzynaście lat wcześniej, kiedy umarł Sam. Wtedy zepchnął ją w najmroczniejsze zakamarki umysłu, bo tam było jej miejsce. A teraz nastąpił efektowny, dramatyczny powrót. I tym razem bardzo trudno było jej się oprzeć.

„Odszukaj mnie”, napisała Tess. Proszę, jaka prosta odpowiedź na wszelkie wątpliwości. Skoro nie potrafił jej znaleźć na ziemskim padole, to przecież mógł dołączyć do niej gdzie indziej. Co go trzyma na tym świecie? Przecież może w każdej chwili przejść do następnego. Skończyć ze sobą, łatwo i szybko. Uciąć ból.

A co najważniejsze, wtedy będą z Tess już na zawsze razem. I dotrzyma obietnicy złożonej

Samowi – poprowadzi go na drugi brzeg.

Przełknął kolejną porcję whisky, aż zapiekło go w gardle. Czy to rzeczywiście taki szalony pomysł? Czy ktokolwiek będzie za nim tęsknił? Nie. Matka mieszkała na drugim końcu kraju i miała nową rodzinę. Pewnie nawet nie zauważy jego zniknięcia.

Więc na co czekać?

Podszedł do map i zdecydowanymi ruchami zdarł je ze ściany. Tam, dokąd się wybiera, nie będzie ich potrzebował. Pokój wirował coraz szybciej. Charlie chciał się przytrzymać lampy, ale nie zdołał i runął jak długi. Łupnął o podłogę z głuchym łoskotem, uderzył głową w drewnianą deskę. Czas jakiś leżał ogłuszony, wreszcie spróbował zmusić do pracy oszołomiony mózg. Nie pamiętał nawet, o czym przed chwilą myślał. Wzrok mu się mącił, w głowie huczało.

I wtedy nagle powróciła ta myśl. Stanowiła doskonałe rozwiązanie wszystkich problemów. Pozostało tylko jedno pytanie. Jak odebrać sobie życie?

Dwadzieścia osiem

„Odszukaj mnie”...

Zobaczył te słowa od razu po otwarciu oczu. Miał przed twarzą list Tess. Całe ciało go bolało, w ustach miał potworny niesmak. Przez okna wpadały ukośne strumyki światła. Najwyraźniej deszcz ustał. Charlie rozejrzał się po pokoju: na podłodze leżały zerwane ze ściany mapy, podarte tabele z godzinami zachodów słońca i pusta butelka po jacku danielsie.

Usiadł i potarł skronie. Która to godzina? Spojrzał na zegar na kominku. Siedemnasta trzydzieści pięć. No nieźle, był nieprzytomny prawie godzinę. Ostatnie, co pamiętał, to zdzieranie map ze ściany. Potem najwyraźniej stracił przytomność.

Przez opary alkoholu, przez zasłonę snu, zaczął się przebijać jakiś obraz, straszliwie niekompletny. Charlie był na wodzie. W czasie sztormu. Fale sięgały nieba, w górze pieniały się bielą. Płynął kutrem straży przybrzeżnej. I to koniec. Reszty nie pamiętał. Starał się odtworzyć w głowie dalszy ciąg, ale pamięć go zawiodła. Whisky zamazywała obrazy ze snu.

Zebrał z podłogi strzępy papieru i odruchowo złożył w całość trzy fragmenty mapy ukazującej North Shore, od Deer Island i Nahant, obszar wokół Cape, aż do Plum Island i Newburyport. Dołożył jeszcze cztery kawałki sięgające od Hampton Beach do Cape Elizabeth, obejmujące Boon Island i Cape Porpoise.

Z niemalym zdumieniem spostrzegł, iż jedna część przetrwała jego atak właściwie nienaruszona. Leżała osobno, a promień słońca błyszczał na wysepkach Shoals. Prąd powietrza przesunął kartkę w jego stronę. Czy to Tess usiłowała dać mu jakiś znak? Czy próbowała go poprowadzić? Chwycił mapę, obrócił ją w jedną stronę, potem w drugą, przyglądając się uważnie. Widział obszar od Provincetown do Mt. Desert Island w stanie Maine, od Cape Ann aż po Bigelow Bright. Przyglądając się konturowi wybrzeża, przesunął palcem po niewielkich wysepkach oddalonych nieco ponad dziesięć kilometrów od stałego lądu.

Raptem podskoczyła mu adrenalina, a kac gwałtownie zniknął. Myśli gonily jedna drugą jak na wyścigach. Czy to Tess podsunęła mu tę mapę? Czy w ten sposób przesłała mu wiadomość? Czy też był to tylko wytwór wyobraźni, zamroczonego alkoholem umysłu?

Przycisnął skrawek papieru do piersi. Jako chłopiec żeglował po okolicy z prawdziwą pasją, więc znał brzeg morza jak własną kieszeń. Niejeden raz zwiedzał dziewięć skalistych wysepek nazywanych Isles of Shoals, wdrapał się nawet na czubek starej latarni morskiej. Wiedział doskonale, gdzie woda jest płytsza, gdzie w czasie przyływu ukrywają się rafy. Często wyprawiał się tam na ryby, łapał całe wiadra dorady błękitnej i makreli.

„Odszukaj mnie”...

Samotne wysepki na granicy między New Hampshire i Maine znajdowały się daleko poza obszarem poszukiwań prowadzonych przez straż przybrzeżną. Pierwsze szczątki wraku wyłowiono osiemnaście mil morskich na południe od Halibut Point, a spaloną tratwę ratunkową jeszcze dalej.

Niewiarygodne.

A jednak. Szukali nie tam, gdzie trzeba.

Tess czeka na niego! Jak mógł tego nie zrozumieć?! Głupiec! Zmarnował cały dzień!

Zerwał się jak oparzony i chwycił telefon. Zadzwoi najpierw do Hoddy'ego Snowa, potem zaalarmuje straż przybrzeżną. Dobry Boże, byle zechcieli go słuchać. Może jeszcze nie jest za późno. Wybrał numer i usłyszał w słuchawce głos La-Dee-Dy:

– Biuro kapitanatu portu, czym mogę służyć?

– Mówi Charlie St. Cloud. Muszę porozmawiać z Hoddym. W pilnej sprawie.

- Proszę zaczekać.
- Nie mogę czekać...

Usłyszał już tylko pozytywkę. Jasny szlag! Czas uciekał. Trzeba ruszać natychmiast. Zastanowił się, co powiedzieć: ma powody sądzić, że Tess żyje i czeka na pomoc. Jej duch zostawił mu list. Kazała się szukać i wzywała go do siebie.

Po drugiej stronie usłyszał głos Hoddy'ego:

- Co tam takiego pilnego, St. Cloud?

Odłożył słuchawkę. Czysty absurd. Kapitan uznałby, że tym razem Charlie sfiksował na dobre. Może zresztą faktycznie tak jest. Jeszcze przed godziną zamierzał odebrać sobie życie.

Ogarnęła go rozpacz. Podeszedł do okna. Słońce zaczynało chylić się ku zachodowi. Niedługo trzeba będzie się stawić na spotkanie z Samem. Tylko co z Tess?

Oddychał ciężko, zaczynało mu się kręcić w głowie.

Uspokój się, upominał siebie. Myśl.

Skup się i myśl.

Musi istnieć jakiś sposób na załatwienie obu spraw.

„Bóg ma dla ciebie jakąś misję do wypełnienia – zabrzmiał mu w uszach głos Floria. – Nie martw się, chłopcze. Niekiedy musi trochę potrwać, zanim człowiek sobie wszystko ułoży. Ale przyjdzie dzień, kiedy zostaniesz wezwany. Wtedy będziesz wiedział, że nadszedł twój czas. I od tamtej chwili będziesz wolny”.

Może akurat nadszedł ten moment. Może właśnie został wezwany?

Tak. W jednej chwili wszystko stało się jasne i Charlie dokładnie zrozumiał, co powinien zrobić. Chwytał płaszcz, wypadł z domu i biegiem ruszył przez cmentarz.

IV
DOBRY WIATR

Dwadzieścia dziewięć

Dziób łodzi „Horny Toad” podskakiwał na falach. Charlie sterował sportową wędkarską motorówką długości prawie dziesięciu metrów. Skierował ją w stronę zmierzchu. Bliźniacze silniki Diesla pracowały pełną parą. Tink miotał się po kokpicie, aż mu brzuch podskakiwał, a skołtunione włosy fruwały na wietrze. Niżej, na tylnym pokładzie, Joe Ateista dygotał z zimna i trzeźwił znacznie szybciej, niżby sobie życzył.

Gdy Charlie dopadł go w Rip Tide, sączył z wielkim spokojem czwartego jima beama, opowiadając jakieś bzdurne historie każdemu, kto chciał słuchać. O wpół do szóstej w pubie jak zwykle panował ścisk, tłumnie schodzili się stali bywalcy spragnieni tańszego o tej porze alkoholu – robotnicy z miasta, tuż po skończonej zmianie, i rybacy prosto z łodzi.

– Charlie! – zawołał ktoś na powitanie.

– Tutaj! Chodź do nas, St. Cloud! – zapraszał jakiś inny głos.

Poczuł dłoń na ramieniu, ktoś ciągnął go do stolika, gdzie koledzy z Komitetu Promocji Zdrowia pili ze wspólnego dzbana. Musiał odepchnąć łokciem zapraszającego. Przecisnął się do baru i obrócił Joego razem ze stołkiem.

– Potrzebuję twojej pomocy.

– Barman! – wrzasnął Joe. – To samo dla mojego przyjaciela... – Bełkotał, oczy miał poznaczone czerwonymi żyłkami.

– Pożycz mi łódź – powiedział Charlie.

Joe przechylił się do tyłu i krzyknął w stronę pracowników cmentarza:

– Hej, chłopaki, szef chce moją..

Charlie chwycił go za koszulę pod szyją.

– Nie czas na wygłupy. Powiedz mi, gdzie zacamowałeś łódź. Oddam ci ją jutro rano.

– Wybierasz się na nocną imprezkę, a mnie nie zapraszasz?

– Daj mi kluczyki. Jeśli uszkodzę łódź, pokryję wszystkie koszty naprawy.

– Dokąd chcesz płynąć?

– Joe, bardzo cię proszę.

– Nic z tego – oznajmił twardo Joe Ateista, krzyżując na piersi wytatuowane ramiona.

Charliemu zamarło serce. Nie miał czasu szukać innej łajby. Nie było innego wyjścia. Nikt inny nie pożyczy mu szybkiej łodzi motorowej. Przyciągnął Joego do siebie tak blisko, że poczuł ostry zapach burbona i tytoniu. W sali zrobiło się cicho.

– Cholera, biorę twoją łódź, rozumiesz?

– Cholera? – syknął Joe. – Co ja jestem, wypożyczalnia, czy jak? Licz się ze słowami, koleś.

– Ich twarze dzieliły zaledwie centymetry. Goście zastygli w napięciu. Nagle Joe wybuchnął śmiechem. – Chodź, Charlie, ruszamy tyłki. Jak musisz gdzieś płynąć, płynę z tobą.

Z hukiem odstawił szklaneczkę na kontuar, zsunął się z wysokiego stołka i niezbyt pewnym krokiem pomaszerował do drzwi.

Przed barem Charlie zabrał z samochodu komplet odzieży chroniącej od deszczu i wiatru, Joe w tym czasie wyciągnął ze swojego subaru ogromnych rozmiarów opakowanie chipsów i butelkę whisky Old Crow.

Przy kei spotkali przygnębionego Tinka, który właśnie zawinął do przystani po całodniowych poszukiwaniach. Z ponurą miną zwijał liny. Znalazł tylko stopione fragmenty włókna szklanego i zwęglone resztki poduszek z siedzeń w kabinie – kolejne dowody na to, że ogień strawił „Querencię” od czubka masztu po kil.

– Miałeś rację – odezwał się do Charliego. – Spóźniliśmy się.

– Nie, nie, myliłem się – zaprotestował Charlie. – Jeszcze nie jest za późno. Tess żyje i czeka na nas.

– Nie rób ze mnie idioty – zachnął się Tink. Twarz wykrzywiła mu się z gniewu. – Nie wkurzaj mnie, St. Cloud. Nie jestem w nastroju do głupich żartów.

– Tink, mówię zupełnie poważnie. Wiem, gdzie szukać Tess. Płyn z nami. Co masz do stracenia?

– Zdrowy rozsądek, ale może i na to już za późno... – Tink wziął torbę ze swoimi rzeczami oraz lodówkę turystyczną i wskoczył na pokład łodzi Joego.

Charlie ustawił dziób na pięćdziesiąt pięć stopni w stronę boi Gloucester. Mogli zrobić dwadzieścia pięć węzłów, a przy sprzyjającym wietrze w rufę, po opłynięciu Cape Ann osiągną nawet trzydzieści. Przy tej szybkości Charlie miał nadzieję dotrzeć na miejsce w ciągu godziny.

I co dalej? Księżyc właśnie malał, dążąc do fazy nowiu, grube chmury zatrzymają resztki światła. Wszystko jedno. Będzie używać reflektora oraz flar. Tak czy inaczej – znajdzie Tess.

Po prawej stronie stateczek wycieczkowy z hałaśliwym towarzystwem na rauszu płynął prosto w zachód. Z górnego pokładu dobiegały pulsująca muzyka i głośne śmiechy. Dwóch biesiadników podniosło butelki w niemym toaście.

Wkrótce motorówka wydostała się z przybrzeżnego tłoku, a wtedy Charlie przerzucił silniki na pełną moc.

– Po co ten straszny pośpiech? – spytał Joe, jeszcze nie całkiem przytomny. Z niejakim trudem wspiął się po drabince. – Chyba nie myślisz, że znajdziesz tę Carroll żywą. – Czknął głośno. – Mogę się założyć o pięćdziesiąt dolców, że w tym tygodniu będziemy dla niej kopali grób.

Charliego poniosły nerwy.

– Zamknij tę swoją zapijaczoną mordę – warknął. Niepotrzebnie wziął Joego ze sobą, ale cóż, taka była cena za pożyczenie łodzi, jednej z najszybszych w okolicy.

– Dobrze, bo mocne – odezwał się Joe po chwili kontemplacji. – Coś mi się zdaje, że poznałeś tę laleczkę trochę bliżej, co?

– Joe, odpuść sobie.

Zerknął na Tinka, sprawdził kompas i zmienił kurs na czterdzieści cztery stopnie od boi Cape Ann. Joe beknął, machnął ręką i wymamrotał coś pod nosem. Charlie obejrzał się przez ramię. Kominy elektrociepłowni PG&E w Salem znikają w oddali. Nieco bliżej krążyło stado mew. Spojrzał na zegarek.

Nieprawdopodobne. Już osiemnasta dwadzieścia.

– Potrzywasz chwilę ster? – poprosił Tinka.

– Nie ma sprawy. – Brodacz ujął drewniane koło w pewne dłonie. '

Charlie przeszedł na rufę. Dłuższy czas stał bez ruchu i patrzył na zachód. Tam już zapadał zmrok, woda i niebo zlewały się w jedno morze szarości. Słońce schodziło za horyzont.

Do oczu napłynęły mu łzy. Po raz pierwszy od trzynastu lat nie stawił się na spotkanie z Samem. Wspominał zmrok na ukrytym boisku, gdzie meta domowa i stanowisko miotacza będą równie puste jak teraz jego dusza. Widział w myślach młodszego brata, który czeka samotnie na drewnianej huśtawce. Boże, oby tylko zrozumiał...

Świat zmieniał kolory jak slajdy na ekranie. Najpierw w oddali pojawiały się fioletowe pasma z błękitnymi i białymi cieniami. Charlie zapamiętywał, smakował przepych tego widoku. Od tylu lat zawsze widywał słońce znikające za drzewami. Miał przed oczami mroczne sylwetki osik i topoli na tle ciemniejącego nieba, przypominające listwy w oknach albo... więzienne kraty. Takie były granice jego postrzegania, jedyna perspektywa, gdy dzień zmieniał się w noc.

A teraz cały świat stanął przed nim otworem, więc chłonał jego urodę. Głęboko wdychał

wilgotne powietrze przesycone solą. Słuchał mewich okrzyków, patrzył na petrele szybujące nisko nad samą wodą. Niebo jeszcze raz zmieniło kolory, opasało się wstęgami błękitu i szarości, a wreszcie poczerniało na dobre.

Zapadła noc.

– Żegnaj, Sam – szepnął Charlie.

Smutne pożegnanie wsiąkło w ciemność i zimny wiatr. Charlie wrócił na mostek. Na niebie coraz jaśniej płonęły gwiazdy, a on miał niezłomną pewność, że Tess na niego czeka. I nie zamierzał sprawić jej zawodu.

Trzydzieści

Stanęli pośrodku wysepek, dokładnie pomiędzy Smuttynose i Star Islands. Charlie sięgnął po reflektor punktowy, wcisnął przełącznik. Strumień światła rozdarł ciemności, biały promień odbił się od wody. Charlie zatoczył szeroki krąg. Zobaczył tylko latającą rybę, muskającą powierzchnię oceanu.

Zaczęła się noc desperackich poszukiwań.

Zmieniali się z Tinkiem przy sterze, przeczesywali ocean, dziurawili czarną pustkę światłem, wołali aż do zachrypnięcia. Joe obudził się około trzeciej nad ranem i na jakąś godzinę przejął ster. Charlie z każdą sekundą był coraz bardziej zrozpaczony. Czyżby wszystko sobie ubzdurał? Czyżby kierował nim tylko nieutulony żal?

Daj mijająś znak, Tess, błagał nieustannie. Pokaż, gdzie cię szukać.

Odpowiadała mu tylko cisza.

O szóstej trzydzieści brzask rozjaśnił wschodni horyzont złotem i pomarańczem. Narodziny nowego dnia niosły Charliemu gorycz porażki. Postawił wszystko na jedną kartę – i przegrał. Stracił kontakt z młodszym bratem. Pozostała mu tylko praca na cmentarzu: koszenie trawników i grzebanie zmarłych. Jego życie straciło sens i mógł winić tylko siebie.

Po całej nocy stania bolały go plecy. W brzuchu burczało mu z głodu, głowa pękała od krzyku. Co teraz? A co z Samem? Oby nie ucierpiał przez starszego brata, który nie dotrzymał obietnicy.

Joe, pomrukując coś, wspiał się po drabince na mostek.

– Chyba się zdrzemnąłem – wychrypiał. – Znaleźliście coś?

– Nic.

– Zrobiłeś, co mogłeś – uznał, sięgając po ster. Odsunął Charliego łokciem. – Jestem na tej łodzi kapitanem i zarządzam powrót do domu.

– Jeszcze nie – zaprotestował Charlie. – Robi się jasno, w nocy mogliśmy ją przegapić. Jak myślisz – zwrócił się do Tinka – gdzie powinniśmy sprawdzić?

Joe nie dopuścił olbrzymia do głosu.

– Daj spokój, Charlie! Widzę, że ci ciężko, ale spójrz wreszcie prawdzie w oczy. Ta dziewczyna nie miała szans przeżyć.

– Nieprawda! Ona żyje. – Opanowało go szaleństwo. Gorączkowo szukał argumentów. – Na Morzu Beringa jeden żeglarz dryfował nieprzytomny przez dziewięć dni. Pamiętasz? Trąbili o nim we wszystkich mediach. Znalazł go japoński statek wielorybiczny i facet przeżył.

– Fakt – zgodził się Joe i zawrócił łódź w stronę brzegu.

– Zimna woda zwalnia metabolizm – dowodził Charlie nieswoim głosem. – To odruch typowy u ssaków nurkujących. Ciało potrafi ograniczyć funkcjonowanie wyłącznie do najważniejszych organów. – Już tylko w tym mógł upatrywać resztek nadziei. – Pamiętasz tych himalaistów z Mount Everest parę lat temu? Mieli odmrozenia, wpadli w śpiączkę, wyprawa ratunkowa nie mogła ich znaleźć. Ale przeżyli.

– Na mózg ci padło? – obruszył się Joe. – Mieli szczęście i tyle.

– To nie było szczęście, tylko cud.

– Ile razy mam ci powtarzać, że cudów nie ma?

Joe przestawił silniki na wyższe obroty i łódź skoczyła w stronę brzegu.

To już koniec. Charlie na sztywnych nogach zszedł z mostka, a potem na rufę i osunął się na ławeczkę. Miał nadzieję, że ryk silników zagłuszy jego myśli.

Nad rozległym oceanem słońce pięło się w niebo, powlekając wodę ciepłym blaskiem.

Charliemu jednak było zimno. Dłonie mu zdrętwiały, cały dygotał. Obawiał się, że już do końca życia pozostanie zlodowaciały.

Trzydzieści jeden

Sam St. Cloud był wiatrem.

Leciał nad Atlantykiem, gładząc czubki fal, zachwycony nowym doznaniem. Gdy został wyzwolony z obszaru pomiędzy, przekonał się ze zdumieniem, że jego plac zabaw nie ma granic. Stał się nim cały wszechświat z czterystoma miliardami galaktyk oraz wszelkimi wymiarami wykraczającymi poza świadomość czy granice wyobraźni. Jego duch nareszcie był wolny. Niezwiązany obietnicą, przeszedł do następnego poziomu, gdzie mógł przybrać każdą postać, dowolny kształt.

Sam St. Cloud wreszcie stał się istotą wolną.

Jeszcze tylko jedną sprawę musiał załatwić na tej ziemi. Przeleciał nad dziobem łodzi motorowej „Horny Toad” i zawirował wokół brata, na próżno usiłując ściągnąć jego uwagę. Kolejna pętla nad łodzią, jeszcze jeden podmuch, aż zadygotała amerykańska flaga, włosy Charliego pofrunęły w górę, a płaszcz wydał się jak balon. Znowu nic. Wobec tego wpadł pomiędzy metalowe linki i zagrał na nich strasznie łzawą pieśń – ale starszy brat nie zwrócił na nią uwagi.

Poprzedniego wieczoru Sam był zły i czuł się opuszczony, gdy Charlie tak szybko i niespodziewanie ulotnił się z pracy. O zachodzie słońca włóczył się po Lesie Cieni i czekał w nieskończoność. Fioletowe pasma znikwały z nieba, a jego ogarniała samotność. Ukryte wśród drzew boisko otoczyły ciemności. Chłopiec uświadomił sobie, że czeka na próżno, bo starszy brat zostawił go dla dziewczyny i z jej powodu złamał obietnicę. Zaczął w nim narastać gniew.

Wówczas jednak dokonał zdumiewającego odkrycia. Nigdy dotąd nawet nie zaświtała mu myśl, by przejść dalej. Życie w obszarze pomiędzy, płatanie psot w Marblehead i tradycyjna gra w baseball o zachodzie słońca – to wszystko zawsze im obu, Samowi i Oscarowi, doskonale odpowiadało. Ale Charlie wiedział lepiej... Zawsze mówił: „wierz mi, bracie”. Skoro więc postanowił zaryzykować, to może Sam powinien wziąć z niego przykład?

I tak, bez żadnych fanfar i rozgłosu, bez blasku reflektorów i anielskich chórów, zwyczajnie przeszedł na następny poziom, znalazł się na drugim brzegu. Zmiana dokonała się łatwo i tak gładko jak szybki narzut piłki.

Powitał go pradziadek, a także Barnaby Sweetland, dawny kierownik cementarza. Był też Florio Ferrente, który uściskał go serdecznie i wyraził żal, że nie zdołał go uratować.

– Ulubieńcy bogów umierają młodo – rzekł. – *Muor giovane coluiche al cielo e caro.*

Od tamtej chwili zmieniło się dla Sama wszystko. Zniknęły problemy dwunastolatka dotyczące całowania dziewcząt i gier wideo. Rozpłynęły się gdzieś żale z powodu utraconej na zawsze młodości i dorosłości. Zyskał natomiast mądrość wieków, doświadczenie i wiedzę, których nie zdołał nabyć, bo jego życie zostało przerwane zbyt wcześnie. Wzbogacony o tę całkiem nową perspektywę, bardziej niż kiedykolwiek pragnął ulżyć starszemu bratu, upewnić się, że wszystko potoczy się jak trzeba.

Zmienił postać po raz kolejny, tym razem przekształcił się w wielką chmurę nad łodzią. Gdyby tylko Charlie zadał sobie trud, by podnieść wzrok, na pewno rozpoznałby twarz brata.

Charlie jednak trwał pogrążony w smutku. Głuchy i ślepy na otaczający go świat, tonął w rozpacz. Jak mu dać znać? Jak go skierować w odpowiednią stronę? Może przydadzą się Joe albo Tink? Nie, oni także byli zajęci tylko własnymi myślami. Joe planował, na co wyda pieniądze z wygranej na loterii, Tink usiłował znaleźć słowa pocieszenia dla matki Tess.

Biedacy, pomyślał Sam.

Musi znaleźć jakiś sposób, żeby zwrócić uwagę Charliego. Zebrał wszystkie siły i jeszcze raz

zmienił kształt.

* * *

Niespodziewany wiatr z północnego wschodu zarzucił Charliemu włosy na twarz i natychmiast odgarnął je z oczu. Gdy zmienił się na południowo-zachodni, popchnął grzywacze w przeciwną stronę. Mewy podniosły wrzask, ale Charlie, pochłonięty niewesołymi rozmyślaniami, nie zwracał na nic uwagi, póki solidna porcja słonej wody nie chlusnęła mu w twarz.

Przetarł szczypiące oczy, uświadomił sobie, że morze jest niespokojne i zerwał się gwałtowny wiatr. Skoczył na nogi, pobiegł na mostek, gdzie Joe i Tink walczyli o utrzymanie się na kursie.

– Pomóc wam? – spytał.

– A, owszem – oświadczył Joe. – Potrzymaj chwilę ster, bo mnie wzywa natura.

– Jasne.

Charlie chwycił koło sterowe. Uważnie obserwując białe grzbiety fał i kontrując subtelne zmiany kierunku wiatru, poprawiał odchylenia od wyznaczonego kursu. Po chwili w szarej słonej mgłę dojrzał jakiś nieregularny kształt. Co to takiego? Łódź? Wysepka?

Ależ oczywiście!

Zwykle skały. Spojrzał na mapę. Czteryście metrów na południowy wschód od Duck Island znajdowała się skałka zwana Mingo. Przez lornetkę doskonale widać było strome kamienne stoki, podmyte i upstrzone plamami wodorostów oraz ptasiego łajna. Łódź podskakiwała na falach, niełatwo było skupić się na obserwacji. W pewnej chwili, tuż przedtem, nim motorówka zeskoczyła w wodną dolinkę, wydało mu się, że dostrzegł jakiś mocniejszy kolor. Wyostrzył obraz.

I rzeczywiście. Tym razem już bez żadnych wątpliwości dostrzegł pomarańczowy błysk, a przecież pomarańczowy to kolor kombinezonu ratunkowego.

Serce podeszło mu do gardła.

– Patrz! – krzyknął, wciskając Tinkowi lornetkę.

– Niemożliwe... – wyjąkał grubas.

Joe akurat wrócił na mostek.

– Jezu Chryste!

Charlie otworzył przepustnice, a gdy łódź wyrwała w stronę sterczącej z morza skały, wyszeptał bezwiednie dwa słowa:

– Nie umieraj.

* * *

Rotory śmigłowca straży przybrzeżnej młóciły powietrze nad Mingo Rock, wzbijając wodny pył. Przy wtórze ogłuszającego huku ratownik zjeżdżał na linie dokładnie w miejsce, gdzie siedział Charlie, kołysząc w ramionach Tess, z twarzą osłoniętą płaszczem, by nie kłuły jej słone igły. Miała na sobie pomarańczowy kombinezon ratunkowy, przywiązana była do poobijanego wodoszczelnego pojemnika z aluminium. Najwyraźniej wykorzystwała go jako prowizoryczną tratwę ratunkową, pewnie płynęła na nim aż do skałki. Szczęście, że zdołała się na nią wdrapać.

Charlie zapomniał o zmęczeniu natychmiast, gdy zobaczył dziewczynę. Teraz był przerażony. Skórę miała siną, źrenice maleńkie jak główki od szpilek, we włosach i na plecach krew. Nie wyczuwał pulsu.

Spóźnił się.

Serce waliło mu jak oszalałe. Ratownik natychmiast rozpakował walizeczkę. Nie tracił czasu, każdy jego ruch był celowy. Na szarej skałce zastygłej w chłodzie zwracały uwagę jego niebieskie oczy i zaróżowione policzki. Charlie znał ten typ ludzi. Z takimi jak on zdobywał praktykę jako paramedyk. Prawdziwa elita. Zawsze marzył, by znaleźć się wśród nich, ratować czyjeś życie z narażeniem własnego.

– Hipotermia – zameldował krótko. – Resuscytacja przez ostatnie dwadzieścia minut.

– Dobrze. Zabierzemy ją stąd. – Równie zręcznie jak delikatnie odciął linę z pojemnikiem.

Charlie przyglądał mu się z podziwem. Gwałtowniejsze poruszenie kończynami ofiary hipotermii mogło spowodować napływ schłodzonej krwi tętniczej do serca i w efekcie zawał.

Ratownik zawiadomił przez radio załogę śmigłowca, że jest gotów do akcji. Z góry opadły nosze.

– Dokąd ją weźmiecie? – spytał Charlie, modląc się, by w odpowiedzi usłyszał słowo „szpital”, a nie „kostnica”.

– Na ostry dyżur do North Shore. Najlepszy oddział w okolicy, jeśli chodzi o hipotermię.

Ostrożnie umieścił dziewczynę na sztywnej podkładce, solidnie przymocował ją pasami. Przyczepił linkę wyciągarki i podniesionym kciukiem dał znać operatorowi. Razem z noszami uniósł się w górę.

Charlie odprowadzał ich wzrokiem, aż podłużny kształt został wciągnięty do śmigłowca. Maszyna zakołysała się i poleciała na zachód.

Fale nacierały na samotną skałkę na oceanie, słona piana piekła w oczy, ale Charlie patrzył za pomarańczowo-białym helikopterem, póki nie zniknął mu z oczu.

Znów pojawiła się iskierka nadziei.

Złożył dłonie, zacisnął powieki i modlił się do świętego Judy Tadeusza.

Trzydzieści dwa

Charlie nienawidził oddziałów ostrego dyżuru. Nie chodziło nawet o tych wszystkich chorych i zdenerwowanych ludzi, którzy się tam stale kłębili. Czuł się tam źle nie z powodu tego, co widział, ale co czuł. Choć jego dar nie sięgał poza granice cmentarza, i tak wiedział, że w szpitalu roi się od duchów. Jedne trzymały się blisko rodzin, inne wędrowały po długich korytarzach. W świecie żywych ostry dyżur był swego rodzaju stacją przesiadkową, ziemskim odpowiednikiem obszaru pomiędzy.

Czy duch Tess także jest teraz tutaj?, zastanawiał się Charlie.

Usiadł na twardym plastikowym krześle i zasłuchał się w bulgotanie pompki w akwarium stojącym za plecami.

Czy unosiła się gdzieś w poczekalni we fluorescencyjnej mgiełce?

Zamknął oczy, ale i tak nie mógł odpocząć, ponieważ nie udało się mu powstrzymać biegu myśli. Ostatnie dwie godziny upłynęły na szaleńczym pędzie do szpitala. Musiał dotrzeć do Tess, dowiedzieć się o jej stan. Nie było jednak żadnych wieści. Lekarze jeszcze nie wyszli z sali operacyjnej, więc nawet jego najlepsi przyjaciele ze średniego personelu medycznego nie wiedzieli nic. Po drugiej stronie poczekalni Tink wielkimi paluchami gorączkowo wciskał klawisze telefonu komórkowego i wydzwaniał do wszystkich znajomych w Marblehead, przekazując wiadomość o odnalezieniu dziewczyny.

Charlie próbował odzyskać spokój, ale w głowie ciągle tłukła mu się „reguła trzech”, jedna z podstawowych zasad szkolenia paramedycznego. W sytuacji ekstremalnej człowiek może przetrwać bez tlenu trzy minuty, bez ciepła trzy godziny, trzy dni bez wody i trzy tygodnie bez jedzenia. Z czego wynikało, że Tess nadal miała szanse na przeżycie.

Wiedział także, iż ofiary głębokiej hipotermii wyglądały niekiedy jak martwe. Powtarzał w myślach najważniejsze elementy: zwolnienie akcji serca, osłabienie funkcji życiowych, zeszywnienie ciała, niewyczuwalny puls, nieruchome źrenice. Lekarze nazywali ten stan zawieszeniem czynności życiowych lub hibernacją. Było to trwanie pomiędzy życiem a śmiercią. I dlatego ci z ostrego dyżuru nigdy nie orzekali o stanie pacjenta, dopóki nie ogrzali mu ciała, krwi oraz płuc. Mawiali: nie jesteś martwy, póki nie jesteś ciepły i martwy.

W najlepszym wypadku Tess nadal znajdowała się w obszarze pomiędzy i będzie można przywrócić ją do życia, podobnie jak to zrobił Florio z Charliem trzynaście lat wcześniej, jeszcze w ambulansie. Pierwszym krokiem było dostarczenie podgrzanego tlenu – o temperaturze czterdziestu jeden stopni Celsjusza. Ratownicy ze straży przybrzeżnej z pewnością podali Tess ciepłe powietrze, by ustabilizować temperaturę serca, płuc oraz mózgu. Następnie z pewnością obłożyli kompresami głowę, kark, tułów, pachy i pachwiny, by podnieść temperaturę głęboką ciała. Potem dożylnie podawali ciepłe płyny, by pomóc jej wyjść z odwodnienia.

W szpitalu na początek zaaplikowano Tess sól fizjologiczną do żołądka, pęcherza i płuc, a następnie podłączono ją do urządzenia podgrzewającego krew.

Tylko co oni tak długo robili w sali operacyjnej? Może to nie tylko hipotermia? Może obrażenia okazały się poważniejsze, niż sądził?

Poruszyły się obrotowe drzwi i do poczekalni wszedł jakiś niechlujny mężczyzna wyglądający na bezdomnego. Koszulę na ramieniu miał mokrą od krwi, więc pewnie został postrzelony albo pchnięty nożem.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny i Charlie ujrzał matkę Tess. Poznał ją natychmiast po owalu twarzy i kształcie nosa. Zerwał się na równe nogi.

– Proszę pani! Tak mi przykro... – wyrwało mu się. – Żałuję, że nie znalazłem jej wcześniej.

– Jestem ci wdzięczna, że w ogóle ją odszukałeś. – Poglądziła go po ramieniu. – Mów mi po imieniu, proszę. Nazywam się Grace.

– A ja Charlie. St. Cloud.

– St. Cloud... Prawdziwy wysłannik niebios.

Podszedł do nich Tink i objął kobietę mocnym ramieniem.

– Czy lekarze już coś powiedzieli? – spytał Charlie.

– Nie, nic. Dotarłam tutaj dziesięć minut po wylądowaniu śmigłowca i wypytywałam ratowników, ale oni też mi nic nie zdradzili. Wysłałam trochę na powietrze... – Spojrzała mu prosto w oczy. – W jakim była stanie, kiedy ją znalazłeś? Czy jest ranna? Mówiła coś?

Wtedy właśnie Charlie pojął, że Grace nie zdaje sobie sprawy z powagi sytuacji. Nagle znalazł się ponownie na Mingo Rock, z bezwładną Tess w ramionach. Powtarzał jej imię raz po raz, błagał ją, by się obudziła. Opowiadał, jak to wszyscy w Marblehead czekają na jej powrót. Niestety, dziewczyna go nie słyszała. Nie dała mu żadnego znaku, nie mrugnęła, nie ścisnęła dłoni, nawet nie drgnęła jej warga. Była jak martwa.

– Na pewno opowiada wszystkim, że w tym tygodniu ruszy w rejs dookoła świata – odezwała się Grace z wymuszonym uśmiechem.

Zanim Charlie zdążył odpowiedzieć, z oddziału wyszła pielęgniarka. Była to Sonia Banerji, jego dawna koleżanka z gimnazjum. Miała na sobie jasnoniebieski uniform, długie czarne włosy związała w koński ogon.

– Pani Carroll? – zwróciła się do matki Tess. – Proszę ze mną. Lekarze chcieliby z panią porozmawiać.

– Nareszcie – westchnęła Grace.

Natomiast Charlie był zdruzgotany. Żołądek ścisnął mu się ze strachu. Przez lata praktyki pomocniczej na ostrym dyżurze nauczył się rozpoznawać pewne sytuacje. Po pierwsze, jeśli lekarze mieli do przekazania dobre wieści, sami wychodzili do poczekalni. Jeśli złe, wysyłali pielęgniarkę, by poprosiła rodzinę na oddział. Po drugie, jeśli chory miał się lepiej, krewni mogli go od razu odwiedzić. W przeciwnym razie lekarze przedstawiali sprawę w gabinecie.

– Jak się czuje Tess? – zapytała Grace.

– Tędy proszę. – Sonia wskazała drogę. – Wszelkie informacje otrzyma pani od lekarzy.

– Chodź ze mną – zwróciła się Grace do Charliego. – I ty też, Tink. Sama tam nie pójde.

We troje weszli na oddział, a pielęgniarka zaprowadziła ich do gabinetu.

Czekały na nich dwie młode lekarki. Pierwsza zaczęła od banałów i wzajemnej prezentacji. Charlie obserwował ją uważnie, szukając wskazówek. Twarz mówiącej wyrażała serdeczne współczucie, ale przygarbione ramiona zdradzały napięcie. Starła się skupić spojrzenie na rozmówcy, lecz oczy same uciekały jej w bok. Znał te objawy. Próbowwała się nie angażować. Zawsze tak było. Tak samo lekarze, jak i paramedycy nie mogli sobie pozwolić na emocje.

Druga kobieta przeszła do faktów.

– Tess doznała ciężkiego urazu głowy i przeszła głęboką hipotermię – zaczęła głosem bez wyrazu. – Jej stan jest krytyczny. Została podłączona do respiratora.

Grace zasłoniła usta dłonią.

– Mogę panią zapewnić, że nie cierpi – ciągnęła lekarka. – Znajduje się w śpiączce. Nie reaguje na żadne bodźce. Głębokość śpiączki określamy według tak zwanej skali Glasgow. Piętnaście punktów to stan normalny. Tess daliśmy tylko pięć, wobec czego sytuacja jest poważna.

Grace zaczęła dygotać, więc Tink objął ją i przytulił.

– Co dalej? – spytał. – Obudzi się?

– Na to pytanie nikt nie zna odpowiedzi. Jej los nie jest w naszych rękach. My możemy tylko

czekać.

– Na co?! – zdenerwowała się Grace. – Róbcie coś!

– Pani córka jest silna i młoda. Cud, że jeszcze żyje. Niestety, ma za sobą poważny uraz czaszki oraz długi czas przebywania w ekstremalnych warunkach. – Lekarka urwała i zerknęła na koleżankę. – Istnieje teoretyczna możliwość, że Tess wyjdzie z tego bez szwanku. W medycynie zdarzają się przypadki, które przeczą zdrowemu rozsądkowi. Naszym zdaniem jednak należy myśleć realistycznie i przygotować się na wszystko. – Zamilkła na chwilę. – Trzeba brać pod uwagę możliwość porażki – dokończyła ciszej.

Po jej słowach zapadła długa cisza. Pod Charliem ugięły się nogi.

– Jeśli pani chce – odezwała się lekarka – może ją pani teraz zobaczyć.

Trzydzieści trzy

– Zwalniam się.

Charlie nie przypuszczał, że kiedykolwiek wypowie te dwa słowa, ale kiedy powziął decyzję, zdumiał się, jak łatwo mu przyszło ją zrealizować. Stał na ścieżce odchodzącej od asfaltowej alei oznaczonej literą A, dzielącej Waterside na dwie części. Elihu Swett, administrator cmentarza, podjechał właśnie swoim lincolnem continentalem i zaparkował na poboczu.

– Może jednak zmienisz zdanie? – zapytał, wyglądając przez otwarte okno.

– Na pewno nie.

– Dam ci podwyżkę. Na jakieś cztery procent miasto powinno się zgodzić.

– Nie chodzi o pieniądze.

– Dodatkowy tydzień urlopu? To też jestem w stanie przeforsować.

– Nie, naprawdę nie trzeba. Po prostu czas na mnie.

Elihu westchnął ciężko.

– Mam nadzieję, że zmienisz zdanie. – Z nabożeństwem ściągnął z kruchej dłoni lateksową rękawiczkę i wyciągnął rękę przez okno. – Gdybyś kiedyś nabrał ochoty, żeby wrócić, zawsze znajdzie się tu miejsce dla ciebie.

Charlie uściskał dłoń szefa i uśmiechnął się szeroko.

– Mam nadzieję, że nieprędka mnie tu przywiozą.

Wskoczył do roboczego wózka i ruszył cmentarnymi alejkami, zatrzymując się od czasu do czasu, a to by poprawić zraszacz, a to by przyciąć niesforną gałązkę krzewu w kształcie piramidy. Kwiaty wydawały mu się bardziej kolorowe, inskrypcje na najstarszych nawet pomnikach wyraźniejsze. Zupełnie jakby ktoś zapalił światło w mrocznym pomieszczeniu, wszystko stało się żywsze, bliższe i lepsze.

W piątek zwykle zajmowali się nagrobkami. Pracownicy cmentarni czyścili i naprawiali pomniki. A było co robić, ponieważ stało ich w Waterside pięćdziesiąt dwa tysiące czterysta trzydzieści cztery, najróżniejszej wielkości i kształtów. Marmur z Włoch. Granit z Vermont. Miliony dolarów zainwestowane w kamień i pamięć. Miał nadzieję, że i jego ktoś czasem wspomni. Że był dobrym bratem. Że znalazł Tess. Że zrobił coś sensownego ze swoim życiem.

Postanowił potraktować ten ostatni dzień na cmentarzu jak każdy inny, więc przede wszystkim wykonał zwykle obowiązki, a potem poszedł się pożegnać z kolegami. Joe Ateista zamknął go w niedźwiedzim uścisku i wyznał, że poddaje rewizji swój stosunek do Boga. Dorzucił też, iż jego łódź jest do dyspozycji Charliego w każdej chwili, zwłaszcza gdyby miał ochotę ratować z opresji jakąś ślicznotkę.

Przy fontannie Charlie wpadł na Bellę Hooper, kobietę słuchającą profesjonalnie.

– Wszyscy gadają tylko o tobie – oświadczyła. – Wyruszył, uratował... Nie poddał się... No, no! Zostałeś bohaterem.

– Daj spokój. Żaden wyczyn.

– Powinniśmy o tym spokojnie pogadać – uznała. – Przyjdź, jak będziesz miał chwilę. Dam ci specjalną zniżkę dla rodziny i przyjaciół.

Skończył ostatni objazd, zadowolony ze stanu cmentarza. Wróciwszy do chatki, wrzucił do podręcznej torby kilka niezbędnych rzeczy, a do drugiej ulubione książki i taśmy. Służbowe koszulki poskładał i ułożył na komodzie, wytarł do sucha talerze, wyrzucił śmieci. Meble odziedziczone po Barnabym Sweetlandzie zostawił dla swojego następcy. Klucze powiesił na kołku przy drzwiach, postawił na schodach torby i zatrzasnął drzwi. Wrzucił bagaż do wózka, wsiadł sam i pojechał na północ.

Znał drogę na pamięć: w prawo, w lewo, półkolem wzdłuż brzegu jeziora i dalej już prosto do niewielkiego mauzoleum na wzgórzu, ocienionego dwiema wierzbami. Marmur połyskiwał ciepłym blaskiem, dwa kije baseballowe robiły imponujące wrażenie. Wokół nazwiska nad wejściem pojawił się mech.

ST. CLOUD

Charlie wysiadł, ze schowka na rękawiczki wyjął ogromny klucz i otworzył drzwi. Wszedł w chłodny półmrok, usiadł na niewielkim sarkofagu i zabujał nogami. Wetknął piłkę w rękawicę. Uśmiechnął się do błękitnego anioła na witrażu i odłożył oba przedmioty na gładki marmur z Carrary. Tam, gdzie było ich miejsce.

Słońce chyliło się ku zachodowi, czas odchodzić.

Zamknął kryptę i jeszcze chwilę stał, patrząc na przystań w dole.

Ech, będzie mu brakowało Sama i wspólnych zabaw.

Nagle zbudził się wiatr, drzewa w lesie zadrżały. Chmura czerwonych liści dębowych spłynęła mu pod nogi, zawirowała i odleciała w dal.

Od razu się domyślił, czyja to sprawa. Młodszy brat był stale tuż obok, w powietrzu, w niebie, w zachodzie słońca, w dębowych liściach. A dziecięce zabawy pora odłożyć między wspomnienia.

Ostatniego dnia w Waterside Charlie musiał jednak odwiedzić jeszcze jedno miejsce. Nie potrafił sobie tego odmówić.

Trzydzieści cztery

Na ukrytym w lesie boisku panowała cisza. Żadnej ptasiej krzątany, zaganianych wiewiórek, zbłąkanych duchów. Osiemnasta pięćdziesiąt jeden.

Charlie przeszedł ze stanowiska miotacza do bazy domowej i z powrotem. Chciał zapamiętać każdy szczegół. Cedrowy zagajnik, stolik ogrodowy z ławkami, huśtawkę. Myślał też o tym, gdzie teraz jest Sam. Wiele by dał, by móc spotkać go ostatni raz i pożegnać, jak należy.

Upajał się widokiem leśnego ustronia, utrwał w pamięci kolor liści i ukośne promienie słońca. Wiedział, że nigdy już nie wróci do tego azylu spowitego półmrokiem, że polanka wkrótce zniknie, a gdy las porośnie boisko, nikt już się nie domyśli, iż w ogóle kiedykolwiek istniała.

Łzy zakreśliły mu się w oczach. Długo było to dla niego najważniejsze miejsce na świecie, ale skoro dokonał wyboru, musiał iść dalej. Odetchnął głęboko wilgotnym zapachem jesieni i właśnie miał wracać, gdy ze zdumieniem ujrzał młodego człowieka zbliżającego się po trawiastym boisku. Ciekaw był, komu udało się znaleźć ukryty w lesie placyk. Przez trzynaście lat nikt nie wytopił azylu St. Cloudów.

Obcy był wysoki, miał przynajmniej metr dziewięćdziesiąt, do tego odpowiednio szerokie bary. Pociągłą twarz otaczały ciemne loki, a spod grzywki błyszczały tak dobrze znane oczy.

Charlie ze zdumienia stracił mowę.

Tak, to był Sam.

– Cześć, panie bracie – odezwał się z uśmiechem.

Pan brat nadal nie mógł wydobyć z siebie ani słowa. Gdzie się podziała czapka z daszkiem, ozdobiona logo drużyny Red Sox? A workowate spodnie do kolan? Trampki za kostkę? Młody człowiek ubrany był w kurtkę lotniczą, dżinsy i długie buty.

– O rany! – jęknął Charlie.

– Co?

– Dorosłeś!

– Tak – przyznał Sam. – Nareszcie dorosłem i mogę robić, co mi się żywnie podoba.

Wreszcie byli sobie równi wzrostem, tyle tylko że młodszy brat połyskiwał jak hologram. Stał się odbiciem przeszłości i terażniejszości oraz projekcją przyszłości, tak jak tego pragnął.

Charlie chciał zamknąć Sama w uścisku, lecz złapał powietrze. Młodszy brat wyszedł już z obszaru pomiędzy. Charlie czuł jeszcze jego ciepło i moc łączącej ich więzi.

– Przeszedłeś – powiedział.

– Przeszedłem.

– I jak jest?

– Rewelacja, mówię ci. Po prostu niesamowicie! Zobaczysz.

– A właściwie skąd się tu wziąłeś? Nie wiedziałem, że można wrócić.

– Sporo jeszcze nie wiesz – odparł Sam. – Ale nic się nie przejmuj. Tak właśnie musi być. Dowiesz się.

Weszli do lasu, usiedli na pniu przy stawie, gdzie ryby ukrywały się przed wielką czapłą, i opowiedzieli sobie o dniach, kiedy się nie widzieli.

– Zły jesteś, że nie dotrzymałem słowa? – spytał Charlie.

– Nie – odrzekł Sam. – Czas już był najwyższy. Przeszkadzaliśmy sobie nawzajem.

Wtedy Charlie zdał sobie sprawę, co naprawdę stracił przez te trzynaście lat. Otóż nigdy dotąd nie rozmawiał z Samem jak z dojrzałym mężczyzną. Młodszy brat nie miał szansy dorosnąć, ich układ zatrzymał dla niego czas.

Żałował tylko, że nie może objąć dorosłego Sama.

– Byłeś ze mną na morzu, kiedy szukałem Tess, prawda? – upewnił się. – Byłeś wiatrem i bryznięłem mi wodą w twarz.

– Trochę potrwało, zanim zwróciłeś na mnie uwagę.

– Nie mam nic na swoją obronę. Zaniechanie pierwszego stopnia. Oskarżony jest winny.

– Zaniechanie jest wtedy, jak dziewczyna poleci do pracy w seksownej nocnej koszuli, bo zasnęła i zapomniała się ubrać. – Sam roześmiał się głośno i plasnął dłonią w udo.

Charlie także ryknął śmiechem. Jego młodszy brat, teraz migoczący i przezroczysty, choć dorósł, nadal był taki sam.

– Jednego tylko żałuję – wyznał. – Przykro mi, że trzymałem cię tutaj tak długo. – Otarł zdradziecką łzę.

– Nie ma sprawy. – Sam machnął ręką. – Gdybym chciał odejść, tobyś mnie nie zatrzymał.

Na jakiś czas zapadło milczenie.

– Zagramy jeszcze kiedyś? – spytał Charlie.

– Jasne. Nawet się nie obejrzysz, jak znowu się spotkamy. A wtedy będziemy mieli dla siebie całą wieczność.

– Obiecuj, że mnie nie zostawisz – powiedział Charlie.

– Obiecuję.

– I przysięgasz? – naciskał, ze zdumieniem uświadamiając sobie, że powtarzają rozmowę sprzed trzynastu lat. Tylko tym razem zamienili się rolami.

– Z ręką na sercu?

– Z ręką na sercu – powtórzył Sam. – Kocham cię, panie bracie.

– Ja ciebie też kocham.

Wstali.

Sam podszedł do modrzewia rosnącego nad samą wodą. Z najniższej gałęzi zwisała gruba lina zakończona wielkim supłem.

– Popchniesz mnie?

Charlie pchnął węzeł z całej siły, a Sam poszybował nad lustro wody.

– Na razie, panie bracie! – zawołał, puścił sznur i poleciał w górę. Silny młody mężczyzna wykonał piękne salto – zniknęły kościste ramiona i chuderlawe nogi. Charlie z przyjemnością patrzył na brata w kwiecie wieku.

Aż nagle Sam zniknął, a na polanie zapadła absolutna cisza, tylko rozbujana lina ocierała się o konar i szeleściły czerwone dębowe liście.

Trzydzieści pięć

Ostatnie zamykanie Waterside; ostatnia runda po cmentarzu, ostatnie podwiezienie z Doliny Ostatniego Spoczynku starszego pana w jasnym letnim garniturze.

– Dobry wieczór – odezwał się Charlie.

Palmer Guidry, staruszek o miękkich siwych włosach, wylał ostatnie krople z czerwonej konewki. Z magnetofonu dobiegały dźwięki koncertu Brahmsa.

– Witaj, witaj, Charlesie!

– Już zamykamy. Podwieźć pana?

– A, chętnie skorzystam. Bardzo jesteś uprzejmy.

Pan Guidry złożył szmatkę do polerowania nagrobka, wyłączył magnetofon i dokonał końcowej inspekcji purpurowych kwiatów.

– Betty uwielbiała malwy – powiedział.

– Chyba już pan o tym wspominał.

– Któregoś roku obsiała cały ogródek różowymi malwami. Wyrosły na dwa metry w górę!

– Coś podobnego!

Staruszek wsiadł do wózka, konewkę postawił sobie pod nogami.

– Dobrej nocy, Betty – powiedział. – Słodkich snów, kochanie Niedługo wrócę. – Zamilkł na chwilę. – Może byś zajrzał do mnie na kolację – zaproponował, gdy zbliżali się do żelaznej bramy. – Przygotuję ulubione danie Betty. Najwspanialszą pieczeń pod słońcem.

– Chętnie – przystał Charlie. – Z największą przyjemnością. Naprawdę, bardzo chętnie.

Pan Guidry zawahał się. Mimo alzheimera zdawał sobie sprawę, że coś się zmieniło. Coś było inaczej. Stało się coś cudownego. Zamrugał niepewnie, zbity z tropu. Wreszcie jednak przypomniał sobie ciąg dalszy.

– Nie jesteś nigdzie umówiony? – zdziwił się. – Zawsze byłeś. – Oto zdarzył się kolejny cud, jeden z tych nieprawdopodobnych momentów jasności w mrocznym i wyblakłym świecie choroby.

– Od dziś jestem wolny – odparł Charlie. – Pojadę za panem do domu, tylko niech pan nie prowadzi za szybko.

– Mieszkam w Cow Corners na Guernsey and Jersey – powiedział Guidry. – W tym starym szarym budynku z zielonymi okiennicami.

– Trafie.

Charlie po raz ostatni zamknął żelazną bramę. Uśmiechnął się, gdy skrzypnęła znajomo. Już ktoś inny naoliwił te ogromne zawiasy. Wsparł dłonie na grubych prętach i przesunął wzrokiem po cmentarzu, gdzie wierzby chyliły się ku wodzie, cicho szemrała fontanna i nie było żywego ducha.

Odwrócił się, podniósł swoje dwie torby i wrzucił je do bagażnika ramblera. Pan Guidry wyjechał już swoim buickiem na West Shore Drive, więc ruszył za nim znajomą ulicą wiodącą wzdłuż cmentarza. Wyrzwał przez okno i pomachał na do widzenia rzędom nagrobków, wypielęgnowanym trawnikom i swojemu światu pomiędzy światami.

I tak Charlie St. Cloud, serdeczny opiekun Waterside, odjechał, nie oglądając się za siebie.

Trzydzieści sześć

W Marblehead trwały obchody świątecznego tygodnia zwieńczonego Dniem Dziękczynienia. W chłodnym powietrzu unosił się miły zapach palonego drewna. Zahibernowane łodzie stały w zimowych suchych dokach, śniąc o cieplejszych dniach. Pojawiały się już barwne dekoracje bożonarodzeniowe. W drugiej jednostce straży pożarnej Engine Company przy Franklin Street życie upływało wyjątkowo pogodnie. Od czasu pożaru na School Street nie było większego ognia.

Charlie paradował po remizie w mundurze pełnoetatowego paramedyka. Czuł się tutaj jak w domu, całkiem dosłownie, bo zamieszkał w budynku remizy do czasu znalezienia sobie jakiegoś kąta. Piątek mijał bez wstrząsów i kiedy zegar wybił szóstą, ogłaszając koniec zmiany, Charlie wyjął z szafki kurtkę i zszedł do samochodu. Musiał kilkakrotnie przekręcać kluczyk w stacyjce, nim staruszek wreszcie zaskoczył. W zasadzie nadawał się już głównie na złomowisko, ale dobrze się nim jeździło, niekiedy nawet Charlie wypuszczał się na całodzienną wycieczkę, kończącą się zwykle późną nocą, tylko po to, by poczuć, jak droga ucieka spod kół.

Dziś nie jechał daleko. Kawalek Pleasant Street, potem na MA-114 w kierunku Salem i już po kilku chwilach zatrzymał się na parkingu centrum medycznego North Shore. Pewnym krokiem minął hol, pomachał dyżurującej pielęgniарce i poszedł prosto do pokoju numer sto siedemdziesiąt dwa. Zapukał cicho i otworzył drzwi.

Tess nadal była pogrążona w śpiączce. Bandaże i respirator zniknęły – choć blada, jednak oddychała o własnych siłach. Ręce miała złożone na piersiach, wydawała się całkowicie spokojna i odprężona. Charlie nauczył się na pamięć każdego rysu jej twarzy, kształtu pobielających ust, długich rzęs... Chociaż spędzili ze sobą noc, właściwie nie znał jej ciała.

Przez dwa minione miesiące studiował wszelkie książki oraz artykuły prasowe na temat uszkodzeń mózgu. Spośród dobrze udokumentowanych przypadków śpiączki, zakończonych szczęśliwym przebudzeniem i całkowitym powrotem do zdrowia, najdłuższy sen trwał dwa i pół roku, ale Charlie dotarł do innych, wręcz zdumiewających przykładów. Pewna kobieta z miasta Albuquerque w Nowym Meksyku obudziła się po szesnastu latach, akurat w Wigilię Bożego Narodzenia, i natychmiast postanowiła wybrać się po zakupy. Natomiast pięćdziesięcioletni właściciel sklepu trwał w śpiączce przez trzydzieści lat, a kiedy odzyskał przytomność, najpierw spytał, co jest w telewizji.

Były to, oczywiście, przykłady krańcowe, lecz Charlie wiedział, że teraz również może wydarzyć się cud, mało tego, w pewnym sensie już się wydarzył. Bóg wysłuchał jego próśb. Dziewczyna zniknęła z cmentarza nie dlatego, że przeszła do innego świata, tylko dlatego, że usiłowała wrócić do ziemskiego życia.

Spędzał przy jej łóżku tyle czasu, że Grace i przyjaciele rodziny zaczęli go traktować jak krewniaka.

Pokój szpitalny ozdobiony był kwiatami z Kipp's Greenhouse i kartkami pocztowymi z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia, od uczniów pani Paterniny. Nad łóżkiem wisiał plakat Toma Brady'ego, quaterbacka Patriots i bohatera rozgrywek pucharowych, opatrzony autografem oraz słowami „Wyzdrowiej szybko”. Na szafce nocnej stały fotografie ojca Tess na kutrze oraz „Querencii” unoszącej się na falach.

– Niezły tydzień dla twoich ulubieńców – odezwał się Charlie, siadając. Z kieszeni płaszcza wyciągnął sportowe strony z „The Boston Globe” i przeczytał jej zaznaczony fragment. – Wszystko wskazuje na to, że Jetsi nie sprzedadzą skóry tanio.

Wizyty u Tess były stałym obyczajem Charliego, ale też pilnował się bardzo, by nie wpaść w

rutynę. Czasami zaglądał do niej z samego rana, kiedy indziej odwiedzał ją po pracy. W jednym tygodniu przychodził codziennie, w następnym rzadziej. Chciał przy niej być, ale pragnął też mieć własne życie. Z okazji Nowego Roku wybierał się w odwiedziny do matki, do Oregonu, a potem zamierzał przygotować się do pieszej wyprawy przez Afrykę i Azję.

Przy każdej wizycie przekazywał Tess najnowsze wiadomości. Dzisiaj podzielił się z nią najnowszym wspaniałym skandalem. Otóż wielebny Polkinghorne został przyłapany w stroju Adama w klubie jachtowym z dwiema – a i owszem, właśnie dwiema – owieczkami ze swojego stadka: Sherry Trench oraz Geną Carruthers.

Charlie był przekonany, że Tess słyszy każde słowo. Starał się ją zabawiać, chciał ją oczarować, nawet we śnie. Czasami wyobrażał sobie, jak śmiejąc się, odrzuca głowę do tyłu. Kiedy indziej, jeśli mówił za długo na jeden temat, oczyma wyobraźni widział ją znudzoną.

Zmęczył się opowiadaniem. Podszedł do okna i jakiś czas w milczeniu obserwował zachodzące słońce.

– Dziś jest wyjątkowo pięknie – odezwał się po dłuższej chwili. – Szkoda, że tego nie widzisz. – Ciągle jeszcze musiał walczyć z przyzwyczajeniem, każącym mu o zachodzie słońca stawiać się w cmentarnym lesie. Ale gdy widział wschodzący księżyc, uspokajała go świadomość, iż Sam jest blisko.

Zapadł mrok. Szpital cichł powoli. Czas się zbierać.

– Dobrej nocy, Tess – pożegnał się. – Zdrowiej. – Pocałował ją w policzek i ruszył w stronę drzwi, gdy zdał sobie sprawę, że jeszcze o czymś zapomniał. – Jem dziś kolację z Tinkiem – powiedział, podchodząc do łóżka. – Wybieramy się do Barnacle. Powinnaś była mnie uprzedzić, że ten facet potrafi tyle zjeść! Za mało ostryg w całym oceanie, żeby mu wypełnić brzuch. – Odgarnął jej grzywkę z czoła.

Powieki Tess zadrżały i otworzyły się jej nieprawdopodobnie szmaragdowe oczy. A on wcale nie miał pewności, czy to nie jest tylko gra jego wyobraźni.

Trzydzieści siedem

Mgła przyczała się tuż nad ziemią, ale tłumiała wszystkie dźwięki. Nie było też nikogo widać. Tess mogła być wszędzie i nigdzie. Nie miało to jednak większego znaczenia. Charlie zniknął, ojciec po nią nie przyszedł, została całkiem sama.

Odkąd opuściła cmentarz, cały czas tkwiła w tym samym miejscu. Jak w nieskończenie głębokim oceanie w bezksiężycową noc. Niebo powlokło się czernią pozbawioną znajomego migotania gwiazd, które by ją podtrzymało na duchu. Gdzieś daleko przelewały się jakieś niewyraźne kształty, przypominające nieco ciemne chmury burzowe. Czasami słyszała jakieś głosy, ale po chwili cichły.

Wzywała pomocy, niestety nikt nie odpowiadał. Usiłowała się przedrzeć przez ciemność, lecz chyba w ogóle się nie poruszała. Czekwała więc, gotowa zareagować, gdy przyjdzie odpowiedni moment.

Teraz nastał ten czas.

Ciemności wolniuteńko zaczęły ustępować miejsca światłu. Kształty były zamazane. Mgła nadal spowijała jej umysł, pokój i mężczyznę, który coś mówił.

– Tess? Tess? – powtarzał. – Tess, słyszysz mnie?

Oczywiście, że słyszała. Chciała mu odpowiedzieć, jednak nie mogła wydobyć z siebie głosu. Dziwne uczucie. Spróbowała jeszcze raz, ale w ustach i w gardle miała zupełnie sucho. W końcu jej się udało.

– Tess – szepnęła cichuteńko. – Tess.

– Tak, Tess! – wykrzyknął mężczyzna. Był wyraźnie uradowany.

– Tak, Tess – powiedziała.

– Obudziłaś się! Boże, jesteś nareszcie!!!

– Jesteś nareszcie. – Zdawała sobie sprawę, że powtarza jego słowa, ale tylko na tyle potrafiła się zdobyć.

– Jak się czujesz? Czy coś cię boli?

W zasadzie nic nie czuła. Ciało miała odrętwiałe, myśli zamroczone. Powiodła oszołomionym wzrokiem po pokoju.

– Gdzie... – zaczęła niepewnie – ... jestem?

Nieźle, pomyślała. Całe zdanie. Uśmiechnęła się blado. Skóra na policzkach strasznie ciągnęła.

– Jesteś w szpitalu – odpowiedział nieznajomy. – W North Shore Medical Center w Salem.

Nic nie zrozumiała.

– Gdzie? – spytała ponownie.

– W szpitalu. Miałaś wypadek. Byłaś ranna. Ale już wszystko dobrze.

Szpital. Wypadek. Ranna.

– Jaki wypadek?

– W czasie rejsu. Twoja łódź spłonęła w czasie sztormu. Pamiętasz?

Ogień. Sztorm. Dziura w pamięci.

– Łódka. Co z nią?

– Całkowicie zniszczona – odparł. – Przykro mi, ale „Querencia” spłonęła i zatoneła.

„Querencia”. Ładne słowo. Wesole brzmienie sylab wypełniło kilka luk w obrazie przeszłości.

– *Querencia*. Hiszpański. Bezpieczne miejsce.

– Tak! – ucieszył się mężczyzna. – Masz rację, to hiszpańskie słowo.

Skupiła się ze wszystkich sił i zdołała sprecyzować kolejną myśl.

– Pić.

Obcy natychmiast nalał wody do szklanki i ostrożnie przysunął jej naczynie do warg. Wciągnęła chłodny płyn do ust. Zerknęła na okno, za którym wiatr poruszał gałęziami drzewa.

– Okno – powiedziała.

– Tak, to jest okno.

– Czy możesz otworzyć?

Szybkim krokiem podszedł do okna, zwolnił zatrask, przesunął dolną część w górę.

– Wedle życzenia.

Pokój owionęła cudowna bryza, pogłaskała Tess po włosach, ochłodziła napiętą skórę. Dziewczyna zamknęła oczy. Woda i wiatr. Tak. Jedno i drugie kochała.

Mężczyzna sięgnął po telefon.

– Zadzwoń do twojej mamy, dobrze?

– Do mamy. Dobrze.

Włączył kilka przycisków i mówił coś szybko. Nie zrozumiała jego słów. W końcu odłożył słuchawkę.

– Jesteś lekarzem? – spytała.

– Jestem Charlie, nie pamiętasz mnie?

Nie pamiętała. W miejscu wspomnień o Charliem rozciągała się czarna dziura.

– Tess, proszę, spróbuj sobie przypomnieć. To ja, Charlie.

Pokręciła głową.

– Przykro mi, nie pamiętam... – Po twarzy obcego potoczyły się łzy. Dlaczego płakał? – Co się stało? – spytała.

– Nic, nic. To ze szczęścia.

Tess uśmiechnęła się i tym razem skóra nie stawiała już takiego oporu.

– A dokładnie jak się nazywasz?

– Charlie St. Cloud.

Charlie St. Cloud. Zmarszczyła nos. Myśli przebiegały jej przez głowę już znacznie szybciej. Do akcji włączały się kolejne szare komórki.

– St. Cloud – powtórzyła z namysłem. – To nie jest nazwisko z Marblehead, prawda?

– Prawda – przytaknął. – Z Minnesoty. Długo by mówić, jak tu trafiliśmy.

– Uwielbiam słuchać.

Więc Charlie usiadł przy niej i opowiedział o pochodzeniu swojego nazwiska, o powiązaniach z miasteczkiem nad rzeką Missisipi, gdzie dorastała jego matka. O tym, że protoplasta rodu był szesnastowiecznym francuskim księciem, który wyrzekł się świata i postanowił służyć Bogu, gdy źle usposobiony wujaszek zamordował mu braci.

Tess z ogromną przyjemnością słuchała głębokich, męskich tonów w jego głosie. Kogoś jej przypominał, ale nie potrafiła określić kogo. Gdy Charlie skończył opowiadać, ujęła go za rękę, mocną i ciepłą.

– Drużyna Patriots rozgrywa w tym tygodniu bardzo ważny mecz – powiedział. – Uwielbiasz futbol, pamiętasz?

Przyjrzała się uważnie dołeczkowi w jego policzku. W tym mężczyźnie było coś zastanawiającego.

– Opowiedz mi coś jeszcze.

– Jak sobie życzysz – zgodził się natychmiast i zaczął opowiadać o rejsie dookoła świata, do odległych miejsc o egzotycznych nazwach jak Markizy, archipelag Tuamotu, Tonga i Fidzi.

Każde słowo niesło ulgę i pociechę, więc Tess zapadła się w poduszkę i zatonała w

karmelowych oczach Charliego. Powoli świat zaczął się rozmywać, zastanawiała się jeszcze tylko, skąd właściwie miała pewność, że mogłaby słuchać tego człowieka przez całą wieczność.

* * *

Minęła północ. Lekarze skończyli badanie Tess i – co zdumiewające – uznali, iż jej stan fizyczny oraz funkcje życiowe nie pozostawiają wiele do życzenia, a pamięć najprawdopodobniej z czasem powróci.

Z „Marblehead Reporter” pojawił się dziennikarz w towarzystwie fotografa. Pierwszy zadawał pytania, a drugi zrobił zdjęcia do specjalnego wydania gazety. Tink i pracownicy Tess przeszli całą procesją, przynosząc słowa otuchy i najświeższe wieści z firmy. Grace, wyczerpana radością, zasnęła wreszcie na składanym łóżku tuż za ścianą.

Zapanował spokój.

Charlie w poczekalni obserwował akwarium, w którym tam i z powrotem pływały neonki. Był nieskończenie szczęśliwy, że Tess się obudziła, ale nie potrafił się uwolnić od istotnego pytania: czy go sobie przypomni?

Pierwszy pocałunek...

Wspólna noc...

W otoczeniu przyjaciół i rodziny stopniowo przypominała sobie walkę „Querencji” ze sztormem. Zaczęła już nawet planować kolejną samotną wyprawę dookoła świata; obliczyła, że około roku zajmą jej przygotowanie nowej łodzi i solidny trening. Zawsze, gdy jej wzrok padał na Charliego siedzącego w głębi pokoju – a zdarzało się to często – uśmiechała się promiennie, ale wyraźnie nie miała pewności, kim on jest ani dlaczego się tu znajduje.

Trudno ją było za to winić.

Otworzyły się drzwi po przeciwnej stronie poczekalni i stanęła w nich pielęgniarka.

– Chce się z tobą widzieć – oznajmiła ściszym głosem.

– Co?

– Tess chce się z tobą zobaczyć.

Znalazł się przy jej łóżku nieomal w ułamku sekundy. Z trudem uwierzył własnym oczom, ale tak – siedziała oparta o poduszki. Jej twarz rozjaśniało miękkie światło nocnej lampki.

– Cieszę się, że jeszcze tu jesteś – powiedziała.

– I ja się cieszę, że cię widzę.

Dłuższą chwilę przyglądała mu się uważnie.

– Więc to ty mnie znalazłeś – odezwała się w końcu.

– Nie zaprzeczam.

– Chociaż wszyscy inni przestali szukać.

– Na to wygląda.

– Muszę cię o coś spytać – oświadczyła. – Odpowiedź jest dla mnie bardzo ważna.

– Przyznam się od razu: jestem fanem drużyny Red Sox – odparł z uśmiechem.

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu.

– Jestem skłonna wybaczyć ci tę niedoskonałość – odrzekła. – Nie pamiętam jednego istotnego szczegółu.

– Jakiego?

– Nie wiem, jak się poznaliśmy.

– Nawet gdybym ci powiedział, i tak byś nie uwierzyła.

– Spróbuj – poleciła. – Opowiedz, skąd się znamy.

– Cóż... – zebrał myśli. – Wszystko zaczęło się na cmentarzu Waterside, gdy pewna piękna

żeglarka złożyła skargę na karygodne zakłócanie spokoju. – Charlie uśmiechnął się. – Kierownik, czarujący młody człowiek, starał się jej wytłumaczyć doniosłe znaczenie realizacji planu obrony przed stadami gęsi, ale wilczyca morska tylko wyśmiała jego nieudolne próby.

I tak Charlie, nie śpiesząc się zbytnio, opowiedział jej o wspólnej kolacji przy blasku świec, z tortem dla Teda Williamsa, o nocnym spacerze po cmentarzu, wierzbach płaczących i marmurowym mauzoleum. Rozumiała wszystko i we wszystko wierzyła, a jego nadzieja rosła. Uwolnił się od przeszłości i zaczął prawdziwe życie. A teraz czekała go największa radość: wspólna przyszłość z Tess.

Posłowie

Wierzę w cuda i teraz już wiecie dlaczego.

Stoję na wzgórzu Waterside. Ten cmentarz to miejsce, które Charlie pokochał i własnymi rękami doprowadził do świetności. Nade mną fruwały mewy. Żelazna brama stoi otworem. Jakaś dziewczynka zaczepiła się nogami o gałąź dębu i wisi głową do dołu. Siwiuteńki staruszek kładzie na grobie żony naręcze malw.

Taki jest wasz świat. Właśnie to widzicie, mijając cmentarz w mieście. To są ludzkie realia, które dają wam pewność siebie. Tymczasem istnieje coś więcej. Mówię o tym, czego nie możecie zobaczyć, czego nie widzi Charlie. O rzeczywistości poza obszarem pomiędzy. Jedni nazywają owo miejsce niebem, inni rajem, jeszcze inni określają je mianem nirwany... a wszyscy mówią o tym samym, możecie mi wierzyć. Jest to miejsce, do którego trafiłem, gdy przeszedłem na drugi brzeg. Tutaj pani Ruth Phipps i jej ukochany Walter mogą znowu trzymać się za ręce. Tutaj Barnaby Sweetland, stary kierownik cmentarza, śpiewa z anielskim chórem. Ach, i oczywiście Sam z Oscarem zwiedzają wszechświat.

Z tego miejsca widzę wszystko. Mój głos i moje myśli są wiatrem, posyłam je do Charliego. Jest teraz w szpitalu North Shore, u Tess, która z dnia na dzień coraz prędzej wraca do zdrowia.

Tak, tak, to jedna z naszych umiejętności: możemy widzieć, słyszeć i wiedzieć, co tylko zechcemy. Jesteśmy wszędzie. Doświadczamy wszystkiego. Cieszymy się razem z wami, z wami smucimy i razem z wami toniemy w żalu. Jeśli rozpaczacie zbyt długo, cierpimy tak samo jak wy. Myślę o swojej żonie, o naszym synku. Wiem, że minie wiele czasu, wyleją wiele łez, nim odzyskają spokój, ale bardzo pragnę, aby byli szczęśliwi. Któregoś dnia Francesca wyjdzie ponownie za mąż i na nowo znajdzie radość.

Oto Charlie jedzie ze szpitala na lotnisko Logan Airport. Poleci do swojej matki, do Oregonu. Opowie jej, czego się nauczył, żyjąc na skraju zmierzchu, i wyjaśni, co naprawdę stracił w wypadku. Mimo wszystkich jego wysiłków, matka nie zrozumie. Przeprowadziła się na drugi koniec kraju i zaczęła nowe życie z nadzieją, że zdoła pochować tamto tragiczne zdarzenie w przeszłości. Ale przecież gdy nadchodzi spokojniejszy moment, zawsze powraca do niej myśl, że młodszy syn został jej odebrany za wcześnie. Od tego bólu nie uwolni się nigdy.

Takie właśnie są nieuniknione skutki tragedii i następstwa żałoby. Zbyt wielu ludzi umiera po trochu wraz ze śmiercią kogoś bliskiego. Jeden zgon pociąga za sobą dwa, dwadzieścia albo i sto innych istnień. Tak jest na całym świecie.

Charlie zrozumie, że wybór należy wyłącznie do jego matki. Ona musi zdecydować, czy codziennie po trochu umierać, czy też naprawdę żyć. Ty już wiesz, że Charlie wybrał życie. Po odwiedzinach w Oregonie wróci do Marblehead i będzie pracował w straży pożarnej, w jednostce Engine Company 2 przy Franklin Street. Wybierze się w podróż dookoła świata. Co najważniejsze, nadrobi stracone trzynaście lat i będzie ścigał marzenia.

Przypomina mi się Księga Koheleta i to, co niegdyś powiedziałem Charliemu: „Pismo Święte się myli. Nie starczy w jednym ludzkim życiu czasu na każde zdarzenie i na każdy czyn”.

Właśnie. Charlie nie ma czasu do stracenia. Jak każdy. Tylko że on już wie, co jest ważne. Najpierw ponownie pokochają się z Tess. Pocałują się po raz pierwszy. Miesiąc miodowy spędzą na koralowych wysepkach u wybrzeży Belize. Zamieszkają przy Cloutman's Lane w jego rodzinnym domu. Urodzi im się dwóch synów. Budzony szczekaniem beagle'a będzie otwierał oczy z błogim przekonaniem, że wszystko jest w najlepszym porządku, a istoty mu bliskie są zdrowe i bezpieczne. Urządzi swoim chłopcom boisko i zawiesi huśtawkę na sośnie. Będzie z nimi codziennie wieczorem rzucał piłką, zachęcał ich, by żyli pełnią życia i dzień w dzień

podejmowali nowe wyzwania.

Stracił dar widzenia duchów wkrótce po ostatecznym rozstaniu z Samem, ale oczy ma stale otwarte i dostrzega cuda. Czasami, gdy o tym zapomina, widzi linę kołyszącą się nad stawem, słyszy w radiu fragment relacji z meczu drużyny Red Sox albo wpada mu w ucho szczeknięcie psa. Wtedy wie, że Sam i Oscar są blisko.

Widzicie, tak to właśnie jest: śmierć i życie. My, mieszkańcy innego świata, na swój sposób jesteśmy obecni w waszym życiu. Wystarczy, że otworzycie serce, wyostrzycie zmysły i zechcecie zwrócić na nas uwagę. Jakiś liść czy gwiazda, piosenka albo śmiech... Nie przegapcie mało istotnych zdarzeń, bo one świadczą, że jest ktoś przy was. *Qualcuno ti ama*. Ktoś cię kocha.

Któregoś dnia – a tylko Bóg jeden wie, kiedy to nastąpi – skończy się czas Charliego. Będzie wtedy stary, włosy mu posiwieją. Spojrzy za siebie, na swoje zwyczajnie wspaniałe życie i będzie wiedział, że dotrzymał słowa. A potem, jak siedemdziesiąt pięć miliardów niepowtarzalnych, jedynych w swoim rodzaju istot ludzkich, które go poprzedzały, on także umrze.

Od tego dnia będziemy czekali, aż Charlie St. Cloud dołączy do nas we wspólnym domu. Nim to nastąpi, ślemy mu słowa rozstania:

Niech żyje w spokoju.

Słowo o źródłach

Miejsce, w którym toczy się akcja mojej opowieści, istnieje naprawdę. Chcę wyrazić, swoją wdzięczność mieszkańcom Marblehead w stanie Massachusetts za zaproszenie. Dziękuję zwłaszcza F. Emerson Welch z „Marblehead Reporter” za retoryczne pytania zadawane z typowym dla niej poczuciem humoru i zaraźliwą radość od świtu do zmierzchu, Bumpowi Wilcoxowi z New Wave Yachts za przeprowadzenie szcztura lądowego przez teoretyczny sztorm o sile dziesięciu stopni w skali Beauforta, a także załodze łodzi „Loonatic” za okupione siniakami zwycięstwo w Środowych Wyścigach Nocnych oraz Kristen Heissenbuttel z firmy Doyle Sailmakers za odsłonięcie przede mną tajników sztuki projektowania żagli. Bardzo mi pomógł kapitan portu Warner Hazell oraz jego zastępcy, Bette Hunt wraz z całym stowarzyszeniem Marblehead Historical Society, komodor B. B. Crowninshield z klubu jachtowego CBYC oraz firmy Lynn Marine Supply, strażacy z jednostki Engine 2 przy Franklin Street, Ed Cataldo z Engine 5 w Revere, Todd Basch i Carol Wales z Doyle Sails, Marjorie Slattery-Sumner, Sheila Duncan (pierwowzór kobiety słuchającej profesjonalnie), Sally i Roger Plauche z hotelu Spray Cliff on the Ocean, Ruth i Skip Sgler z gospody Seagull Inn, Suzanne i Peter Conway z Harbor Light Inn, stali bywalcy z pubów Barnacle, Driftwood, Landing, Maddie's oraz Rip Tide. Chylę czoło przed strażą przybrzeżną z Bostonu i Gloucester, chwała Stevenowi Carriere, Timowi Hudsonowi, Paulowi Wellsowi oraz Jaredowi Coonowi za objaśnienie mi przebiegu akcji poszukiwawczej i ratunkowej. Były zastępca szefa jednostki straży pożarnej z Beverly Hills, Mikę Smollen, zapoznał mnie z działaniem sprzętu firmy Hurst oraz defibrylatora ZOLL.

Większa część wydarzeń opisanych w tej książce rozgrywa się na cmentarzu Waterside. Rdzenni mieszkańcy Marblehead na pewno spostrzegą, że pozwoliłem sobie zaprowadzić pewne zmiany w tamtejszym krajobrazie. Ogromnie dziękuję kierownikowi, Billowi Jamesowi, oraz jego poprzednikowi sprzed wielu lat, Benowi Woodfinowi. Za najbardziej niezwykły tydzień w moim życiu winien jestem wdzięczność osobom pracującym na cmentarzu Woodlawn w Bronksie, w Nowym Jorku, a są to: John Toale jr., Steven Sloane, Don Williams i Susan Olsen. Bez wahania wysłali mnie do koszenia trawników i noszenia trumien na tym rozległym terenie o powierzchni stu sześćdziesięciu hektarów. Dziękuję brygadzistom, związkowcom i innym pracownikom za nieustanną pomoc i ułatwianie pracy, zwłaszcza kiedy już nie czułem grzbiету. Szczególny salut niebieską czapką z logo Woodland należy się grabarzom kopiącym groby na tym cmentarzu: Bobowi Blackmore'owi, Gregowi Linkowi i Rayowi Vicensowi – za szczodre dzielenie się ze mną finezyjnymi szczegółami ich fachu oraz napiwkami. Chciałbym także wyrazić swoje uznanie Kenowi Taylorowi z cmentarza Greenwood w nowojorskim Brooklynie – za zrozumienie i współczucie płynące z ponad trzydziestu pięciu lat pracy i życia z umarłymi.

Za wyjawienie tajników życia po życiu dziękuję Rosemary Altei, przyjaciółce i medium. Jej doskonałe książki, między innymi „Orzeł i róża”* i „Dumny duch”**, stanowią niedościgły wzór współodczuwania. W trakcie pisania nauczyłem się wiele także od innych autorów, choćby z „Rescue 471” Petera Canninga, „The Hungry Ocean” i „Lobster Chronicles” Lindy Greenlaw, „The Undertaking” Thomasa Lyncha, „Jak umieramy”*** Sherwina B. Nulanda, „Rozmowy o śmierci i umieraniu”**** Elizabeth Kiibler-Ross, „Fastnet, Force 10” Johna Rousmaniere'a oraz „Will the Circle Be Unbroken?” Studsa Terkela. W Internecie zaglądałem często na strony „Marblehead Reporter”, „Marblehead Magazine”, GriefNet, Beyond Indigo oraz City of the Silent, wyjątkową stronę poświęconą cmentarzom. Gierki słowne Sama i Charliego zaczerpnałem ze „Style Invitational” z „The Washington Post”, z maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, gdy poproszono czytelników o twórcze definiowanie słownikowych wyrazów. W

kwestii refleksji Floria nad Księgą Koheleta natchnął mnie wiersz Jehudy Amichaja zatytułowany „A Man in His Life”.

Zdjęcia z miejsc, gdzie rozgrywa się akcja książki, oraz więcej informacji na temat źródeł można znaleźć na stronie internetowej [www. bensherwood. com](http://www.bensherwood.com).

* Wyd. polskie LIMBUS, Bydgoszcz 1999.

** Jw.

*** Wyd. polskie Świat Książki, Warszawa 1996.

**** Wyd. polskie Media Rodzina, Poznań 1998.